Pieprzony Los Katarynarza

Rafał A. Ziemkiewicz

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Po tamtej stronie komputera trwa wirualny świat.

Dla wielu jest miejscem codziennej pracy i skarbnicą rozrywek.

Dla wtajemniczonych to arena bezwzględnej walki o życie.

Powieść zawiera uderzającą wizję Polski XXI wieku wnoszącą w erę wszechpotężnej informatyki bagaż swych narodowych i historycznych nieszczęść. Czerpiąc z tradycji Małej apokalipsy i amerykańskiego cyberpunku, stanowi na polskim rynku dokonanie nowatorskie.

"Te teksty wyrażają nowe bądź na nowo uaktywnione religijne i polityczne konflikty Polski i świata już bez czerwonego knebla, ale z pozostałościami silnej czerwonki. Może to jest dopiero fantastyka stricte polityczna, a nie jedynie antytotalitarna".

Maciej Parowski

"Najmniej jest tu fikcji. Owszem, pozostaje sztafaż science fiction, lecz w gruncie rzeczy jest to opowieść o Polsce dnia dzisiejszego".

Marek Arpad Kowalski

- Rafał A. Ziemkiewicz
  -
  - Prolog
  - I
  - II

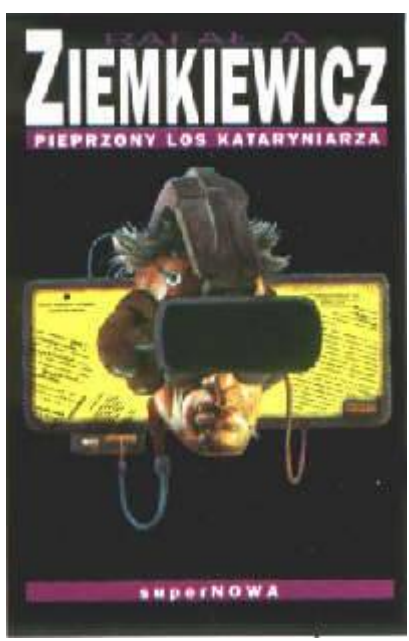

Rafał A. Ziemkiewicz

Pieprzony Los Kataryniarza

Pierwsi rycerze nie wzięli się z racji swojego
urodzenia, wszyscy bowiem pochodzimy od jednej
matki i jednego ojca. Wszelako gdy zło i nieprawość
rozpanoszyły się na świecie, słabi ustanowili ponad
sobą obrońców.
Jacques Boulenger, Opowieści Okrągłego Stołu

Prolog

Zacznijmy od tego kamerzysty, który wpatrując się z natężeniem w wizjer, rzucił:

– Nogi trochę szerzej!

Wysokie lustro, wmurowane w białą, zdobioną gipsowymi stiukami ścianę odbijało jego przygarbioną, skupioną sylwetkę oraz stojących z boku technicznych.

– Koszula trochę bardziej na boki – ciągnął monotonnie kamerzysta. – Nie wstydzić się, to ma zrobić wrażenie…

Wreszcie z przeciągłym westchnieniem odkleił się od kamery i przytknąwszy do ust hołubiony w prawej dłoni niedopałek, popatrzył na opartego o stiuk reżysera.

– No? – zagadnął ten po chwili milczenia. Dłoń z niedopałkiem wykonała jakiś nieokreślony gest.

– Coś mi w tym wszystkim nie pasuje – oznajmił kamerzysta z niewyraźną miną. Reżyser oderwał się od ściany i energicznym krokiem podszedł do miejsca, w którym przed chwilą stał jego podwładny. Przykucnął, zadumał się, zrobił dwa kacze kroki w lewo, wstał, znowu się zadumał, znowu przykucnął i przesunął się w głębokim przysiadzie w przeciwną stronę, wreszcie oderwał wzrok od leżącej przed nim postaci i skinął na technicznych.

– Zrobicie posłów – oświadczył. – No już, już, nie ma czasu na rzeźbienie w gównie. Ty tutaj, ty tu, a ty obok -porozstawiał technicznych ruchami ręki, a potem nakreślił dłonią w powietrzu linię od nich, ponad leżącą postacią, aż do zamkniętych jeszcze drzwi sali. – Wchodzicie… Gdzie! Stać, baranki boże, udajecie, że wchodzicie! No – odsapnął i ponownie popadł w zadumę, kontemplując ustawiony przed sobą żywy obraz.

– Za dużo pan masz tych kłaków na piersi – zawyrokował w końcu. – O, właśnie. To psuje efekt. – Spojrzał na kamerzystę, który pokiwał głową w geście “może, może”.

– To co, mam se ogolić? – zirytował się leżący. – Czy założyć podkoszulek?

Reżyser skwitował te słowa wzruszeniem ramion, powracając do swoich przysiadów oraz kaczych chodów.

– Słuchajcie, panowie, zdecydujcie się – przynaglał leżący, któremu zdążył już ścierpnąć łokieć i w ogóle było mu w tej rozkraczonej pozycji bardzo niewygodnie. – Ja mam obowiązki…

Reżyser pomachał tylko ręką spoko-spoko, ale w końcu podniósł się i rzuciwszy krótkie: “dobra” pokazał kamerzyście, gdzie ma stać i jak kadrować w czasie transmisji. Potem podszedł do posła Suchorzewskiego i wyciągnął ku niemu rękę.

– W porządku, może pan wstać. Tylko niech pan pamięta: ekspresja. Na maks ekspresji. To ma zrobić wrażenie – i dodał po chwili, pomagając posłowi się podnieść: -A szkaplerzyk trzeba będzie przykleić, bo pod pachę zjeżdża.

– Przykleić?

Reżyser popukał się w guzik kamizelki.

– Może być skocz, w obrazie nie widać, albo weź pan taki klej od nas z charakteryzatorni Jezus Maria!!!

“Jezus, Maria!” nie odnosiło się oczywiście do kleju ani charakteryzatorni; po prostu podczas stukania się w guzik reżyser zauważył przypadkiem swój zegarek oraz godzinę, którą ten pokazywał.

– Jezus, Maria! Zbierać mi się wszyscy do wozu, ale już, już, bo nam dybki pouciekają! Ruchy, ruchy, no! – zaklaskał kilkakrotnie. – Panie pośle, my się widzimy wieczorem, już, już!

Po chwili w opustoszałych kuluarach sejmu, ozdobionych patriotycznymi emblematami, popielniczkami na nóżkach oraz gobelinami z wypełnionym herbami województw konturem Rzeczpospolitej, pozostał tylko poseł Suchorzewski. Rozejrzawszy się, czy aby w pobliżu nie kręcą się jakieś nadgorliwe sprzątaczki, rozpiął spodnie i przystąpił do upychania w nich koszuli.

I

Robert stał w łazience, pochylony nad umywalką i w zadumie wodził czubkami palców po policzkach. Stał tak już od dłuższej chwili, porażony odkryciem, które spadło na niego właśnie tego poranka.

Jego skóra zwiotczała.

Przy goleniu musiał ją naciągać palcem. Właściwie musiał to robić już od dawna, ale przyzwyczaił się do swojej jędrnej, gładkiej twarzy tak bardzo, że jakoś nic dotąd nie zauważył. Dopiero teraz nagle dotarło do niego, że od dłuższego już czasu ta jędrna, gładka twarz przypomina raczej wymiętoszone ciasto, które zarost przebija codziennie niczym ostre końcówki drutu.

Pierwsze odkrycie pociągnęło za sobą następne. Robert uświadomił sobie, że we włosach – kiedyś nie zaczynały się one chyba tak wysoko? – pobłyskują nitki siwizny. Zaczął je wyszukiwać niecierpliwymi palcami. Były.

Dwie poziome kreski nad brwiami nie dawały się wygładzić, choć wykrzywiał twarz na wszelkie możliwe sposoby, wyginając brwi i wypychając ile się tylko dało podbródek. To już nie był świadczący o skupieniu i powadze mars, przywoływany na twarz w stosownych chwilach. Przyzwyczaił się do tego miejsca, wrósł w nie. Lęgły się pierwsze zmarszczki.

Nie tylko tam. Koło oczu rozgościła się na dobre siateczka drobniutkich rys, od nosa do kącików ust ciągnęły się jeszcze słabo widoczne, ale już wyraźne bruzdy. Nawet wtedy, gdy nie uśmiechał się ani odrobinę.

Wpatrywał się w to wszystko ze spokojną rezygnacją człowieka stającego twarzą w twarz z nieszczęściem, którego oczekiwał od tak dawna, że omal już o nim zapomniał. Wreszcie ponownie przejechał dłonią po twarzy, raz jeszcze upewniając się, że nie jest tak jędrna i gładka, jak być powinna, potem znowu zaczął bardzo uważnie oglądać każdy siwy włos i każdą lęgnącą się zmarszczkę z osobna. Spróbował bezskutecznie wygładzić czoło, po czym kolejny raz przejechał palcami po zwiotczałych policzkach, usiłując bez nadziei zetrzeć i rozciągnąć rozchodzące się promieniście od oczu linie.

Coś się w nim na moment popsuło, jakby nagły wstrząs powytrącał poruszające Robertem trybiki i gumowe kółka z łożysk, że przestały o siebie zahaczać i chodziły na pusto, nie mogąc skrzesać żadnej myśli, żadnego impulsu -był zdolny tylko wodzić bezmyślnie dłonią po zmarszczonym czole, ciastowatych policzkach, siwiejących włosach, i znowu, i znowu, i jeszcze raz. Mogłoby to trwać bez końca, gdyby nie usłyszał za plecami rozbawionego głosu żony:

– Śliczny jesteś, śliczny. Zawsze to mówiłam. Przestań się

podziwiać, narcyzie, lustro potrzebne.

Odsunął się baz słowa od umywalki, trochę dotknięty, że tak brutalnie ściągnęła go na ziemię, a trochę zdumiony – czyżby Wiktoria niczego dotąd nie zauważyła? – i wyminąwszy ją, stojącą w drzwiach z tym uśmieszkiem nakryłam-cię, ruszył w kierunku kuchni. Dotarł jednak tylko do dużego, ściennego lustra w przedpokoju, zawieszonego naprzeciwko drzwi, i tu ponownie zatonął w swoim odbiciu.

Cały problem polegał na tym, że przywykł do zupełnie innej twarzy w lustrze i nie potrafił się pogodzić ze świadomością, że nigdy już nie uśmiechnie się do niego z tafli posrebrzanego szkła Tamten Robert, że porwał go gdzieś prąd przemijających dni, nawet nie bardzo wiadomo kiedy. “Trzynastego po mnie przyszli interniści…” Tak to leciało? “W majtkach mam ulotki, w dupie mam patrole, ja WRON-ę…” Nagle uświadomił sobie, jak bardzo oddalił się od tamtego czasu, który teraz miał być z każdym dniem coraz bardziej nieodżałowany. Od pierwszych spotkań z Wiktorią, pierwszych pocałunków na skrytej wśród krzewów ławce w Łazienkach, od tej rozpierającej go wtedy energii, przekonania, że nic nie jest niemożliwe, i drażniącego nozdrza zapachu świeżej farby drukarskiej. Wszystko skończyło się definitywnie, mogło już tylko obrastać w mit i pięknieć z każdym rokiem, coraz bardziej odległe, aż do dnia, kiedy cały świat skurczy się do jeszcze-tylko-jednego uderzenia serca i jeszcze-tylko-jednego oddechu, wyrwanego spod tlenowego namiotu.

I wraz z tym wszystkim skończyła się też prostota i przejrzystość świata, w którym żył Tamten Robert. Świata, gdzie wszystko było jasne i oczywiste. Dzień po dniu, niepostrzeżenie, ten świat zaczaj się cegiełka po cegiełce odwracać przed jego oczami, pokazując drugą stronę, a ta druga strona nieodmiennie okazywała się lepka i porośnięta jakimś oślizłym gównem niczym dno okrętu. I na tym właśnie polega dorastanie, westchnął Robert i uśmiechnął się gorzko. Z lustra odpowiedziała mu równie gorzkim uśmiechem jego zwiotczała twarz, na której lęgły się pierwsze zmarszczki: twarz Kataryniarza.

Qu'est ce que fas fait de ta jeunesse – zapytała go twarz w lustrze. – Co zrobiłeś ze swoją młodością?

*

Panowie z Firmy byli umiarkowanie zirytowani – zirytowani, bo nikt nie lubi pracować wczesnym rankiem, ale umiarkowanie, bo w

ich fachu zdarzało się to ciągle. Byli też umiarkowanie uprzejmi. Dali prezesowi spółki Inter-Data czas na ubranie się i pożegnanie z żoną, pozwolili mu wypalić w spokoju papierosa, a nawet zadzwonić do adwokata. Przeszukali szuflady, nie okazując przy tym szczególnego zapału i nie zostawiając po sobie wielkiego bałaganu. Potem sprowadzili zaskoczonego biznesmena na dół, do czekającego pod domem samochodu.

Kiedy ruszyli, mężczyzna siedzący obok kierowcy sięgnął ku wybrzuszeniu czarnego, chropawego plastiku pod przednią szybą i wprawnym ruchem umieścił palce w niewielkim, dopasowanym do nich wyżłobieniu blisko krawędzi szyby. Szarpnął, rozkładając dwucentymetrową warstwę wierzchniej okładziny, która od spodu była klawiaturą. W odsłoniętym, obramowanym czernią prostokącie rozjarzył się jednostajnie pulsującym błękitem dwunastocalowy ekran.

Pozostali pasażerowie zdawali się nie zwracać na człowieka obok kierowcy najmniejszej uwagi. Samochód, żegnany obojętnym spojrzeniem strażnika w czarnym drelichu, tkwiącego wewnątrz czworokątnej, przeszklonej budki, minął nie niepokojony bramę w otaczającym osiedle murze. Przetoczył się kilkadziesiąt metrów wąską uliczką z kierunku Piaseczna ku dwupasmówce, wiodącej do Góry Kalwarii i mostu na Wiśle w jedną stronę, a do Wilanowa w przeciwną. Skręciwszy na Warszawę, samochód zaczaj gwałtownie nabierać szybkości. Dla pasażerów jedyną tego oznaką był trwający chwilę ucisk w żołądku. Wnętrze wozu doskonale tłumiło wstrząsy, a dźwięk silnika był w nim słyszalny słabiej od szmeru klimatyzacji. Poza tym szmerem we wnętrzu limuzyny zalegała nie zakłócana przez nikogo cisza. Pracownicy Firmy nie rozmawiali przy zatrzymanym, on sam zaś był wciąż zbyt zdumiony, by o cokolwiek pytać.

Człowiek na siedzeniu obok kierowcy wydobył z wewnętrznej kieszeni marynarki sztywną kartę z pogrubionego plastyku. Po jednej jej stronie widniała panorama Warszawy od strony Wisły, z pomnikiem Syrenki na pierwszym planie, po drugiej emblemat Poczty Polskiej GmbH. Gdyby nie ledwie wyczuwalna pod dotykiem nadmierna sztywność, nie różniłaby się niczym od zwykłej karty telefonicznej. W języku Firmy kartę tę nazywano “blachą”. Mężczyzna wetknął ją w pionową szczelinę obok jarzącego się błękitem ekranu. Opuścił rękę na biegnącą równolegle do jego dolnej krawędzi półkę i zabrał z niej przeciwsłoneczne okulary w modnej, wielobarwnej oprawce. Założył je na nos.

W tej samej chwili ekran, dla śledzącego go kątem oka prezesa oraz pozostałych pasażerów pozostający wciąż prostokątem jednostajnego błękitu, odsłonił przed mężczyzną w okularach szeregi zachodzących na siebie w perspektywie i wychodzących jedne z drugiego okien, przesłoniętych kolorowym, poziomym paskiem.

Pulsujący przynaglająco napis wzdłuż jego dolnej krawędzi poinformował użytkownika, że niedokonanie identyfikacji w ciągu czterdziestu sekund spowoduje zablokowanie systemu i kontrolę terminalu. Mężczyzna przebiegł palcami po klawiaturze, pozostawiając na pasku słowo LANCA. Zgodnie z obyczajem Firmy, było ono zarówno pseudonimem, używanym w codziennych kontaktach ze współpracownikami, jak i zapisanym na karcie magnetycznej identyfikatorem w organizującej pracę Firmy sieci. Przez krótką chwilę komputer porównywał ten identyfikator z blachą, której użyto do uruchomienia końcówki, centralnym rejestrem i wykazem alarmowym. Pasek zniknął, zastąpiony komunikatem, że użytkownik został zidentyfikowany na poziomie dostępu 4. Większość pracowników biura Lancy miała poziom dostępu 3, a niektórzy nawet 2. Musieli oczywiście być w Firmie ludzie o dostępie wyższym. Lanca słyszał, że najwyższy istniejący poziom dostępu, umożliwiający posługiwanie się wszystkimi zgromadzonymi w systemie danymi, to poziom 6.

Kilkoma poruszeniami kursora po rozciągniętym w głąb ekranu pejzażu trójwymiarowych okien i paneli Lanca dojechał do kartoteki SO. Litery SO były skrótem od słów Sprawy Obiektowe. Komputer ponownie zażądał hasła, a po jego uzyskaniu kryptonimu sprawy.

Mężczyzna wypisał na klawiaturze słowo KUROMA-KU. Interfejs ogólny programu operacyjnego sieci Firmy zniknął z ekranu, ustępując miejsca utrzymanemu w kolorach soczystej zieleni katalogowi kartoteki tej konkretnej sprawy. Kilkoma poruszeniami spoczywających na trackballu palców Lanca wybrał spośród nich formularz zatrzymania, jednym kliknięciem w umieszczoną na pasku narzędziowym ikonę określił datę, godzinę i zespół operacyjny, a następnie przystąpił do wypełniania rubryk meldunku.

Gdyby samochód kierował się wprost do budynku, który pracownicy firmy nazywali potocznie Centralą, najwygodniej byłoby mu odbić w lewo na wysokości Powsina, wspiąć się przez porośniętą osiedlami luksusowych domków wiślaną skarpę do Natolina i stamtąd dostać się do trasy przelotowej z Piaseczna.

Kierowca wybrał jednak inną trasę i podczas gdy Lanca wypełniał kolejne rubryki meldunków, samochód przemknął przez Wilanów, wjeżdżając w wiodący wzdłuż brzegu Wisły szlak ku Staremu Miastu.

*

Spiżowy król pośrodku placu Zamkowego przyglądał się spod

ciężkich, skamieniałych powiek ludziom klecącym coś u podstawy jego kolumny. Ze zbijanych drewnianych palet powstawało prostokątne, wysokie na metr podium, na którym kręcący się robotnicy ustawiali właśnie mównicę, podczas gdy inni nieśli już z samochodu zwoje białego i czerwonego płótna do obijania wzniesionej konstrukcji.

Ignorując kolejnego gołębia, który – pac! – popisał się celnością bombardowania z lotu koszącego, król rozejrzał się po odległych od placu ulicach, a jego bystre oko dostrzegło zbliżającą się od Krakowskiego Przedmieścia furgonetkę ze znakami telewizji na burtach. Odprowadził ją wzrokiem aż pod katedrę świętego Jana, zastanawiając się, czy będzie to znowu uroczyste nabożeństwo, czy, miał nadzieję, manifestacja.

Spiżowy król lubił oglądać z wysokości swej kolumny manifestacje. Choć, oczywiście, one także, jak wszystko dokoła, psuły się z roku na rok. Tych obecnych nie dawało się w ogóle porównać z dramaturgią i dynamiką czasów, kiedy u stóp króla słały się obłoki łzawiącego gazu, a szeregi nastrzykanych narkotykami zdobywców fabryk i uniwersytetów szarżowały pod gradem kamieni na rozwydrzonych wyrostków pokroju Tamtego Roberta. Obecne manifestacje polegały głównie na prezentacji rozmaitych wyrobów rękodzielniczych. Zawsze były one do siebie łudząco podobne, zawsze też skandowano mniej więcej te same hasła, ktokolwiek manifestował i z jakich pozycji, a obserwujący to z bezpiecznej odległości policjanci sprawiali wrażenie gotowych raczej paść trupem, niż zachować się nieuprzejmie.

Spiżowy król spoglądał z niesmakiem na zwożonych autokarami ludzi, z ich pracowicie przygotowywanymi kukłami, trumienkami, krzyżami, szubienicami i innymi wiecowymi gadżetami. Patrzył, jak przechadzają się pomiędzy nimi kamerzyści i reżyserzy, niczym nabywcy na targu lub jurorzy, wybierając spośród owych gadżetów te godne uwiecznienia na magnetycznej taśmie i użycia w charakterze przebitek. Potem, gdy już wszystko sobie obejrzeli, odwracali kamery ku środkowi placu, dając znak, że gotowi są na dalszy ciąg. Wtedy ktoś wychodził na mównicę, by raz jeszcze pokazać królowi, jak się robi to, czego on nigdy nie umiał.

Tak, świat psuł się z roku na rok, a król zmuszony był na to dzień po dniu patrzeć. Taka była jego pokuta, bo tylko ktoś bardzo naiwny mógłby sądzić, że tępego pół-Szweda, pół-Litwina postawiono na słupie na środku placu Zamkowego w innym celu, niż żeby odpokutował tam swoją winę.

Nie było nią wcale, że jako pierwszy w tym kraju monarcha wpadł kiedyś na pomysł dający się wyrazić słowami: jedna Rzeczpospolita, jeden król, jedna wiara, a komu się nie podoba, temu

kopa – tylko to, że przy próbach wcielenia tego pomysłu w życie okazał się kompletną dupą wołową i pozwoliwszy Polakom posmakować złotej wolności, przyuczywszy ich do rokoszów oraz rwania sejmów, nie umiał potem rozpolitykowanej hołoty wziąć za mordę. Za to właśnie musiał przez wieki patrzeć na efekty swojej dupowatości, stercząc na wysokim słupie z ciężkim krzyżem w jednej i tępą szablą w drugiej ręce, ignorując z kamiennym spokojem obsrywające go – pac! pac! pac! – gołębie i za jedyną rozrywkę mając tylko od czasu do czasu możliwość ucieszenia królewskich oczu jakąś manifestacją.

*

Robert oderwał się w końcu od lustra, ale dziwne uczucie, wywołane dokonanym przed chwilą odkryciem, trwało i wiedział, że nie minie jeszcze długo. Stojąc przy kuchennej szafce, wyciągał ze zmiętej folii kwadratowe kromki chleba, rejestrując przy tym skrajem świadomości paplaninę radia. Egzaltowany niewieści głosik referował w nim gwiezdne koniunkcje na rozpoczynający się dzień. Przestrzegał przed drobnymi dolegliwościami, odwodził od rozpoczynania podróży, zalecał ostrożność na schodach, by na koniec oznajmić kokieteryjnie, że poczęte dzisiaj dzieci będą śliczne i mądre, hi, hi, nic więcej nie powiem…

Horoskop dla urodzonych pod znakiem zakazu wjazdu. Szczęśliwa liczba: cztery-osiem, szczęśliwy kamień: brukowiec – przypomniał mu się jeden z ulubionych dowcipów Tamtego.

Nie. Nie chciał o tym myśleć.

Chleb nie miał smaku. Nawet posmarowany szynkową pastą i majonezem.

Pomyślał o swoim odkryciu sprzed tygodni: o Strefach. Pomyślał o pytaniu, które zadała mu Wiktoria, pytaniu, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie chciał o tym myśleć. Nie chciał. Poranek nie miał smaku. Wieczór nie będzie miał smaku. Nie miało smaku wczoraj i nie będzie go miało jutro. Nic już nigdy nie będzie miało takiego smaku, jak pierwsze pocałunki Wiktorii, jak chwile spędzone na osłoniętej krzewami ławce w Łazienkach i jak podchodzący do gardła strach na widok skręcającego w jego kierunku patrolu.

Odłożył nadgryzioną kromkę na brzeg talerza, przypomniawszy sobie o konieczności sprawdzenia nocnej poczty. Wiktoria opuściła już łazienkę, z jej pokoju dobiegały odgłosy pospiesznie wysuwanych i zamykanych szuflad szafy z ubraniami. Wszedł do swojego gabinetu i

dotknięciem klawiatury zbudził z czujnego półsnu komputer.

Pokrywająca klawisze przezroczysta folia była szarawa od kurzu. Nie odsłaniał klawiatury prawie nigdy. Nie wiedziałby, co trzeba na niej nacisnąć, nawet dla tak prostej operacji jak sprawdzenie skrytki. Dla kataryniarzy z całej klawiatury istniał tylko klawisz ENTER, potrzebny do odpalenia driverów VR. Chociaż i to łatwiej było zrobić trackballem.

Trzy szare bloki komputera, spiętrzone na osobnym stole pomiędzy ścianą a wąskim pulpitem do czytania, tonęły w mniejszych i większych pudełkach peryferii oraz skręconych spiralnie kabli, łączących je ze sobą nawzajem i z jednostką centralną, a tę ostatnią z UPS-em. Robert sięgnął ku leżącym na wierzchu oplecionej kablami piramidy goglom i pozbawionej palców rękawicy. Chciał tylko zobaczyć, czy nie ma czegoś w skrytce, więc nawet nie przysiadł na odsuniętym od pulpitu krześle.

Założył gogle.

Stał teraz przed rozciągającą się wysoko i szeroko ścianą kolorowych okien, usianych poruszającymi się zapraszająco ikonami. Na wprost miał główny panel. Wrota do Tamtego Świata. Wystarczyło skierować nań kursor i dotknąć czubkiem palca sensora rękawicy, aby znaleźć się w Studni, prowadzącej do głównej warstwy WorldNetu, zwanej potocznie Shellem lub, rzadziej, Skorupą. Wystarczyło kilka ruchów, by po raz kolejny znaleźć się w wirtualnych labiryntach, wycinanych z nieskończonej pustki płaszczyznami barwnego światła. W głębinach pełnych form, nie znających żadnych ograniczeń prócz granic ludzkiej wyobraźni, gdzie w każdym miejscu mogły otworzyć się nagle dziesiątki nowych przestrzeni, gwałcąc prawa geometrii i logiki.

Od prawie dwunastu miesięcy niemal codziennie zanurzał się w labiryntach cyberprzestrzeni, przemierzał niematerialne sztolnie, zredukowany do swych pięciu zmysłów. Od tak dawna żeglował pośród wciąż nowych, wciąż nieznanych barw i kształtów – a za każdym razem czuł ten przyjemny skurcz podekscytowania, jak kiedy po raz pierwszy w życiu przysiadł się do sieciowego komputera. Omal nie otworzył odruchowo głównego panelu i nie zszedł do Studni. Świetlisty punkt kursora dotknął już otwierającej ją ikony, kiedy przypomniał sobie, że stoi w swoim gabinecie, w domowym stroju, ledwie skubnąwszy śniadanie i że miał tylko zajrzeć do poczty, zanim Wiktoria wyjdzie do swojej redakcji.

Przesunął upstrzoną mniejszymi i większymi prostokątami ścianę w dół, sięgając interfejsu programu korespondencyjnego. Zewnętrzna skrytka zaświeciła mu w oczy hipertekstem setek oczekujących na przeczytanie listów.

Machinalnie przemknął wzrokiem po nagłówkach przymilających

się wybitymi barwną czcionką: “ważna wiadomość z USA” czy: “nie przegap uśmiechu szczęścia”. Nie sięgnął po żaden z nich. Nikt normalny nie sięgał. Ważna była tylko skrytka wewnętrzna, ta, w której komputer gromadził pocztę opatrzoną osobistym kodem odbiorcy, znanym jedynie tym, od których właściciel chciał dostawać listy.

Zazwyczaj wewnętrzna skrytka była pusta. Była pusta i wczoraj, i przedwczoraj, i jeszcze kilka wcześniejszych dni. Była pusta od tak dawna, że trudno było zrozumieć, po co tak często do niej zaglądał.

Tym razem był w niej list.

Nagłówek informował, że list przysłany został przez Brzozowskiego.

Nie przypominał sobie, aby Brzozowski kiedykolwiek porozumiewał się z nim tą drogą. Zanim jednak zdążył się zdziwić, usłyszał z przedpokoju głos Wiktorii. Nie rozwijając więc tekstu, odkrzyknął: “Idę” i nacisnął ikonę “drukuj”.

– Wychodzę! – zawołała Wiktoria. To był rytuał. Codzienny, mały ceremoniał dwojga ludzi, których życie niczym nie zaskakuje i którzy wcale nie pragną, by ich zaskakiwało. Jeden z tych rytuałów, które stworzyli, by uwięzić i zakląć to, co płonęło między nimi, aby nigdy nie zgasło. Ale gdy podszedł do Wiktorii, która umalowana już i gotowa do wyjścia czekała u drzwi na dopełnienie ceremonii, poczuł nagle przemożną chęć, żeby tym razem było to inaczej. Może dlatego, że uświadomił sobie, iż poza nią nic go dobrego w życiu nie spotkało, a może po prostu tkwiło to w szczególnej atmosferze tego poranka, w każdym razie zapragnął przytulić ją z całej siły do siebie i całować gorąco, tak gorąco, jak na osłoniętej krzewami ławce w Łazienkach, aż do utraty tchu, przycisnąć się do jej warg, znaleźć w nich smak tamtego odległego czasu…

– Zwariowałeś, chcesz mi wszystko rozmazać?! – uchyliła się z refleksem i zerknąwszy w lustro na ścianie poprawiła machinalnie kapelusik. – Nigdy nie wiesz, kiedy na co pora – dodała po chwili z wyrzutem.

Już po raz drugi tego poranka został ściągnięty gwałtownie na ziemię i po raz drugi nie zostało mu nic innego, niż pokryć to przywołaniem na twarz zagadkowego uśmiechu.

– Bo ty nigdy nie rozumiesz – westchnął, złożywszy na policzku żony codzienny, rytualny pocałunek.

– Lepiej się zacznij zbierać – zaśmiała się, obrzucając go spojrzeniem, po którym widać było, że mimo zagrożenia dla świeżo ukończonego makijażu ten nagły przypływ mężowskich uczuć nie sprawił jej przykrości. – Bo się spóźnisz do pracy. – I obróciwszy się jeszcze w drzwiach, kręcąc w zadumie głową, powiedziała:

– Co cię dzisiaj naszło?

– Co mnie dzisiaj naszło? – powtórzył na głos, zamknąwszy za nią drzwi. Skończy śniadanie, przeczyta ten list i pojedzie do pracy. Weźmie się wreszcie za to rozgrzebane zlecenie dla rządowego Biura Repatriacji i będzie siedział w Studni przez bite siedem godzin – pełny limit, jaki dopuszczali na jeden dzień lekarze. A może nawet odrobinę dłużej. Zmorduje się tak, żeby nie móc o niczym myśleć. Ani o świeżo odkrytych zmarszczkach, ani o Strefach, ani o pytaniu Wiktorii. Czuł, że jeśli zacznie o tym myśleć, rozklei się na cały dzień.

Drukarka wydała potrójny, szybki pisk i wyrzuciła z siebie pojedynczą kartkę. Uniósł ją do oczu.

Przeczytał, zamrugał oczami i przeczytał jeszcze raz.

Kiedy się zorientujesz, że jesteś w kłopotach, wiesz, gdzie mnie szukać – pisał Brzozowski.

*

Płaszczyzny światła wycinały z ciemności nierzeczywiste, widmowe sklepienie. Pod jego ostrymi łukami grały uwięzione w kryształach jasne płomienie. Również wysokie ściany utkane były z wielobarwnej poświaty. Miejsce, w którym się znajdowali, wyglądało jak powidokowa kopia średniowiecznej katedry. Z tą jedną różnicą, że gdyby ktoś próbował oddać w kamieniu lub cegle fantazyjne kształty, w jakie tutaj zwijała się przestrzeń, wysokie stropy nieodwołalnie musiałyby runąć.

Ale ani miejsca, w którym się znajdowali, ani widmowej materii, która je tworzyła, nie imały się ograniczenia fizyki i logiki przestrzennej.

Dwóch ludzi, rozmawiających w świetlnej katedrze, miało przed sobą tę samą twarz, której tego poranka przypatrywał się w lustrze Robert.

– Jestem sceptyczny – oznajmił jeden z nich. Jego postać lśniła świetlnymi refleksami, kiedy się poruszał, jak gdyby stworzono ją z płynnej rtęci. Twarz nie różniła się pod tym względem od reszty ciała: oczy i usta zaznaczały się na niej jedynie wypukłościami metalicznej powierzchni.

Rozmówca Rtęciowego wyglądał podobnie. On jednak był uczyniony z miedzi, a powierzchnie jego ciała jarzyły się w światłach katedry matowym blaskiem.

Miedziany uniósł rękę i poruszył palcami. Unosząca się na wysokości ich oczu karta katalogowa z trójwymiarowym zdjęciem Roberta w prawym górnym rogu zgasła i zniknęła w jednej chwili.

– Bardzo późno zaczął – wyjaśnił Rtęciowy. – Jest całkowicie ukształtowany. Zawsze instynktownie wzdragam się przed dopuszczaniem do sieci takich ludzi.

– Nie zauważasz jednego. Fakt, że zdołał rozwinąć zdolności mimo tak późnego startu, dowodzi wyjątkowego talentu, nie sądzisz?

Zarówno Miedziany, jak Rtęciowy mówili bez poruszania ust i bez wydawania dźwięków. Niewidzialna, łącząca ich nić elektronicznego sprzężenia przenosiła bezpośrednio do nerwów usznych, w których odzywały się one zawsze takim samym, metalicznym głosem. Podobnie jak jednakowa dla wszystkich członków rady forma fantomów z płynnego metalu, różniących się jedynie barwą tworzywa, zabezpieczało ich to przed możliwością przypadkowego rozpoznania.

– Tak czy owak, zostanie poddany próbie – oznajmił Miedziany – i dopiero wtedy przyjdzie czas na twoją akceptację lub sprzeciw. Jeśli chodzi o mnie, mam zaufanie do Garetha, to jeden z moich najbardziej oddanych researcherów. Jeśli go zarekomenduje, ta rekomendacja będzie wiele znaczyć. Jeśli uzna, że ten człowiek na rekomendację nie zasługuje, załatwi sprawę we własnym zakresie.

Przechadzali się niespiesznie po wzorzystej posadzce. W pewnym momencie przestrzeń przed nimi zafalowała, formując rosnącą z każdą chwilą soczewkę. Gdy jej średnica urosła do rozmiarów człowieka, bezbarwna materia zaczęła mętnieć, nabierać złotego odcienia, przelewać w kształt coraz bardziej przypominający ludzkie ciało. Wreszcie skonsolidowała się w kolejnego człowieka z płynnego metalu. Ten był ze złota.

– Nareszcie – stwierdził Rtęciowy. – Ostatnio coraz częściej każesz nam na siebie czekać.

– Jeśli chodzi o mnie, nie przeszkadza mi to – rzucił Miedziany. – Lubię to miejsce.

– Wybaczcie. Moja sieć jest dzisiaj bardzo przeciążona i miałem kłopoty z czasem rzeczywistym – Złoty skinął dłonią i z posadzki wyrosły trzy zwrócone do siebie fotele. Zasiedli w nich. Skinął dłonią jeszcze raz i w rękach jego rozmówców pojawiły się grube, oprawne w skórę woluminy. Gdy jednak Miedziany otworzył księgę, zmieniła się ona w wypełniony wypukłymi przyciskami panel sterowania hipertekstu.

Oczy wszystkich trzech otworzyły się jednocześnie, w tej samej chwili. Wyglądały teraz jak okna wycięte na nieskończoną, kosmiczną pustkę, w których iskrzyły się małe, kolorowe słońca źrenic.

– Panowie, oto sprawa, w której chcę poznać waszą opinię. Macie przed sobą najnowsze opracowanie porównawcze dynamiki ekonomicznej krajów Wspólnoty Pacyfiku. Odbiegają one od dotychczasowych oczekiwań. Niepokojąca jest zwłaszcza tendencja do rozdrobnienia, jaką przejawiają Chiny. Mamy tutaj trzy niezależne od

siebie ekspertyzy przygotowane dla Banku Światowego, FAO i WTO. Są zbieżne w generalnych wnioskach i zamierzam postawić sprawę przeorientowania pod ich kątem naszych zaleceń. Najpierw jednak pozwólcie przedstawić sobie prognozę wymodelowaną na podstawie danych zebranych przez WTO.

Palce Złotego zatoczyły krąg, wywołując z nicości pomiędzy nimi trójwymiarową projekcję plastycznej mapy basenu Pacyfiku, na której barwne symbole oznaczały potencjał gospodarczy poszczególnych krajów.

*

Przysadzisty budynek z burego piaskowca, oddzielony wąską uliczką od gmachu Filharmonii, zdawał się pamiętać jeszcze takie czasy, gdy w mieście Kataryniarza wierzono w lepsze jutro. Ponad rzędem wieńczących dach pseudorenesansowych ozdóbek wznosiły się szklanosrebrzyste ściany dwupiętrowej dobudówki, którą od czasu ostatniej reorganizacji dzieliły między siebie serwisy informacyjne TeleNetu i Centralna Agencja Informacyjna.

W budynku pracowało się właściwie przez całą dobę, ale codziennie na krótko przed dziewiątą rano przyległe parkingi i portiernia wypełniały się szczelnie tłumem spieszących do wejścia pracowników. Dziewiąta była w większości redakcji godziną porannego kolegium, rytuału wyznaczającego rytm życia mediów elektronicznych tak samo, jak wieczorne zamykanie numeru wyznaczało rytm życia prasy.

Andrzej miał zwyczaj zjawiać się w robocie jakieś pół godziny przed największym ściskiem, unikając w ten sposób kłopotu z parkowaniem. Od strony parkingu budynek miał dwie pary drzwi, obie zdobione stylizowaną, wykutą w stali kratą, przykrywającą szyby z mlecznego szkła. Te bliżej Świętokrzyskiej prowadziły do pięter biurowych, te bliżej Filharmonii używane były przez dziennikarzy. Zaraz za nimi trzeba było przejść przez elektroniczną bramkę albo skręcić w prawo, ku zapuszczonym stolikom poczekalni.

W drzwiach Andrzej wydobył z kieszeni marynarki staroświecki, skórzany portfel. Rozłożył go. Wewnątrz, w kilkunastu zachodzących na siebie przegródkach, tkwiły jedna koło drugiej karty magnetyczne. Spod skóry wystawały jedynie ich brzegi, połowa z nich miała ten sam, kościanożółty kolor i jak zwykle nie mógł sobie przypomnieć, która z kart jest jego legitymacją. Musiał przystanąć przed bramką i usunąć się o krok wzdłuż podwójnej barierki z grubych, srebrzystych

rur, przepuszczając innych. Czubkami palców wysuwał jedną kartę po drugiej o kilka centymetrów, chował i z rosnącą irytacją wysuwał następną. Karty rabatowe, karta klubu golfowego, kredytowa, jedna z czterech, przydatna w sieci stacji benzynowych British Petroleum/ Danska Oil, legitymacja związku…

Właściwa karta okazała się tkwić w przedostatniej przegródce po lewej stronie. Nie miał pojęcia, jak to robił, ale każdego poranka zaczynał poszukiwania od niewłaściwej strony.

Odstał kilkuosobową kolejkę, która zdołała się w ciągu jednej chwili utworzyć do przejścia, wreszcie wcisnął swą kartę do szczeliny czytnika. Blokująca bramkę, lśniąca metalicznie rozgwiazda obróciła się ze szczękiem o jedno ramię, wpychając go do środka. Wymieniając ze strażnikami obojętne spojrzenia dołączył do rosnącej grupki oczekujących na windę.

W hali redakcji krajowej, pełnej zestawionych w czworokąty biurek, zawalonych elektroniką i papierami, było jeszcze prawie pusto. Jedna z dziewczyn, Ilona, przeniesiona niedawno z mieszczącego się kilka pięter niżej programu lokalnego, ślęczała nad taśmą z wydrukiem zapowiadanego przez PAP rozkładu dnia.

– Cześć pracy. Że ci się chce, o takiej porze…

– Nie chce mi się – wyznała. – Ni cholery. Ale Rodakowi się nie chce jeszcze bardziej, a miał na kogo zwalić.

Wzruszył ramionami. Pod drukarką na jego biurku piętrzył się stosik listów z nocy. Zastanawiał się, w której szufladzie są dzisiaj papierosy. Z tym też było tak, jak z kartami w portfelu.

– Strata czasu – oznajmił w jej kierunku. – Już kiedy jak kiedy, ale dzisiaj wszystko jest wiadome. Wielki Dzień z Wielkim Niusem. Uroczyste podpisanie Gwarancji Społecznych na czołówkę^ wielki wiec związkowy zaraz potem i pierwsze dziesięć minut mamy z głowy. Dodajmy zagraniczne echa naszego wielkiego wydarzenia, krótkie relacje z dalszych oraz bliższych frontów, sport, pogodę… i po ptakach.

Znalazł. Tym razem były w najniższej.

– Szykuje się spokojny dzień – podsumował swą przemowę. – Oczywiście nie dla tych, których Rodak wpakuje do grafiku. A moja kolejka – podkreślił z dumą – jest dopiero w piątek.

Zajrzał dziewczynie przez ramię.

11:30, Ministerstwo Handlu Detalicznego, briefing nt. udziału Polski w najnowszych pracach Europejskiej Komisji Normalizacyjnej Opakowań Produktów Żywnościowych, zapowiadany udział min. Czesława Kiesia; 12:30 planowany przylot samolotu przewodniczącego Komisji Wspólnot Europejskich, sir Camemberta, Okęcie; briefing sir Camemberta w Małej Sali terminalu, akredytacje Centrum Prasowe URM.

– Ja to bym nie miała nic przeciwko. Chciałabym w końcu zrobić jakąś ważną imprezę, a nie same ogony.

Ilona była od niego prawie dwadzieścia lat młodsza, ale w hierarchii Działu Krajowego nie ustępowała mu ani o szczebelek. Nie myślał o tym. Człowiek zwariowałby, gdyby myślał o takich rzeczach. Zwłaszcza w tym fachu.

Odmruknął coś, zgarnął z biurka wydruki i z ich plikiem w jednym, a papierosem w drugim ręku poszedł na korytarz, skorzystać, że przy popielniczkach jeszcze się nie zdążył zrobić ścisk.

Minęły całe stulecia, od kiedy dziennikarstwo jawiło mu się jako dziedzina pełna romantyzmu i przygody, w której co drugiego dnia odkrywa się aferę Watergate i demaskuje knowania wywiadów. Kiedyś, w dawnych czasach, wielu podobnych mu młodych durniów wyobrażało sobie pewnie, że marynarze odkrywają nowe lądy i spędzają upojnie czas we wciąż nowych portach. A potem, pewnego dnia uświadamiali sobie, że niepostrzeżenie zmarnowali najlepsze lata życia na szorowanie pokładów, ani powąchawszy przygód.

Tak jak, niejasno uświadamiał sobie, coś takiego i on.

W rzeczywistości dziennikarzenie było robotą nudną i głupią, przypominającą do złudzenia przerzucanie węgla. Z tą jedyną różnicą, że szuflowało się i porcjowało informacje. Dzień w dzień bezbarwne łażenie po konferencjach prasowych, podtykanie sitka pod nos ludziom, którzy codziennie na nowo udowadniali, że nie mają literalnie nic do powiedzenia, a potem jeszcze żmudniejsze montowanie uzyskanych nagrań, lepienie z nich półminutowych i minutowych piguł, każda z jakimś pozorem wiadomości, że ktoś tam gdzieś tam powiedział coś tam.

Wszystko po to, aby wyrobić codzienną normę niusów, zwięzłych i szybkich, piętnaście wersów, pół minuty. Aby wypchać łamy gazet i czas antenowy dzienników informacyjną masą, dostarczyć ludziom na czas kolejnej porcji kitu do przeżuwania. Nie dlatego, by naprawdę potrzebowali wiedzieć, co na świecie i w kraju słychać. I tak połowy z tego nie rozumieli, a to, co przypadkiem zrozumieli, zapominali po minucie. Ludzie potrzebowali jedynie kojącego uszy szumu, ciągłego utwierdzania ich w fałszywym przekonaniu, że wiedzą, co się wokół nich dzieje, że świat jest mniej więcej taki, jak sądzą, nie wymyka się spod kontroli, a w razie, gdyby się wymykał, zostaną o tym w porę powiadomieni. Cała potężna maszyneria, w której Andrzej był maleńkim trybikiem, istniała po to, by dawać im poczucie bezpieczeństwa. Przeżuwali wciąż nowe porcje szuflowanego przez dziennikarzy informacyjnego kitu, zapominali natychmiast i zaraz włączali telewizor po jeszcze; jeśli zdarzyło się coś ważnego, zaraz i tak było wyganiane z ich pamięci przez codzienny natłok naznoszonych z różnych konferencji prasowych pseudoniusów i im

więcej pochłaniali szczegółów, im pilniej ślęczeli wieczorami przy Wiadomościach, tym mniej wiedzieli i rozumieli. Gdzieś w głębi, intuicyjnie, Andrzej zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, ale nigdy tak o tym nie myślał. Starał się o takich sprawach nie myśleć w ogóle. Wystarczało, że się w tym kieracie kręcił, żeby jeszcze miał o kręceniu się w nim rozmyślać. Od czasów, gdy chciało mu się deliberować nad swoim miejscem we wszechświecie, także minęły całe stulecia.

Istnieją trzy główne sposoby, którymi dziennikarze bronią się przed monotonią szuflowania informacyjnego kitu. Pierwszym jest wmówić samemu sobie, że szuflowanie informacyjnego kitu to ważka, społeczna misja, od której zależy coś, i popaść w zaangażowanie, na przykład na rzecz reform albo tolerancji. Sposób drugi to, przeciwnie, demonstracyjnie okazywany cynizm; redakcyjne pokoje i korytarze jak mało które miejsce zaludnione są przez całe tłumy mniej lub bardziej ponurych wesołków, cieszących się każdego dnia na nowo odkryciem, że na całym świecie nie ma nic świętego, nikogo uczciwego i ani jednej przyzwoitej motywacji. Trzecim wreszcie, najrzadszym i najgłębiej skrywanym, jest mieć niezłomną nadzieję, że pewnego dnia właśnie mnie trafi się ta długo oczekiwana sprawa, sensacja, brylant, prawdziwa bomba, która spomiędzy anonimowego tłumu, pożytkującego konferencyjne słone paluszki i wody mineralne, wyniesie mnie do wąskiego grona adorowanych gwiazd.

Andrzej wciąż żywił tę nadzieję, na wszelki wypadek nie przyznając się do niej nawet przed samym sobą. To ona kazała mu starannie przeglądać ignorowane przez innych drobiazgi, kolekcjonować znajomości we wszystkich możliwych środowiskach i nie odmawiać nigdy nikomu niewiele go kosztujących przysług, z nadzieją, że zostaną kiedyś odwzajemnione.

Inaczej niż Robert, miał zwyczaj ustawiać swojego desktopa tak, aby w nocy, kiedy nie używał do wejścia w sieć notebooka, każdy wchodzący do wewnętrznej skrytki list był od razu wyrzucany przez drukarkę na biurko.

Na jednym z kolejnych wydruków przykuła jego uwagę nazwa InterData. Zajęło mu kilka sekund, zanim przypomniał sobie, gdzie ją słyszał. Któryś z kumpli, z dawnej obsady lokalnego radia, gdzie zaczynał pracę, został podobno kataryniarzem. Jak on się nazywał?

W żadnym wypadku nie było w tym jakiegoś nagłego przeczucia, gwałtownego uderzenia adrenaliny, nic nie krzyknęło w nim: “Nareszcie, to jest właśnie to!” Nic podobnego.

Po prostu jeszcze jedna informacja. Szczerze mówiąc, nie wiedział, dlaczego mu ją przysłano. Prokuratura wojskowa wydała nakaz aresztowania prezesa firmy InterData, zamiast nadawcy sześciocyfrowy kod. Takimi kodami identyfikowały się komputery z ogólnodostępnych sieci pracujących dla instytucji państwowych.

Wśród ludzi, którzy prosili go swego czasu o drobną przysługę, kilku uważano za związanych z Firmą. Marny rewanż.

Dopiero wracając do pokoju krajówki uświadomił sobie, że aby list ujawnił swą istotną zawartość, trzeba dokonać drobnej operacji: położyć akcent nie na orzeczeniu, tylko na początku zdania.

*

Samochód, wiozący grupę Lancy, dotarł do miejsca, gdzie skarpa wiślanej pradoliny obrosła starymi kamieniczkami o stromych, kolorowych dachach, wieżami kościołów i czerwienią cegieł. Tam zwolnił i skręcił w lewo, pozostawiając za plecami połyskującą oleiście rzekę. Odstał swoją kolejkę na ślimacznicy mostu i włączył się w gęsty potok samochodów, ginący w pobliskim tunelu. Półkolisty, okafelkowany na brudnożółto strop skrył pracowników Firmy i prezesa przed wzrokiem spiżowego króla, wypatrującego z wysokości swej kolumny, czy na pobliskie parkingi zajeżdżają już autokary wiozące manifestantów z ich kukłami, trumnami i całą resztą wiecowych gadżetów.

Wyrwali się ze strumienia pojazdów kawałek dalej i po chwili zajechali pod na wpół zrujnowaną kamienicę na tyłach placu Bankowego, odcinającą się ciemnoceglaną barwą od wielkopłytowej szarości otoczenia. Swego czasu jakimś cudem kamienica ta przetrwała powstanie i jak to było wówczas we zwyczaju, musiała za to ponieść karę. Ponieważ kamienicę trudno było rozstrzelać czy wywieźć na Sybir, więc ukarano ją pozostawieniem na zawsze w dokładnie takim stanie, w jakim przetrwała – jeśli nie liczyć wstawienia drzwi i okien.

Oglądając z zewnątrz poszczerbione i wciąż jeszcze osmalone podczas rzezi miasta mury, trudno było wyobrazić sobie, że kryją one w swym wnętrzu elektroniczne cuda, o jakich nie mogli nawet marzyć informatycy pracujący dla rządu czy centrów naukowych. W istocie nie był to przypadek. Ocalały jakimś cudem z powstania budynek objęli w posiadanie panowie, którzy byli już wtedy Firmą, choć chadzali jeszcze w baranich kożuchach i przy pepeszach. Potem, gdy zbudowano im godniejszą siedzibę, kamienicę oddano kwaterunkowi, ale kilka mieszkań nadal było wykorzystywane jako konspiracyjne lokale do kontaktów operacyjnych. Z tego względu w latach osiemdziesiątych doprowadzono tam światłowodowe telełącza. Dwa zajmujące najwyższe piętro lokale, teraz połączone ze sobą przez przebitą ścianę, znalazły się w posiadaniu Inter-Daty w charakterze

aportu wniesionego przez współudziałowca spółki.

Kierowca zatrzymał czarną limuzynę w zatoce przed wejściem do budynku, obok stojącej tam już furgonetki. Zanim wyłączył silnik, szerokie, przesuwane drzwi w burcie furgonetki odsunięte zostały na bok. Pierwszy ukazał się w nich siwawy mężczyzna o poczciwej, nieco obwisłej twarzy, ubrany w elegancko skrojoną marynarkę. Trzech jego podwładnych, sądząc z wyglądu, mogło równie dobrze być bezpieczniakami, agentami ochrony albo "żołnierzami" mafii. Na tę pierwszą ewentualność wskazywała jedynie ostentacja, z jaką obnosili kabury pod luźnymi, kolorowymi bluzami w modnym fasonie.

Po zwięzłych przywitaniach luźny korowód, prowadzony przez Lancę i prezesa, skierował się do klatki schodowej. Ostatnie półpiętro przegrodzone było solidną kratą, zza której na naciskającego domofon łypała kamera, umieszczona na przyspawanym do stalowych prętów wysięgniku. Przycisk zwalniający wmontowane w kratę drzwi umieszczono w taki sposób, że aby wpuścić gościa, ktoś musiał przerwać pracę, wyjść na korytarz i przy tej okazji obejrzeć raz jeszcze dzwoniącego oraz jego najbliższe otoczenie.

Wchodzący nie naciskali jednak domofonu. Prezes przeciągnął kluczem wzdłuż stalowej taśmy, obramowującej otwieraną część kraty, rozległ się elektroniczny pisk, szczęknęły rygle i krata otworzyła się. Prezes oddał prostopadłościenne pudełko klucza Lancy, który przekazał je Siwawemu.

Biuro InterDaty było jeszcze o tej godzinie puste. Na wprost od wejścia długi przedpokój wiódł do poczekalni przed gabinetem prezesa. Reszta pokoi należała do pracujących dla spółki kataryniarzy. Zawalały je spiętrzone pod ścianami, a w większych pomieszczeniach również pośrodku, urządzenia. Wielkie jak szafy wieże w chropawych, antystatycznych skorupach, mniejsze i większe pudła, stosy pamięci, pulpity, terminale, rzeczy, których żaden z obecnych nie byłby w stanie nazwać, wszystko pospinane dziesiątkami metrów kabli, skręconych jak sznury telefoniczne.

Podczas gdy Lanca ze swoimi ludźmi i prezesem kierowali się do gabinetu szefa spółki, jeden z podwładnych Siwawego zajęty był spisywaniem personaliów nocnego stróża i jednej z sekretarek, która właśnie weszła. Pozostali, omijając z daleka plątaninę kabli, myszkowali po przegródkach ustawionego w przejściu regału, gdzie pracownicy zostawiali sobie dyskietki, kasety streamerów i najprzeróżniejsze świstki z krótkimi wyjaśnieniami, poleceniami albo prośbami.

Sam Siwawy przechadzał się w tym czasie niespiesznie po pokojach biura, czekając, aż będzie mógł zainstalować się w gabinecie i zabrać się do swojej pracy. Wreszcie drzwi gabinetu otworzyły się ponownie. Prezes, niosąc pod pachą kilka cienkich, foliowych teczek,

zagryzając nieznacznie wargi, wraz z towarzyszącą mu asystą ruszył z powrotem do samochodu. Lanca pozostał w gabinecie, czekając na Siwawego z dyskietką w ręku.

– To tak, protokół przeszukania zrobię sam – oznajmił. – Weźcie mi figurantów na pytajnik i wprowadźcie do meldunku. Kody sprawy i ścieżkę dostępu macie. Zabezpieczenie do sprzętu przyjdzie za jakąś godzinę.

Siwawy skinął niechętnie głową.

– Mam wszystko w instrukcji – powiedział. Lanca podniósł spojrzenie na rozmówcę. Jego twarz była nieodgadniona, jak u większości ludzi z Firmy.

– Tak, wiem. Ale jest taka sprawa, której nie macie w instrukcji. Będziecie tu mieli jednego figuranta, kataryniarza, który jest u mnie w perspektywie. Ja bym chciał, żebyście go trochę postraszyli, wiecie, żeby zmiękł, zanim się weźmiemy go zaklepać. – Uniósł trzymaną w ręku dyskietkę, pod przezroczystą kopertą zalśniły tęczowo mikroskopijne rowki zapisu. – Tu macie story pacjenta, przejrzyjcie sobie, znajdźcie parę haków, żeby go wybić z rytmu. Notatkę z rozmowy wpiszcie mi do sprawy.

– Gość jest do zajebania czy do przejęcia? – zainteresował się Siwawy, biorąc dyskietkę.

Lanca uśmiechnął się, wykonując palcami niedbały, pożegnalny gest w pobliżu prawej skroni.

– Nie nasze głowy – rzucił, odwracając się do drzwi.

*

– Nie, Andrzej, nie, kurka. Nie mąć. – Dokładnie tak, jak przewidywał, redaktor Rodak najpierw starał się go wzruszyć. – Kiedy indziej. Jutro. Nie dzisiaj. Dzisiaj jest wielkie międzynarodowe wydarzenie, pani prezydent, rząd, zagraniczni goście, wykupione wszystkie teleporty satelitarne, i cały ten szajs na mojej głowie. Cokolwiek tam masz, zabierz to i nie waż mi się dzisiaj pokazywać, dobrze?

– Dobrze. Ale daj sobie wytłumaczyć, o co chodzi – Andrzej omal nie rozdeptał jednego z redakcyjnych przynieś-wynieś, nie pozwalając się zgubić w ciasnym przejściu do gabinetu redaktora wydania. – Nic nie mówię, uparłeś się łamać kolejkę i wpisywać mnie na dziś do grafiku, dobra. Chcesz żebym robił oficjałkę, jak pierwszy leszczyk prosto z weryfikacji, dobra. Ale weź to przeczytaj. Możesz tyle zrobić?

Rodak zatrzymał się i popatrzył na niego udręczonym wzrokiem.

Otworzył usta, ale nie powiedział nic, westchnął tylko i nacisnął klamkę. Usiadł za swoim biurkiem, przez chwilę z namaszczeniem układał na blacie notebooka i podłączał go do gniazda sieci, najniepotrzebniej, bo na jego potrzeby szybkość transmisji bezprzewodowej wystarczała aż nadto. Wreszcie, uznawszy, że w żaden inny sposób nie zdoła się Andrzeja pozbyć, wyciągnął w jego stronę rękę i wciąż nie odrywając oczu od wyświetlacza notebooka, otworzył dłoń wnętrzem do góry.

Andrzej przestrzegał zasady, że cokolwiek chce się załatwić, należy w tym celu zdybać redaktora dnia tuż po porannym kolegium. Każdy prowadzący przychodzi na kolegium naładowany argumentami i niezłomną wolą nie ustąpienia nikomu ani o włos. Kłóci się i użera, aż wreszcie przeforsuje swój szpigel programu i zmusi wszystkich razem oraz każdego z osobna do pogodzenia się z przyznanym im czasem i wynikającymi z niego pieniędzmi. Czego dokonawszy, oddycha z ulgą, jego czujność słabnie, i właśnie wtedy trzeba go dopaść w wejściu do gabinetu i przycisnąć.

Rodak wydął wargi i oddając mu wydruk, wydał z siebie przeciągły, pierdliwy dźwięk. Jego mięsiste policzki zatrzęsły się niczym membrany.

– No i co? – uniósł wreszcie na niego wzrok po kilkunastu sekundach, w czasie których Andrzej nadal tkwił przy biurku. – Zamknęli biznesmena. Sam Pan Bóg nie jest w stanie policzyć, którego w tym roku. Prokurator zamknął, sędzia wypuści. I co mi z tego zrobisz? Zablokujesz ekipę z kamerą, żeby błyskotliwie dowieść, że facet ma powiązania z kręgami władzy? Kurka, jak on by nie miał powiązań z kręgami władzy, to by nie był biznesmenem, tylko zapierdzielał po całych dniach za gówniane pieniądze i użerał się z obibokami, tak jak ja.

– Tak właśnie myślałem. Dokładnie tak, jak mówisz. Ale potem sobie pomyślałem, że jeśli mi to podrzucił ten, kto myślę, że mi to podrzucił, to w sprawie musi być jakiś haczyk. Zauważ, kto wydał nakaz aresztowania. Prokuratura wojskowa nie zajmuje się zwykłymi przekrętami.

Rodak cofnął swe masywne cielsko na oparcie fotela.

– Dobrze wiesz, że takich historii pies z kulawą nogą nie ogląda. Nie chcesz robić oficjałki, tak, i szukasz pretekstu?

Andrzej milczał, z miną nie-potwierdzam-ani-nie-zaprzeczam.

– To nie szukaj – podjął Rodak. – Robisz ją i już, nie mogę tam dać małolatów.

– Dobra – oznajmił po raz kolejny Andrzej. W tego typu dyskusjach jakakolwiek odmowa wprost tylko irytowała przejętego swą władzą przełożonego i pogarszała sytuację. – Ale wiesz, co to jest ta InterData? Wiesz, ile jest takich firm na polskim rynku? Zero.

Oprócz niej ani jednej.

– Sprawdzałeś to?

– Oczywiście, że sprawdzałem! – umiejętność łgania bez drgnienia powiek należy do podstawowych kwalifikacji zawodowych dziennikarza. – A wiesz, czym oni się zajmują? To jest agencja kataryniarzy. Przyjmują kontrakty na duże opracowania i grzebią w sieciach komputerowych. Łażą po nich jak po swoim.

– Co to jest kataryniarz? Brain driver?

– Dokładnie. Nie zakłada gogli i rękawic, tylko wtyka se wtyczkę w łeb i wiesz. A ja mam kumpla, jeszcze z radia, który w tej branży wylądował. Świetny gość, wychlaliśmy razem całe morze gorzały. Na pewno mi coś podrzuci, czego inni nie znajdą.

– Brain driver w radiu? – Rodak wydał się zainteresowany. – TeleNet wynajmuje czasem jednego z researchu satelitarnej i nawet w takim układzie ledwie im się kalkuluje.

– W radiu jeszcze nie był kataryniarzem, w radiu obaj robiliśmy w serwisach. Potem on poszedł do Belwederu, do biura prasowego, i tam z niego zrobili kataryniarza. Uważasz, taki facet może coś podrzucić.

– Podrzucić – Rodak wyciągnął się, wycierając rzadką szczecinę, porastającą go pomiędzy uszami, o zagłówek fotela. Jego wzrok błądził przez chwilę po wypełniających przeciwległą ścianę ekranach. – Jak to będzie szajs, to beknę, a jak nie, to zaraz zabiorą nam to większe misie od ciebie i redaktora Rodaka. – Andrzej nigdy nie wiedział, czy to wieczne, demonstracyjne litowanie się nad sobą było świadomie odgrywanym teatrem, czy immanentną cechą charakteru jego kierownika redakcji; najprawdopodobniej pozą, która z czasem stała się drugą naturą.

Westchnął.

– Czego ty chcesz? Mów i daj mi pracować, mam na łbie te teleporty. I nie próbuj się wykręcać od dzisiejszej roboty. Robiłeś trzy lata związki zawodowe, robiłeś w zagranicznej Unię Europejską, nie mam dziś nikogo lepszego i nie popuszczę.

– Daj mi tylko komentarz i ogólny nadzór – zasugerował. – Z setapem i montażem poradzi sobie już każdy. Weź tę rudą, co się tak stara, jak jej tam…

To dawałoby mu praktycznie pół dnia dla siebie. Robienie komentarza można było ograniczyć do streszczenia własnymi słowami przefaksowanego z URM przesłania dnia.

Rodak wyprostował się na fotelu, z twarzą wyrażającą najgłębszy namysł.

– Słuchaj – zainteresował się. – Kto ich właściwie tak cudacznie nazwał, tych twoich kataryniarzy?

*

Wiktoria stała w codziennym korku u zbiegu Sikorskiego i Sobieskiego i czekała na skręt w lewo. Zupełnie nie łączyła widoku wpatrzonego w swe odbicie w lustrze męża z jego kilkoma siwymi włosami czy zaczątkami zmarszczek. W przeciwieństwie do Roberta, dostrzegła je już dawno.

Dostrzegła nawet coś, czego on sam sobie do końca nie uświadamiał.

Że od kilku już tygodni był stale przygnębiony.

Wiktoria nie należała do osób podatnych na wzruszenia typu pierwszy-siwy-włos. Nie przyszłoby jej do głowy robić odkrycie z tego, że czas płynie. Nie podejrzewała nawet swego męża, by mógł dotąd nie zauważyć, że nie jest już tym obiecującym młodzieńcem, a w przyszłości zobaczysz-jeszcze-kim, za którego swego czasu wyszła.

A już naprawdę ostatnim, na co by wpadła, było szukać przyczyn jego przygaszenia w pytaniu, które zadała mu niegdyś sennym głosem i o którym nie pamiętała już następnego ranka.

Gdy przez kilkadziesiąt sekund stała w drzwiach łazienki, czekając, aż dostrzeże jej uśmiech nakryłam-cię, patrząc, jak gładzi się po twarzy, sądziła, że mąż postanowił zastosować się do rad telewizyjnego motywatora z weekendowych “porad przy lunchu”.

Telewizyjny motywator uczył, jak odnosić sukcesy. Przede wszystkim należy w tym celu, dowodził, kochać siebie samego. Ale, uwaga, kochać siebie samego trzeba w sposób nieegoistyczny. Co to znaczy kochać siebie samego w sposób nieegoistyczny? To znaczy codziennie rano popatrzeć chwilę na swe odbicie w lustrze z sympatią, powiedzieć sobie samemu kilka miłych słów, a zwłaszcza zapewnić się, że jest się świetnym, doskonałym, zdolnym do osiągnięcia każdego zamierzonego celu i generalnie, że się w siebie wierzy. Po czym, nauczał motywator ze śmiertelną powagą, należy się do siebie uśmiechnąć i pogłaskać się po buzi albo coś w tym stylu.

Nacisnęła gaz, by zbliżyć się do skrzyżowania o kilkunastometrowy skok. Przygnębienie. Dziwne przypatrywanie się sobie w lustrze. A potem ten nieoczekiwany wybuch czułości. Czego mu brakowało? Co było źle?

Czy mógł się czuć sfrustrowany? Nie. Ilu było kataryniarzy w całej Polsce? Stu? Dwustu? Na pewno był jednym z najlepszych. Zarabiał teraz lepiej, niż kiedykolwiek w życiu oczekiwali, a gdyby tylko mu na tym zależało, mógłby zarabiać jeszcze lepiej. Nie miał powodu, by czuć się niespełniony.

Musiała być jakaś inna przyczyna.

Winiła się o jego przygnębienie. Zawsze, cokolwiek się z nim

działo, szukała winy w sobie. Roberta doprowadzało to do pasji, ale Robert nie wiedział i nigdy nie miał wiedzieć, dlaczego czuła się wobec niego winna.

To, czego nie mogła sobie darować, o czym Robert nie wiedział, było może jedyną rzeczą, którą zdecydowana była ukryć przed nim na zawsze. Nie potrafiłaby się mu do tego przyznać. Nie potrafiłaby się do tego przyznać nikomu.

To był jej najgłębiej skrywany sekret. Bardzo gorzki sekret. Stłoczone przed skrzyżowaniem samochody znowu posunęły się o kolejnych kilkanaście metrów. Wcisnęła gaz, w ostatniej chwili zajeżdżając z trąbieniem drogę jakiemuś bezczelnemu typowi, który usiłował wepchnąć się przed nią z prawego pasa.

*

Nawiasem mówiąc, tkwiąc w korku u zbiegu Sikorskiego i Sobieskiego, Wiktoria przez chwilę znajdowała się o zaledwie półtora metra od Człowieka, Który Wiedział Wszystko.

Człowiek, Który Wiedział Wszystko, siedział w blokującym prawy pas autobusie linii 377, pełnym smrodu gorzały i potu. Siedział przy oknie, tak że gdyby tylko uniósł na chwilę głowę, mógłby zobaczyć na wysokości swoich kolan dach jej samochodu, lśniący metalicznym granatem. Ale o tym, by uniósł na chwilę głowę, nie było nawet mowy, gdyż bez reszty oddany był lekturze trzymanej na kolanach broszurki, wydrukowanej na cienkim, połyskliwym papierze. Tekst, który tak go pochłaniał, szedł następująco:

Kto jest “Bestią plugawą, imion wszetecznych pełną”, o której wspomina Pismo? (Obj. 17:3,8) Jest nią władza świecka, rząd, prezydent, sejm i izba samorządowa, które w swej pysze mamią Lud Boży złudnymi nadziejami na lepsze życie. Przyrzekanie ludziom czegoś, co spełnić może jedynie Królestwo Boże Na Ziemi (Daniel 2:44) jest bluźnierstwem (Jan 2:1,2), dlatego Pismo Święte mówi wyraźnie, że rząd, prezydent, sejm i izba samorządowa “odejdą na zagładę” (Izajasz 9:6,7). Tylko doskonały, niebiański Rząd Boży będzie w stanie zapewnić ludzkości pokój i szczęście (Obj. 17: 11,12), aby radowała się w pełni życiem w “Ogrodzie Eden” (Gen. 12:3,4) na oczyszczonej z plugastwa Ziemi, wcale nie przeludnionej (Gen. 2:15). A rządy Boga i 144.000 jego obdarzonych chwałą uczniów będą trwać 1000 lat (obj. 20:4-6). Wymienione przez Boga w Piśmie Świętym 1000 lat nie jest żadnym symbolem, tylko tak, jak jest: 1000 lat. Zanim one nastąpią, “Bestia plugawa” wyzwolona zostanie “na małą

chwilę przerażenia" z piekielnej Otchłani. (Obj. 20:3). Potem zostaną zbudzeni ze snu śmierci i powstaną z grobów zmarli (Ap. 5:28,29), a ci, którzy obejmą władzę w oczyszczonym Królestwie Bożym przez 1000 lat nie umrą (Jakub 2:21-23, Mateusz 24:21,22).

1. Jak skończy Bestia plugawa, imion wszetecznych pełna i dlaczego?

2. Ile trwać będzie panowanie na Ziemi Boga i 144.000 jego najwierniejszych uczniów?

3. Co ty robisz na swoim odcinku, by przyspieszyć zagładę Świata Pogan i nadejście Rządu Bożego?

Tu Człowiek, Który Wiedział Wszystko, na chwilę przerwał, by popatrzyć z nabożeństwem na zamieszczony obok obrazek (srogi, zawzięty starzec z długą brodą, siedzący na wysokim tronie, z koroną na głowie i berłem w jednym, a mieczem w drugim ręku), przewrócił stronę i ponownie zagłębił się w lekturze.

Po kolejnych zmianach świateł Wiktoria wyprzedziła autobus o metr, o trzy, a potem o dziesięć metrów, wreszcie skręciła w Sobieskiego, przeskakując światła i dołączając do kolejnego korka, kończącego się na wysokości zdobiącego środek trójkątnego trawnika bilbordu, na którym plakaciarze wyklejali właśnie z papierowych wstęg wizerunek tłustego, obleśnego faceta w czarnym garniturze i takiejż koszuli z czarną stójką, z kropelkami potu na łysinie i wypiętym zadkiem. W ten to zadek kopało czarnego dwóch wychudzonych młodzieńców w modnych wdziankach giba. W rozłożonych szeroko rękach trzymali pokryte kolorowymi zygzakami puszki. Napis głosił:

NISZCZ NIENAWIŚĆ. PIJ MIKA!

Przejeżdżający kierowcy uśmiechali się na myśl o protestach, jakie niechybnie ów bilbord wywoła i z jakich przez parę najbliższych dni będą sobie robić jaja. Nie wszyscy się uśmiechali. Tylko ci, którzy mieli czas przyjrzeć się efektom roboty plakaciarzy.

Człowiek, Który Wiedział Wszystko, zaczytany, nie zwrócił na nich uwagi.

*

O jedenastej trzydzieści na Okęciu lądował samolot z Sankt Petersburga. Pan Darek wyszedł przed drzwi komory celnej i oparty barkiem o framugę przyglądał się pustawej jeszcze hali przylotów. Na prawo od niego ostatni pasażerowie z Londynu zabierali swoje walizki z kręcącej się stalowej taśmy i układali je pieczołowicie na z trudem

upolowanych wózkach bagażowych.

Zwalistą sylwetkę pana Darka jego znajomi porównywali pieszczotliwie do trzydrzwiowej szafy. Miał krótko przycięte, usiane siwizną włosy i zdążył już zjeść na tej robocie zęby.

– To jest jeden z ciekawszych przylotów w ciągu dnia – pouczył kolegę, który wysunął się z drzwi tuż za nim. -Tu latają stare cwaniaki. Łatwo się dać nabrać.

Jego kolega pracował na komorze celnej dopiero od kilku dni. Kazano mu pytać o wszystko pana Darka i słuchać jego poleceń. Od czasu, kiedy podobnie szkolił się pan Darek, minęło dwadzieścia parę lat. Czasem sam się dziwił, kiedy to się mogło stać.

– A w ogóle to jest nieźle, starasz się – dodał. – Tylko uważaj, żeby nie za bardzo.

Teraz nie grzebał już ludziom w bagażach. Przechadzał się za plecami młodszych kolegów, czasem nawet opuszczał komorę i kręcił się po hali przylotów, przyglądając się pasażerom, oceniając ich zachowanie, sposób, w jaki rozmawiali między sobą i układali wargi. To była jego codzienna gra. Czasem dostrzegał coś, co dawało mu pewność, że właśnie tego człowieka trzeba wypatroszyć, i wtedy podchodził znienacka, zazwyczaj pod koniec kontroli, kiedy delikwent oddychał już z ulgą, zaglądał do ręcznego i zabierał pacjenta na szczegółowe trzepanie.

Jeśli przypadkiem nie przynosiło ono skutków, to znaczyło, że przegrał i wtedy przez jakiś czas lepiej było się do niego nie zbliżać. Na szczęście zdarzało się to raczej rzadko.

Tego dnia był w dobrym humorze.

U końca hali, za barierkami odgradzającymi stanowiska kontroli paszportowej ukazali się pierwsi pasażerowie. W jednej chwili ustawili się w kolejki. Od strony gate'u przybywało ich wciąż więcej, aż wreszcie całą przestrzeń za barierkami wypełniła zbita ciżba. Jeszcze chwila i pilnowane przez dwóch przechadzających się leniwie wopistów przejścia zaczęły wypluwać pojedynczych przybyszów, którzy, upychając po drodze paszporty do kieszeni lub podróżnych toreb, szli niespiesznie ku taśmie z odbiorem bagażu.

Pan Darek nie ruszał się jeszcze z miejsca. Wiedział, że pierwsze bagaże pojawią się na taśmie dopiero wtedy, gdy wokół zdąży się już zebrać całkiem spory tłumek oczekujących.

Od strony kontroli paszportowej nadchodziło dwóch mężczyzn. Obaj wysocy, barczyści, o smagłych twarzach, dobrze znanych panu Darkowi. Ten z nich, który przeszedł kontrolę jako pierwszy, czekał chwilę za barierką na towarzysza. Potem ruszyli, rozmawiając półgłosem po rosyjsku. Obaj w sportowych marynarkach, obaj tylko z niewielkimi saszetkami w wypielęgnowanych dłoniach. Nawet nie spojrzeli na kręcącą się wciąż na pusto taśmę. Minęli

odpoczywających celników i zniknęli w drzwiach, nad którymi białe litery na niebieskiej planszy głosiły: NOTHING TO DECLARE.

– Widziałeś ich, młody? – zapytał pan Darek.

– Aha.

– Jeszcze się takich naoglądasz. Przylatują tym, odlatują jutrzejszym o ósmej rano. Zawsze tylko jeden dzień. Żadnego bagażu. Czasem to nawet ci sami. Niektórych widziałem po kilkanaście razy.

Pan Darek pokiwał smętnie głową.

– No i widzisz, młody – oznajmił z nutą żalu w głosie. – Ktoś dzisiaj umrze.

*

Brzozowski, jak zawsze po długiej pracy w sieci, stracił poczucie czasu. Siedział przed terminalami pokoju kataryniarzy Kancelarii Państwa i obolałym ruchem ścierał z podgolonego karku resztki brunatnej mazi, przekonany, że jest szósta, najwyżej w pół do siódmej nad ranem i okoliczne korytarze oraz gabinety pozostają jeszcze puste.

Strażnicy, pilnujący budynku Kancelarii Państwa, zdążyli już przywyknąć, że rządowi kataryniarze pracują o najdziwniejszych porach. Czasem trzeba było sięgać do sieci krajów, nad którymi słońce wędrowało w zupełnie innych godzinach niż nad Europą Środkową. Każdy wolał w takiej sytuacji kontaktować się z SysOpem zamiast tracić czas na poznawanie zupełnie sobie obcego terenu, zaś tamtejsi operatorzy w nocy przeważnie spali, zostawiając tylko dyżurnych, którzy z kolei mieli zwyczaj wszelkich intruzów spławiać na ranek.

Brzozowski zmiął ligninową chusteczkę w palcach, sięgnął po następną i zabrał się do czyszczenia płytek neurotransmiterów, wyszczerzonych z czarno-złotej przylgi sterownika. Przylga wyglądała teraz jak rozwarty szeroko pysk zdychającej gumowej ryby, o miękkim, klejącym się do skóry podniebieniu. Wrażenie potęgowały okalające gęsto rybie wargi złote igiełki stabilizatorów napięcia powierzchniowego skóry, przywodzące na myśl zęby konającego w wędkarskiej torbie szczupaka.

Chuchnął na lśniące złotawo płytki, przetarł je raz jeszcze, po czym, rozprostowawszy palce, pozwolił oczyszczonym stykom zatonąć w ochronnej okleinie rybiego podniebienia. Przebiegł dotykiem po przyłączach portu i zwinąwszy starannie przewody złożył je na terminalu.

Tym razem Brzozowski siedział przez całą sesję w sieciach krajowych. Wybrał więc do pracy noc z nieco innych niż zazwyczaj

powodów. Było ich kilka. Przyzwyczaił się pracować w nocy, polubił to, a jego organizm sięgał wtedy szczytu swoich możliwości. Ponadto wiedział, że będzie sam, bo w dniu uroczystego podpisania Gwarancji Społecznych popyt na kataryniarzy gwałtownie wzrastał. Zachodnim agencjom taniej było wynajmować w razie potrzeby obsługę na miejscu, niż utrzymywać ją na co dzień w Warszawie, i wszyscy jego współpracownicy z kancelarii zajęci byli chałturami na mieście. A wreszcie, podczas załatwiania swoich spraw Brzozowski nie potrzebował kontaktować się z SysOpami. W Piramidzie, którą zajmował się przez większość czasu, miał wyższy stopień dostępu od prawie każdego z nich. Nawet nie wiedzieli, że tam jest i obserwuje ich poczynania.

Przymknął powieki; wciąż jeszcze wyczuwał pod nimi powidokowe linie kraciastego interfejsu rejestrów Firmy. Zatrudnionym przez nią programistom zabrakło fantazji i zmysłu estetycznego. Wewnętrzna sieć Firmy wizualizowała wychodzące z siebie okna danych w niekończące się szeregi stalowych szaf, migoczących na zewnątrznych powierzchniach identyfikatorami, filtrami sortowania i przeglądarkami hipertekstowymi. Nie lubił tego interfejsu, kreowany przez niego pejzaż był szary, nieprzyjemny i równie nudny jak dane, które ukrywał. Mając za sobą całą dostępną mu potęgę serwerów Corbenicu, poruszał się wśród tajemnic, chronionych dziesiątkami rozmaitych zabezpieczeń haseł i kodów z łatwością, ale bez przyjemności.

Sieć Firmy była wyjątkowo gęsta, wzajemne relacje jej poszczególnych węzłów mogłyby przysporzyć kłopotów w nawigacji nawet jemu. Dobre dziesięć razy podczas ostatniej sesji musiał się odwoływać do wirtualnych map z pamięci Corbenicu. Każda informacja, jaką zdołała uzyskać Firma, każde polecenie wędrujące z wydziału do wydziału, meldunek, kontakt operacyjny, wszystko zwielokrotniało się natychmiast, kodowane jednocześnie w kilkunastu miejscach. Rejestry Centrali automatycznie odsyłały suplement rejestru swojej własnej zawartości do rejestrów poszczególnych Fabryk, jak przyjęło się w Firmie nazywać jej terenowe ekspozytury. Z Fabryk przychodziły zapisy o zapisach dokonanych u nich, które natychmiast były rejestrowane w dwóch miejscach centrali, przy jednoczesnym odesłaniu callbackiem zapisu o ich zapisaniu. W ten sposób, marnotrawiąc większą część należącej do niej przeliczeniowej potęgi, Firma chroniła się przed próbą nie autoryzowanej ingerencji w jej banki pamięci, fałszerstwa albo choćby zwykłego błędu. Wystarczyło, by którykolwiek z krążących po niej licznie debbugerów wyłapał różnicę pomiędzy stanem odpowiadających sobie elementów Piramidy, a uruchamiała się bezgłośna, ale morderczo skuteczna procedura alarmowa.

Brzozowskiemu konieczność uzgadniania każdej poprawki w kilku, nawet kilkunastu miejscach, nie uniemożliwiała pracy. Czyniła ją tylko niezwykle żmudną i zwłaszcza w połączeniu z urzędniczą szarością głównego interfejsu, niewdzięczną. Kiedy potrzebował wyskoczyć z tej szarości do Fortecy, w jaką dla zawodowej fantazji zmienili standardowe pejzaże swoich sterowników i serwerów kataryniarze InterDaty, miał wrażenie, jakby przeniósł się z ładowni rudowęglowca do apartamentów w Hofburgu. Ale niestety, wizyta w wirtualnej części InterDaty trwała krótko, tyle tylko, ile potrzebował na przestrojenie sterownika Roberta i wysłanie szczegółowych instrukcji dla wezwanego kanałem Firmy jej specjalisty od sprzętu.

Czuł nieopisaną ulgę, że ma to nudne piłowanie Piramidy za sobą. W porównaniu z tą sesją wszystko, co jeszcze pozostało do zrobienia, zdawało się czystą radością.

Ulga Brzozowskiego mieszała się z przyjemną świadomością, że wywiązuje się ze swego zadania lepiej, niż by pewnie umiał ktokolwiek inny. Nie chodziło już nawet o to, że – pamiętał o tym doskonale – ktoś na pewno śledził jego, tak jak on sam śledził przez ostatni rok Roberta, i że ten ktoś na pewno wystawi mu pochlebne świadectwo. Brzozowski po prostu lubił czuć się dobry. To był jego narkotyk, jego zapłata, przyczyna i skutek wszystkiego, co robił: świadomość, że nie ma dla niego żadnych szklanych sufitów, że gdziekolwiek sięgnie wzrokiem, tam prędzej czy później będzie się w stanie dostać.

Ta przyjemna świadomość, zmieszana z ulgą, sprawiły, że nie dotarło jeszcze do niego zmęczenie nocną sesją. Przeciwnie. Rozpierała go radosna energia i aby dać jej upust, odchylił się głęboko na oparcie fotela, wyprostował nad głową złączone ręce, aż mu coś chrupnęło w kręgosłupie, i zaśpiewał na cały głos:

Ułani, ułani, Nasza kaaaawaleria!

Lecą strupy z dupy, a czasem materia!

Drzwi pokoju otworzyły się i wyjrzał zza nich nieco spłoszony przynieś-wynieś z sekretariatu.

– E, kataryniarze… – zaczął spłoszonym szeptem człowieka, który każdego ranka na nowo musi stawiać czoło wielkiej panice. Poznał Brzozowskiego, nabrał oddechu i pewniejszym już głosem wyrzucił z siebie:

– Zgłupiałeś?! Dziesiąta rano, wszędzie pełno ludzi!

Po czym zatrzasnął wierzeje gabinetu.

*

Była to prawda. Była dziesiąta rano i w Kancelarii Państwa oraz wszędzie dookoła niej było pełno ludzi. Pani Prezydent miała wprawdzie w dniu uroczystego podpisania Gwarancji Społecznych wiele ważniejszych zajęć i jej sekretarz odwołał zwyczajowe spotkanie z szefami Sekretariatów, ale ta nieobecność nie wpłynęła na panujący w Kancelarii ruch.

Kancelaria Państwa mieściła' się w barokowym pałacu, niedaleko od spiżowego króla. Król pamiętał jeszcze, jak pod pałac ten kładziono fundamenty; później, już ze swego pokutnego słupa śledził z ironicznym uśmiechem na kamiennych wargach dalsze losy budowli. W drodze kolejnych spadków i posagów przeszła ona z rąk hetmana Koniecpolskiego w ręce Lubomirskich, potem Radziwiłłów, ale żadne z tych sławnych nazwisk nie dało jej nazwy. Nazwę swą zawdzięczał pałac pewnemu generałowi, który urzędował tam w charakterze namiestnika cara Wszechrosji. Oczywiście przyjmując tę służbę generał poświęcał się, wiedziony głębokim patriotyzmem i świadomością, że jeśli nie weźmie rodaków za pysk on sam, to car przyśle kogoś jeszcze gorszego. Za młodu generał ów był żarliwym jakobinem i ramię w ramię z kamiennym szewcem, wciąż wywijającym nad głową szablą, urządzał rewolucję w celu wieszania zdrajców i burżujów, a zwłaszcza dzielenia się skonfiskowanym im dobrem. Postępując konsekwentnie tą drogą dosłużył się na starość tytułu książęcego, którym raczył go za wierne namiestnikowanie nagrodzić car. Dzięki wykazanemu w życiu pragmatyzmowi generał nie musiał teraz pokutować na żadnym słupie i służyć za cel gołębich wypróżnień.

Od czasów owego księcia rewolucjonisty zmieniło się przede wszystkim to, że pałac rozbudowano o dwa równoległe skrzydła. Schodząc białymi ostrogami po skarpie wiślanej pradoliny, sprawiały one, iż oglądana od strony rzeki siedziba Kancelarii przypominała z dala ogromny ząb, wyłażący wraz z korzeniem z zielonego dziąsła. Przebudowa ta skomplikowała niezmiernie i tak wystarczająco niebanalny układ korytarzy, po których cyrkulowali spłoszeni przynieś-wynieś. Przebiegali z naręczami papierów poprzez gabinety i sekretariaty, tu podkładając jakieś świstki do szufladek i na biurka, tam znowu wygarniając coś z przegródki i dołączając do swoich naręczy. Na ich ruch nakładał się pęd sekretarek i sekretarzy, pomocników i referentów spieszących z parkingu, od portierni ku ulokowanym na wyższych piętrach gabinetom, aby rozrzucić wokół swych stanowisk trochę papierów, sygnalizujących przebiegającym mimo przynieś-wynieś, że praca już się zaczęła – a potem przyłączyć się do ogólnego krążenia po korytarzach, zbierania się przy kranach, zlewach oraz maszynkach do kawy i wymieniania uwag.

Gdyby na chwilę uczynić ściany i stropy wielograniastego budynku Kancelarii Państwa przezroczystymi i oznaczyć świetlistą kuleczką każdego przynieś-wynieś, każdą sekretarkę i każdego z szefów, którzy zależnie od rangi pojawiali się w kwadrans, dwa kwadranse lub trzy kwadranse po sekretarkach, i gdyby jeszcze jakimś sposobem przyspieszyć kilkakrotnie obraz – to postronny obserwator dostrzegłby, jak w ogromnym akwarium, wyznaczonym stalowymi zbrojeniami ścian, tańczą atomy, odbijając się i wirując wokół siebie nawzajem, a jednocześnie dwójkami-trójkami wokół wspólnych szefów i jeszcze całymi, skupionymi wokół tychże szefów grupami wokół szefów jeszcze ważniejszych, którzy pomykali na odległych orbitach osób Bardzo Ważnych; orbitach tak odległych, że w pierwszej chwili można by pomyśleć, iż poruszali się po liniach prostych. Ale było to tylko złudzenie, któremu niektórzy z nich też zresztą ulegali, nie wiedząc, że kręcą się i wirują wraz z pozostałymi. Wszyscy wirowali, tak że gdyby ktoś zdawał sobie z tego bezustannego kręcenia się wokół siebie i wirowania sprawę, to natychmiast zakręciło by mu się w głowie i zrobiło niedobrze.

Akwarium Kancelarii było tylko drobnym fragmencikiem miejskiego ruchu, który od rana rozkręcał się z każdą chwilą, z każdym wyłączonym budzikiem, każdym pociągnięciem spłuczki i każdym pstryknięciem światła w każdym z setek tysięcy mieszkań. Ten sam wirowy ruch, z wolna narastający od portierni po najwyższe piętra, wypełniał stojące pośrodku miasta biurowce i napędzał krążące wokół nich w rozpaczliwym poszukiwaniu miejsca do zaparkowania samochody, popychane zderzakami coraz to nowych wozów nadjeżdżających od obrzeży miasta, które też miały już na plecach następne wozy, spiętrzone w ulicznych korkach na za wąskich skrzyżowaniach i cisnące się uparcie w zatłoczone uliczki centrum; a wokół nich płynęły we wszystkie strony strumienie ludzi, wtłaczanych w kapilary chodników przez przeciskające się w ścisku tam i z powrotem tłoki komunikacji miejskiej. Ten sam wirowy ruch popychał samochody wokół miasta, i można by tak oddalać się i oglądać ten balet z coraz większym rozmachem, aż przyszłoby dostrzec planety, kręcące się zapamiętale wokół siebie nawzajem, Słońca i środka Drogi Mlecznej.

Ten bezustanny ruch nie mógł pozostać bez wpływu na Tamten Świat i Brzozowski był teraz zły na siebie: przecież wychodząc ze Studni czuł, jak obciążone są węzły sieci i mógł się po tym domyślić, że znowu stracił poczucie czasu. Nie wiedział, dlaczego ciągle mu się to zdarzało i choć był to nieistotny drobiazg, ta skaza na własnej doskonałości drażniła go jak swędząca krostka w niewygodnym miejscu.

Węzły sieci zawsze były o tej porze dnia przeciążone, nawet jeśli

nie podpisywano akurat Gwarancji Społecznych. Sekretarki, skoro już nagadały się przy kurkach i maszynkach do kawy, zabierały się pod okiem różnej rangi szefów do pisania mniej lub bardziej potrzebnych listów i faksów, a kiedy już je napisały, naciskały klawisz ENTER i posyłały zapisane słowa w obieg po plątaninach elektronicznych sieci. Ze sklepów do banków i z banków do sklepów płynęły zera i jedynki przyjmowanych i wypłacanych pieniędzy. Rachunki i specyfikacje. Opinie służbowe i życiorysy. Polecenia i dyspozycje. Rezerwacje i zamówienia. Raporty i sprawozdania. Monity i zapytania. Odpowiedzi i wypowiedzenia. Rekomendacje i protesty. Noty i bilanse. Oferty reklamowe i podziękowania. Z biur, kas, central, agencji, urzędów, redakcji, uczelni, hurtowni – do hurtowni, uczelni, redakcji, urzędów, agencji, central, kas i biur. Przez okablowania osiedlowych telewizji, przez łącza podziemne i podwodne kable, przez linie telefoniczne i łącza satelitarne, przez radiolinie i specjalne kanały przesyłu danych, przez ogólnodostępne sieci i zamknięte systemy, przez małe, kilkustanowiskowe sieci lokalne i infostrady oplatające świat z prędkością światła.

Wszędzie i w każdej chwili. Żaden obywatel cywilizowanego świata nie mógł zrobić kroku, aby nie wzbudzić w Tamtym Świecie strumieni zer i jedynek, rozchodzących się wokół niego niczym fale na wodzie.

Niepostrzeżenie, niezauważalnie dla zaprzątniętych swoimi sprawami Przeżuwaczy, w miarę, jak w każdym domu i biurze przybywało ekranów, klawiatur, elektronicznych gogli i sensorycznych rękawic, w miarę jak komputerowe łącza przejmowały przekazy telewizyjne i radiowe, Tamten Świat, jakkolwiek go zwano, cyberprzestrzenią, rzeczywistością wirtualną czy jeszcze inaczej, stawał się coraz wierniejszym odbiciem naszego.

Nie lustrzanym odbiciem. Raczej cieniem – nie odwzorowywał zdarzeń dokładnie, z lustrzaną symetrią, lecz oddawał je poruszaniem swego tworzywa, czasem w trudny do przewidzenia sposób.

Nie, również nie cieniem. Fale w Tamtym Świecie często wyprzedzały poruszenia, które je wzbudziły, jak żmudna praca Roberta w Piramidzie stosu pamięci Firmy wyprzedziła przyjazd Lancy i jego grupy po prezesa. Często były nieproporcjonalnie do nich wielkie, lub właśnie przeciwnie, nieoczekiwanie znikome.

Po prostu, był to Tamten Świat, tak samo jak ten przepełniony bezustannym, wirowym ruchem, którego nikt już nie umiał ogarnąć, opisać, podzielić na składowe ani odróżnić w nim dobra i zła. Nikt oprócz kataryniarzy.

I dlatego mówiło się i pisało, że to właśnie do nich, do kataryniarzy należy przyszłość.

*

Co do przeszłości, tu także nikt nie wątpił: należała ona do spiżowych postaci na cokołach, pozostałości czasu tak bardzo minionego, że trudno już było uwierzyć, czy naprawdę kiedyś istniał. A zresztą, jeżeli nawet istniał, to goście z jego głębin nie obchodzili już nikogo, prócz paskudzących im na głowy gołębi oraz pań w rządowych biurach, zobowiązanych raz na dwanaście miesięcy zamówić rocznicową wiązankę.

Miasto Kataryniarza było pełne skamieniałych od upływu wieków bohaterów. Stali milcząco na placach i ulicach, przed frontonami pałaców, omijani, nie dostrzegani przez tłum, nie należący do tego pełnego ruchu świata i nie niepokojeni, prowadząc między sobą niespieszne rozmowy, spoglądając spod kamiennych powiek na obcy sobie tłum i pokutując za swe zamierzchłe przewiny. Król Zygmunt pochylał się znudzony, trzymając w jednym ręku krzyż, w drugim szablę, nie bardzo potrafiąc sobie wyobrazić, na co dziś jeszcze komu potrzebne i jedno, i drugie. Stojący opodal szewc, którego nie cierpiał i z którym nie rozmawiał, wymachiwał bezmyślnie nad głową obnażonym brzeszczotem, zwołując lud do wieszania burżujów, zdrajców i innej nomenklatury, tudzież dzielenia się zgromadzonym przez nich dobrem. Odpowiadał mu salutem krótkiego, rzymskiego miecza książę Józef, patron bohaterów – frajerów, gotowych bez zbędnych pytań nadstawiać łba za cudze sprawy i zdobywać najeżone działami wąwozy czy klasztorne góry w zamian za kopa w tyłek i wyrazy międzynarodowej solidarności. Jeszcze dalej, też konno, pysznił się we wspaniałej zbroi zwycięzca spod Wiednia, zaszczuty przez własnych poddanych i rodzinkę. Przygarbiony, stary marszałek przyglądał się w zdumieniu kłębiącemu się wokół eleganckiego hotelu tłumowi cwaniaczków, dziwek i nadskakiwaczy, wciąż nie mogąc pojąć, gdzie się podział naród, który znał. Wielki kompozytor rozmarzył się pod płaczącą wierzbą, jak słodko i pięknie jest wzruszać paryskie salony nie swoimi cierpieniami. Narodowy wieszcz łapał się ręką za serce, ilekroć pomyślał z furią nad głupotą i niewdzięcznością tego kraju, który nie chciał posłuchać głosu męża bożego i odrobinę się poświęcić wielkiemu dziełu zbawienia wszystkich Słowian. Trzech wystrychniętych na dudków saperów, z tyłkami wypiętymi jak zaproszenie do kopniaka, trzymało się kurczowo wbitego w śmierdzące fale Wisły słupa. W innym miejscu wychylali ponad ocembrowanie włazu głowy w za dużych hełmach wpuszczeni w kanał małoletni powstańcy. Co i raz wartki nurt poranka rwał się na spiżowej figurze jakiegoś pokutującego króla, żołnierza albo wodza, a każdy wystrychnięty na durnia, wydymany przez sojuszników, zabity

strzałem w plecy, każdy godzien być wyrzutem sumienia świata, gdyby świat mógł mieć, jak tego oczekiwali poeci i konfederaci, jakiekolwiek sumienie – milcząca galeria skamielin, nie obchodzących nikogo, oprócz pań w rządowych biurach, zobowiązanych kupić i złożyć w porę rocznicową wiązankę, i oprócz gołębi, które – pac! pac! pac! – używały kamiennych głów do ćwiczenia celności bombardowań z lotu wznoszącego, koszącego i płaskiego.

*

Dwaj mężczyźni, który wysiedli z zakurzonej i odrapanej półciężarówki typu pick-up i weszli do na wpół zrujnowanej kamienicy na tyłach placu Bankowego, wyglądali dokładnie tak, jak wygląda większość pracowników Firmy. To znaczy: na kogoś innego niż pracownicy Firmy.

Mieli na sobie sfatygowane robocze kombinezony w różnych odcieniach niebieskiego. Ze skrzyni półciężarówki ściągnęli wypchane na puchato torby, w kroju wojskowych pokrowców od namiotów. Gdyby ich samochód był mniej poobijany, a kombinezony miały jednolity krój. można by podejrzewać w nich monterów jakiegoś serwisu. Bardziej jednak wyglądali na drobnych rzemieślników, pchających z trudem od zlecenia do zlecenia podupadający smali business, Idący przodem, w ciemniejszym kombinezonie, wdusił przycisk domofonu w przegradzającej półpiętro kracie. Nie musiał tego robić po raz drugi. U szczytu schodów dosłownie w kilkanaście sekund pojawił się bysiorowaty blondyn. Zamachał do nich, drugą ręką zwalniając zamek.

Jeden z przybyszów sięgnął po ID, ale młody bysior pamiętał ich już z jakiejś innej okazji, więc zawinął potężnym łapskiem co-wy-co-wy i uściskał obydwóm piątki tak serdecznie, jakby wreszcie miał przed sobą długo oczekiwanych druhów. Bysior swą rangą w Firmie niewiele tylko przewyższał kosz na śmieci i w chwili obecnej służył wyłącznie do tego, zęby robić na przychodzących wrażenie i co zresztą przychodziło mu bez trudu), siedzieć na taborecie możliwie blisko drzwi oraz czytać kolorowy tygodnik, poświęcony różnym aspektom sportu, motoryzacji i życia płciowego.

Przybysze wymienili z nim kilka zdań i wnieśli swoje torby do pomieszczenia kataryniarzy. Przesiadywało tam dwóch innych pracowników Firmy, z których jeden był grubszy, a drugi wyższy.

– Cześć pracy, panowie. Lutek jestem, a to Syguś -oznajmił ten w ciemniejszym kombinezonie. – No, to pokażcie, panowie, co tu dla nas

macie.

Mówiąc to, podał im wyciągnięty z kieszeni arkusz firmowego papieru, z tęczowometalicznym hologramem w nagłówku. Podczas gdy Grubszy, przedstawiwszy się zdawkowo, porównywał go przez chwilę z zapiskami w swoim notesie, Wyższy machnął ręką na spiętrzoną pod ścianą stertę urządzeń.

– Jak byśmy wiedzieli, co tu mamy, to was by tu nie ciągali, nie?

Lutek przyjrzał się aparaturze, ułożył swoją torbę na stole i skinął na Sygusia, by zrobił to samo. Chwilę później nie można już było mieć najmniejszych wątpliwości, kto w tej parze jest szefem, a kto pomocnikiem. Syguś otworzył obie torby i wydobywając z nich po kolei części, zaczął, obserwowany z uwagą przez Wyższego i Grubszego, montować jakieś dziwne urządzenie. Lutek wziął ze swojej tylko poręczny notatnik – prostokątną, plastikową deseczkę z umocowaną wzdłuż górnej krawędzi klamrą do papieru. Do deseczki przyczepiony miał wydruk z listą sprzętu i numerami fabrycznymi oraz szczegółowymi zleceniami.

Przechodził od jednej skorupy z twardego, chropawego plastiku do drugiej. Od czasu do czasu brał pisak w zęby i odsuwał je od ściany, jeżeli były do niej przysunięte, albo obracał o dziewięćdziesiąt stopni, jeżeli nie miał swobodnego dostępu. Spoglądał na schowane przy kratowaniach wywietrzników tabliczki znamionowe, porównywał to ze swoją listą i coś na niej odhaczał. Obchodząc w ten sposób pomieszczenie dotarł w pewnym momencie do drzwi i wyszedł do drugiego pokoju.

Jego pomocnik w tym czasie kończył składać coś, co wyglądało jak ręczny, elektryczny mrówkojad z pękiem ryjków rozmaitej grubości i kształtu, przekrzywionym niczym obiektywy mikroskopu tak, iż tylko jeden stanowił dokładne przedłużenie jego korpusu.

– Co to będzie? – odezwał się wreszcie Grubszy. Uznał, że i tak nie zdoła udać braku zainteresowania. Zresztą nie było po co udawać, nie mieli od rana nic do roboty i trochę się nudzili.

– To? – upewnił się niezbyt inteligentnie Syguś, unosząc w ręku elektrycznego mrówkojada. – Odkurzacz.

Konwersację przerwał okrzyk z sąsiedniego pokoju:

– Syguś! Podejdź tu, mam ten złom do zwrotu!

Po chwili obaj wrócili, niosąc skrzynkę komputera i kilka upstrzonych kontrolkami kostek, które rozłożyli obok niego na stole.

Wyższy i Grubszy przyglądali się uważnie. Lutek z Sygusiem najpierw pozdejmowali i poodkładali na bok obudowy, odsłaniając lśniące szeregami kart, złotych igieł, drutów i taśm wnętrzności aparatury. Syguś wcisnął coś u nasady elektrycznego mrówkojada, który rozśpiewał się przenikliwym wizgiem, zbliżył prosty ryjek do obnażonych trzewi komputera i wyssał z niego potężny tuman kurzu.

Potem okręcił głowicę, czyniąc przedłużeniem mrówkojada długą, wąską rurkę, u końca spłaszczoną i zagiętą jak łom, i zaczął nią wybierać kurz spod podstaw kart.

– Zmodulowane, co? – rzucił domyślnie Grubszy do Lutka. Ten ostatni grzebał przez chwilę w torbie, wreszcie wyciągnął z niej plastikowe pudełko.

– Zmodulowane – potwierdził. Z otwartego pudełka błysnęły dziesiątki czarno-srebrnych kostek, najeżonych złotymi sztyftami. Kostki były spięte w arkusz przezroczystym plastikiem, w taki sam sposób, jak puszki piwa w supermarkecie połączone są w paczki po sześć. Na oko niczym nie różniły się od siebie ani od kostek w czyszczonych właśnie przez Sygusia gniazdach. Jedyną różnicą były nadrukowane czarnymi kropeczkami cyfry i litery przy górnej krawędzi każdej z nich.

– To łatwo je wymieniać, prawda? Przy naprawie? -Grubszy nie zamierzał rezygnować z mile rozpoczętej konwersacji.

– Taa? – Lutek rozwinął wydobyty z pudełka arkusz, przyglądając się bacznie owym ledwie zauważalnym kodom. W końcu znalazł, czego szukał, wybrał jedną z kostek i dwoma palcami wycisnął ją z foliowego arkusza jak pigułkę aspiryny. – To czemu się sami za to nie bierzecie? Nieźle płacą.

*

Frodo miał tego dnia, o ile można wobec niego użyć takiego określenia, pełne ręce roboty. W każdej chwili dziesiątki użytkowników potrzebowały odczytania lub zapisania informacji, menadżerowie łączyli się z Systemami Eksperckimi, by po zapoznaniu się z uwarunkowaniami swej sytuacji, móc podjąć decyzję, komputery sklepowe łączyły się z bankami, by sprawdzać wiarygodność kredytową klientów i pobierać należności z ich kont, terminale kasowe, wczytujące szeregi kresek przechodzących przed ich laserowymi oczami kodów paskowych lub zatopionych w krzemie chipów znamionowych, łączyły się z magazynami, a magazyny z hurtowniami, by płynnie dysponować uzupełnianie towaru; radiowozy z różnych stron kraju łączyły się przez strzeżony tajnym kodem węzeł sieci ze swoją bazą pamięci, sprawdzając numery samochodów, tablic rejestracyjnych i paszportów, zgłaszały się do Froda komputery z przejść granicznych i z biur, z firm konsultingowych i z ministerstw, z tysięcy innych miejsc, zmuszając go do rozpięcia i podtrzymywania kolejnej Nici wirtualnego połączenia, a jeszcze każdy wolny ułamek

sekundy Frodo wykorzystywał do pchnięcia taką drogą, jaka akurat się otworzyła, pakietów z krążąca po sieci pocztą i skompresowanymi programami.

Tak było codziennie. Jednak tego dnia ponad cały ów codzienny ruch zdecydowanie wybijały się komputery agencji informacyjnych, redakcji i prasowo-telewizyjnych koncernów. Przeszukiwano bazy danych, wyciągano skróty i podsumowania ostatnich wydarzeń, okoliczności wynegocjowania Gwarancji Społecznych, sięgano po szkicowe dzieje Polski od czasów Kazimierza Wielkiego aż po marzec 1968, przygotowywano syntezy o znanym na całym świecie polskim antysemityzmie, wydobywano z binarnych archiwów i transferowano do odległych krajów fotografie głównych protagonistów. Wprawdzie pech sprawił, że tego akurat dnia zdobyła Mount Everest pierwsza w historii ekspedycja złożona wyłącznie z gejów i lesbijek, co w dziennikach zachodnioeuropejskich zepchnęło Polskę na drugą pozycję, niemniej miała ona dziś swoje miejsce w światowych mediach i pani prezydent słusznie mogła ten fakt podkreślić w swoim wieczornym wystąpieniu.

Nad tym wszystkim zaś SysOpi systemów informacyjnych stale domagali się od Froda przywoływania zarządzającego warszawskim węzłem Sieci i rezerwowali kanały multimedialne, łącza Skorupy oraz bufory pamięci operacyjnej na wieczór, na bezpośrednie transmisje. Już około połowy dnia Frodo stwierdził – o ile takie określenie ma w ogóle w odniesieniu do niego sens – że tego wieczora jego łącza będą wyjątkowo obciążone i nie obejdzie się bez montowania doraźnych obejść przez podległe mu sieci lokalne i specjalistyczne, a z nich przez węzły innych miast.

Frodo był trzecim już o tej nazwie, potężnym mainframem, pełniącym rolę warszawskiego węzła sieci publicznej i łączącym ją z WorldNetem.

*

– Dobrze, zacznijmy już. Najpierw to, co chcę mieć w kluczowych punktach – wicedyrektor Centrum Prasowego URM zawiesił na chwilę głos i uniósłszy głowę sponad notatek, powiódł wzrokiem po słuchających go pracownikach biura III Centrum, wśród pracowników nazywanego po prostu Zespołem. Było ich pięciu, raczej młodych, tylko jeden dobijający czterdziestki. Tylko ten jeden miał na sobie marynarkę. Pozostali byli w samych koszulach. Mogli sobie na to pozwolić, ponieważ narada miała charakter roboczy i rutynowy.

Niemniej jednak zdjęcie marynarki wyczerpywało przysługującą pracownikom Centrum swobodę. Rozpinanie mankietów i kołnierzyków lub luzowanie krawatów w żadnym wypadku nie wchodziło w grę.

Cała szóstka znajdowała się w oznaczonej numerem 112 sali narad Centrum, na pierwszym piętrze gmachu Urzędu Rady Ministrów. Tak jak wszystkie sale na tym piętrze, wyłożony był on charakterystycznymi chodnikami w kolorze zwanym przez bywalców gmachu "czerwienią rządową". Czerwone były także obicia pseudoantycznych krzeseł. Wystroju dopełniały utrzymane w tym samym stylu stoły i kryształowe wazoniki, których design sugerował, iż postawiono je tam jeszcze za Gomółki.

– Pan, panie kolego? – wzrok wicedyrektora zatrzymał się na jednym z członków zespołu, który wciąż jeszcze majstrował coś przy multikarcie leżącego przed nim notebooka.

– Tak, panie dyrektorze. Już. O, już. Przepraszam.

– A zatem, panowie, najpierw to, co chcę mieć w kluczowych punktach – podjął wicedyrektor, gdy wszystkie pięć twarzy było już zwróconych ku niemu. – Po pierwsze, chcę, aby media podkreślały, że na Gwarancje Społeczne patrzyć trzeba nie jak na efekt konfrontacji, lecz jako na wspólny – zaakcentował mocno to słowo – sukces rządu, pracodawców i związków zawodowych. Sukces, dzięki któremu obie strony zdołały uniknąć konfrontacji, która, wszyscy wiedzą, czym mogłaby grozić: destabilizacją kraju. Fakt, że rangę tego sukcesu zgodziły się swoim autorytetem potwierdzić państwa ościenne, dowodzi jego wyjątkowości. Jakoś tak, sformułujecie to potem zręczniej. I właśnie, druga sprawa: wyjątkowość. Chodzi o podkreślenie, że jest to akt bezprecedensowy…

Pracownik, który miał kłopoty z przygotowaniem notebooka, puszczał ten wykład mimo uszu. Nazywał się Krzysztof Stapkowski; mając dwadzieścia siedem lat był najmłodszy w Zespole i swoją obecnością w nim zadawał kłam popularnemu mniemaniu, iż polityką zajmują się tylko karierowicze, którzy chcą z niej wyciągnąć osobiste korzyści, oraz wariaci, którzy marzą o narzuceniu wszystkim swojej ideologii. On sam nie należał do żadnej z tych kategorii. Pracował w URM, bo go to bawiło.

Bawił go między innymi wicedyrektor, wygłaszający teraz długą i całkowicie zbędną przemowę o sprawach, o których wszyscy wiedzieli. Wcześniej był on poprzednikiem redaktora Rodaka na stanowisku szefa działu krajowego CAI, a zamierzał zajść jeszcze wyżej. Krzysztof już wiedział, że jego marzenia się nie spełnią, po odejściu z URM zostanie korespondentem TeleNetu w jakimś mniej lub bardziej znośnym kraju, zależnie od posiadanych układów. Obecna funkcja była więc dla niego ostatnią możliwością puszenia się, niech

sobie z niej korzysta i wymaga, by wszyscy słuchali go w bezruchu i skupieniu. Krzysztof był bardzo liberalny, uważał, że człowiek powinien w życiu nie tylko bawić się samemu, ale i pozwolić się bawić innym.

– To mniej więcej tyle tytułem wstępu – zakończył wicedyrektor. – Sprawa nie jest nowa i to, że będziemy się nią zajmować akurat dzisiaj, było do przewidzenia, więc zapewne macie panowie wiele do dodania. Słucham.

Zespół był grupą pracujących dla URM dziennikarzy, jak ich nazywano, speechwriterów. Kiedy nie trzeba było pisać wystąpień niższym rangą członkom gabinetu (dla wyższych rangą robili to ich właśni autorzy), miał jedno codzienne zadanie: przygotowywać "przesłania dnia". Przesłanie dnia musiało być gotowe do godziny 15.00, ponieważ pierwsze programy informacyjne podsumowujące wydarzenia dnia wchodzą na antenę o siedemnastej, a dwie godziny to czas wystarczający, by redakcja mogła otrzymane z biura prasowego rządu materiały opracować po swojemu.

Przesłanie dnia okazało się, w generalnych sprawach, daleko lepszą formą kontrolowania mediów niż wszelkiego rodzaju czerwone telefony czy naciski. Trzeba było tylko znać i rozumieć szarą rzeczywistość dziennikarzenia -owo żmudne przerzucanie słów niczym węgla na łopacie i lepienie informacji z niczego, po to tylko, aby Przeżuwacze mieli swoją cogodzinną dawkę serwisowego kitu i swoje poczucie bezpieczeństwa. Każdy, kto czynił obracanie tego kieratu lżejszym, mógł zawsze liczyć na wdzięczność i współpracę dziennikarzy, a Centrum Prasowe rządu, mozolnie przygotowując codziennie gotowe ściągawki, w których wystarczało tylko zakreślić markerem odpowiedni fragment i ewentualnie dobrać do niego filmowe przebitki, nie robiło wszak nic innego, tylko wyręczało dziennikarzy. Przy okazji zaś załatwiało, by Przeżuwacze wraz z serwisowym kitem połykali codziennie odpowiednią dawkę fraz świadczących, jak ciężko stara się władza o przezwyciężenie recesji, dalszą stopniową poprawę sytuacji ekonomicznej i doprowadzenie transformacji ustrojowej do chwalebnego zakończenia. To nic, że Przeżuwacze w to nie wierzyli, a nawet gdyby wierzyli, po pięciu minutach zapominali, w co. Ważne było, żeby, codziennie powtarzane, frazy te zapadały im w podświadomość i zalepiały szare komórki jak lepki szlam.

Codziennie o jedenastej odbywała się robocza narada Zespołu z wyznaczonym na ten dzień kierownikiem Centrum, potem autorzy przygotowywali przydzielone im tematy, do wpół do drugiej przelewali je do kierownika, który wprowadzał swoje uwagi i przekazywał tekst styliście. Zazwyczaj dzienny dyżur pełniły trzy osoby. Ze względu na wieczorną uroczystość postanowiono zapędzić

do pracy wszystkich członków Zespołu. Zdaniem Krzysztofa, zupełnie bez sensu. Kiedy jak kiedy, ale dziś nie mogło się zdarzyć nic nieprzewidzianego.

– Proponowałbym – odezwał się mężczyzna w marynarce – żebyśmy się zastanowili zawczasu, z jakiego typu zarzutami możemy się spotkać. Warto byłoby od razu umieścić w naszych materiałach kontrargumenty.

– Właściwie, żeby być szczerym, już się nad tym zastanawialiśmy – podjął inny z członków zespołu. – Zarzut jest jeden, ten sam we wszystkich publikacjach, które krytycznie się odnoszą do idei Gwarancji Społecznych. Że taki zakres praw socjalnych musi zniszczyć gospodarkę…

– Krótko mówiąc, że Unia Europejska i Rosja tylko marzą, żeby nas okupować. Zaleje nas obcy kapitał, wykupią Niemcy i rosyjscy Żydzi… – wicedyrektor kilkakrotnie uderzył otwartą dłonią o stół. – Panowie, to chyba kpiny. Chcielibyśmy polemizować z podobnymi bredniami?

– Panie dyrektorze, zarzut, że gwarancja przeznaczania pięćdziesięciu procent dochodu narodowego na wydatki socjalne zmniejszy drastycznie konkurencyjność naszych produktów na światowych rynkach brzmi dość poważnie – nie ustępował człowiek w marynarce. Krzysztof, z pozoru nie zwracając na tę dyskusję większej uwagi, pisał coś na swoim notebooku. – Sama idea gwarancji, czyli przyznanie sąsiadom prawa do interwencji w wewnętrzne sprawy państwa też może być atakowana…

– W wypadku, gdyby władza nie dotrzymała swoich zobowiązań wobec wyborców! – wicedyrektor nie dał mu skończyć. – Tylko w takim wypadku, panie Zbigniewie! Jeżeli to ma być zdrada stanu, to ratyfikowanie każdej karty praw ONZ lub Unii jest tak samo utratą niepodległości!

– Tak jest, i to trzeba napisać. To trzeba napisać, panie dyrektorze – powtórzył pan Zbigniew, upewniając się, że znowu jest przy głosie. – Na podstawie swoich wieloletnich doświadczeń mogę pana zapewnić, panie dyrektorze, że nic nie stawia władzy w gorszym świetle niż pozostawianie zarzutów bez odpowiedzi. Nawet najgłupszych.

Aha, zaczyna się. Wyjeżdżanie przez Zbynia ze swoim wieloletnim doświadczeniem zawsze działało na każdego szefa jak płachta na byka. Krzysztof uśmiechnął się lekko, nie odrywając się od pisania.

– Pan Zbigniew ma rację – poparł inny z uczestników narady. – Wyciągną nam zaraz Katarzynę II i Starego Fryca, trzeba to od razu ośmieszyć, zanim się otworzą…

– Panowie, panowie – zawołał śpiewnie dyrektor, rozkładając szeroko ramiona. – Kogo wy jeszcze chcecie ośmieszać?! Ludzi, którzy są już ośmieszeni raz na zawsze? No, dobrze, zgódźmy się, że te

dwadzieścia, może w porywach trzydzieści procent będzie głosować na Zjednoczony Obóz Katolicko-Patriotyczny, jeszcze przez wiele lat, zanim dziadkowie nie powymierają. To jest część społeczeństwa raz na zawsze stracona dla jakichkolwiek rozsądnych rządów w tym kraju. Każda demokracja ma taki margines nacjonalistów, i oni są nawet pożyteczni, trudno by było bez nich zmobilizować zdrowy, normalny elektorat. Ale to są i tak ludzie uodpornieni na wszelkie argumenty, nie ma z nimi co polemizować, bo wtedy tylko przydaje im się niepotrzebnie znaczenia. A jeszcze przy takiej okazji, jak podpisanie Gwarancji!

– Ale przemilczanie zarzutów, panie dyrektorze… Wicedyrektor przerwał mu stanowczym ruchem ręki.

– Powiedziałem: nie! Nie zapominajcie, panowie, kto najuważniej ogląda programy informacyjne. Kiedy jak kiedy, ale dzisiaj po prostu nie możemy dać takiego sygnału.

Coś w tym było. Najuważniejszymi widzami wszystkich dzienników byli politycy. Śledzili je z zapartym tchem i wyliczali ich zawartość co do sekundy. Krzysztof sam do końca nie pojmował ich mistycznej wiary, że to właśnie ta sekunda pokazywania kogoś w telewizji dłużej lub krócej powoduje fluktuacje popularności obu partii w cotygodniowych sondażach. W gruncie rzeczy owe procent w górę, procent w dół nie zdradzały żadnych obserwowalnych korelacji z niczym i tak naprawdę nie miały żadnego znaczenia.

– Jeśli można, panie dyrektorze – odezwał się Krzysztof. – Ja bym proponował coś takiego – zerknął na ekran swojego komputera. – Jeden: Gwarancje przynoszą korzyść wszystkim, nie tylko jakiejś określonej grupie społecznej. Dwa: zwiększenie uprawnień związków zawodowych wiąże się z ich aktywniejszym włączeniem w procesy gospodarcze, a więc oznacza uruchomienie rezerw i zdynamizowanie gospodarki. Trzy: ponieważ inne kraje nie dopracowały się jeszcze takiego systemu, uaktywniającego społeczeństwo, więc Gwarancje przyspieszą sukces transformacji ustrojowej.

Zapadła chwila ciszy. Wicedyrektor zrobił mądrą minę i pokiwał potakująco głową.

– To trzeba oczywiście ująć jakoś zwięźlej i zręczniej, ale… tak, ja bym to zaakceptował…

To zdanie otworzyło kolejną dyskusję.

Krzysztof podniósł wzrok przez znajdujące się naprzeciwko niego okno. Słuchając jednym uchem, kontemplował widok zieleni w Łazienkach i gęstniejący ruch uliczny w Alejach Ujazdowskich. Za parę godzin miał pod Urząd przymaszerować tłum związkowców ze Starego Miasta i kilkunastu ludzi w niebieskich drelichach otaczało właśnie budynek rzędem stalowych barierek.

*

Zwyczaj urozmaicania tego, co w komputerowym żargonie nazywało się pejzażem, Robertowi kojarzył się zawsze z gumowymi potworkami, zawieszanymi na lusterku przez kierowców. Albo ze zdjęciami bujnociałych panienek, którymi wylepiali sobie wnętrza szafek ubraniowych robotnicy. Znał parę lokalnych sieci, gdzie fantazja SysOpów i użytkowników wydawała się nie pozostawiać im już czasu i energii na cokolwiek, poza animowaniem wirtualnych smoków, kłapiących zębiskami potworów i cycatych tancereczek. Sieć Lokalna InterDaty nie była jednak przeznaczona dla dzieciaków, podniecających się możliwościami, stwarzanymi przez komputerowe gogle, multimedialny interfejs i obsługiwany w VR debilnie prosty program do pisania programów. Sieć Lokalna InterDaty, ze stałymi podłączeniami wszystkich jej użytkowników i większości ważnych klientów, przeznaczona była dla kataryniarzy, operujących w Tamtym Świecie z wielokrotnie większą sprawnością i doświadczających go wszystkimi zmysłami.

Dlatego Sieć Lokalna InterDaty urządzona została z zauważalnym smakiem i wyczuciem. Żadnych jaskrawych, tandetnych barw, wywoływanych jednym kliknięciem w podstawowy panel, żadnych jarmarcznych stworków rodem z banków wideoclipów ani prostych, modnych melodyjek technogiba. Mimo iż Robert w organizowaniu pejzażu swej sieci brał znikomy udział, czuł się w nim swojsko i przyjemnie. Po to właśnie był kataryniarzom potrzebny pejzaż.

Mgliście przypominał sobie, co mówili im faceci z Krzemowej Doliny podczas szkolenia w Anglii. Szkolenie to, które zrobiło z niego kataryniarza, było fragmentem jakiegoś sponsorowanego przed Unię Europejską programu pomocy dla dzikusów ze Wschodu, a on załapał się tam dzięki swojej dobiegającej wówczas końca pracy w Biurze Prasowym Belwederu.

Programista z Krzemowej Doliny, podobno jeden z tych, którzy rzucili ideę Skorupy i WorldNetu, zaczął od przypomnienia cyberpunkowych książek, w których Tamten Świat nazywany był cyberprzestrzenią i przedstawiany jako rozległy, nie kończący się ocean barw, jako wyrysowana światłem płaszczyzna, upstrzona piramidalnymi konstrukcjami stosów pamięci, ponad którą operator unosił się niczym ptak, ogarniając całą złożoność sieci jednym spojrzeniem.

W rzeczywistości, ciągnął, nie mogło to tak wyglądać. Tamten Świat nie był pozbawioną ograniczeń przestrzenią. Był siecią, nawarstwioną latami chaotyczną plątaniną, co i raz gęstniejącą w lokalnych systemach o przeróżnych architekturach, rządzących się

własnymi, specyficznymi obyczajami. W owej gęstwie zakorzeniały się niezliczone, drzewiaste struktury katalogów, o pniach przechodzących w inne pnie, rozdwajających się, rozchodzących w relacyjne wielokąty baz danych. Eksploracja Tamtego Świata nie przypominała w niczym żeglugi po bezkresnym oceanie. Była raczej penetrowaniem schodzących coraz głębiej sztolni, zawiłego systemu lochów o tysiącach ukrytych zapadni, drzwi pułapek, nieoczekiwanych wyjść i wejść. Nie było w budowie tego świata ani geometrii, ani logiki. Korytarz wiodący w jedną stronę pod górę mógł wieść pod górę także z powrotem; ślepa komnata o jednym jedynym wejściu, gdy wchodziłeś do środka, okazywała się rozgałęziać na pięć nowych dróg. Tak było nawet wtedy, gdy penetrujący Sieć kataryniarz trzymał się stosunkowo prostych połączeń lokalnych i czasu rzeczywistego. Czas wirtualny, studnie WorldNetu i przeskoki, jakie umożliwiała Skorupa, zawijały wizualizowaną przestrzeń w szaleńcze, niemożliwe w realnym świecie sploty, jakie dawniej powstawały tylko w pracowniach grafików, zabawiających się złudzeniami optycznymi.

Gdyby to środowisko wizualne, tłumaczył Amerykanin, pozostawić tylko zimnemu praktycyzmowi komputera, podłączony do niego kataryniarz nie wytrzymałby długo; natłok nie doświadczanych nigdy wcześniej bodźców i niemożność ich posortowania musiałyby go doprowadzić do utraty zmysłów, wylewu albo ataku serca. Dlatego właśnie potrzebny był osobny, nadzorujący biosprzężenie komputer, zwany sterownikiem, z jego zdolnościami bliskimi przewidywanym dla Sztucznej Inteligencji i stosowną do nich ceną, przekraczającą koszta reszty zestawu. Zadaniem sterownika było zestrojenie z serwerami sieci i stworzenie na użytek zmysłów kataryniarza pejzażu, możliwie najwygodniejszego i najprzyjemniejszego do pracy. Dla zwykłego użytkownika komputera, pracującego w goglach lub na trójwymiarowym ekranie, owe wszystkie biurka, pełne szaf pokoje czy stare komody z mnóstwem szufladek, w jakie pozamieniały się programy użytkowe, były kwestią wygody. Dla kataryniarzy były czymś daleko ważniejszym.

Ich Sieć Lokalna wizualizowała się użytkownikom jako Forteca. Wchodząc do niej ze Studni, Robert znajdował się za stalowymi drzwiami, w trawiastym przekopie, wiodącym do przeciwstokowej półkaponiery. Graniaste wzgórze, od wierzchu porośnięte darnią, z boków obudowane stromymi ścianami z ciemnych cegieł, okalała biegnąca po wewnętrznej stronie głównego muru fosa. Za każdym jej załamaniem widać było następne stalowe drzwi, podobne do tych, z których wychodził on sam. Z placu za potężną, ciężką bramą, przysłoniętą widocznym w ponad-bramnych ambrazurach ostrogiem, wiodła załamana pod kątem prostym ścieżka do poufnej bazy danych. Broniła jej nadrdzewiała tablica z trupią czachą i ostrzeżeniami

wypisanymi czarną szwabachą. Wszystko było w niezwykle naturalnych barwach, przygaszonych, złamanych brunatnym odcieniem, uderzało perfekcją i mozołem wypracowania.

Jeśli dobrze pamiętał, był to jeden z fortów pancernych zewnętrznego pierścienia twierdzy Przemyśl, według stanu z 1914 roku. Jego fotografie i szczegółowe plany wynalazł w którejś z austriackich bibliotek Jogi; robił wtedy zlecenie dla Japończyków z amerykańskiej wytwórni filmowej, przygotowując im dane wyjściowe do komputerowego odtworzenia dekoracji pierwszej wojny światowej. I bodaj także on był pomysłodawcą oparcia na nich pejzażu ich lokalnej sieci.

Forteca chwyciła, każdy dokładał do niej w wolnej chwili coś od siebie. Jeden zaprogramował osłaniający obwodowy przykop cień, drugi zajął się porastającą zbocza trawą, doprowadzając ją do takiej perfekcji, że w gęstwie dawało się odróżnić poszczególne źdźbła. Nawet Robert w końcu wziął w tym udział; dopisał sekwencję, ubierającą każdego gościa z zewnątrz w postać żołnierza 23 Dywizji Piechoty Honwedów, z długim jak nieszczęście karabinem mannlicher w garści. Niestety, nie był w stanie zaprogramować tego tak, aby obcy kataryniarz wchodzący do Fortecy rzeczywiście poczuł czterokilogramowy ciężar broni. Nie był najlepszy w programowaniu, ale wątpił, czy coś takiego w ogóle dałoby się zrobić.

Niewiele natomiast dłubał w swojej własnej Studni, którą, w przeciwieństwie do większości kolegów, pozostawił w niemal takim samym stanie, w jakim wizualizował ją standardowo program. Zmienił tylko fakturę ścian na chropawą, przydając im barwy żyłkowanego na biało i czerwono marmuru. Na stykach płyt narzucił rzadkie, nierówne linie murawy, sygnalizującej mu natychmiast przejście każdego kolejnego routera. Dziesiątki niezbędnych przy pracy przycisków nabrało formy nieznacznych, prostokątnych wypukłości wielkości cegły, a gdy potrzebował użyć ekranu, jedną komendą usuwał po prostu całą ścianę, za którą rozpościerał się podgląd penetrowanego w danej chwili pejzażu.

Właśnie w ten sposób, unosząc się w swojej Studni, niczym w wypuszczonej z Fortecy na rozpoznanie głębokiej sondzie, zobaczył po raz pierwszy mapę Stref. To było miesiąc temu, i od tego czasu ten obraz stale tkwił w jego umyśle, nawet wtedy, gdy tak jak teraz starał się go za wszelką cenę od siebie odsunąć.

Zaczęło się, jak tyle rzeczy w jego życiu, przypadkiem. Zbierał dane do opracowania marketingowego dla dużego inwestora i potrzebował informacji o warunkach oferowanych przez polską sieć energetyczną. Szczególnie – o kierunkach rozwojowych tej sieci i inwestycjach czynionych w niej przez Zachód. Wydawało mu się, że to najprostsza rzecz pod słońcem i że w pamięci ministerstwa takie dane

są do wyjęcia jednym hasłem. Ale w GOV-ie niczego takiego nie było, a jeśli było, to dobrze ukryte. Prasowe bazy danych też wyczerpywały się tylko na ogólnikach, i polskie, i we Frankfurcie, choć tam z reguły znajdował wszystko, co miało najdrobniejszy związek ze współpracą Wschód-Zachód, wspieraniem przemian i takimi tam. Nawet banki pamięci w Brukseli i Strasburgu zawierały jedynie same ogólniki…

Z zamyślenia wyrwał go świdrujący sygnał. Wciąż siedział nad brudnym talerzem, w swojej kuchni, oparty barkiem o złote słoje boazerii. Postanowienie, by stłumić nadchodzącą chandrę pracą, jakoś nie przeradzało się w czyn. Niepostrzeżenie znowu zaczynał się gryźć rozmyślaniami.

Sygnał wiercił w uszach, aż dotarło do niego, że to telefon. Poderwał się i spiesznym krokiem ruszył do sypialni, gdzie, jak mu się zdawało, zostawił ostatnio słuchawkę. Ale nie znalazł jej tam i zanim wrócił do gabinetu, telefon umilkł.

Przynajmniej na jedno nie mógł się skarżyć: nie miał ciasnego mieszkania. Z Tamtym Robertem właściwie było odwrotnie. Szykował się do życia bez samochodu, mieszkania i porządnego telewizora; ale mimo wszystko nie wątpił, że będzie żyć szczęśliwie…

Znowu, przyłapał się. Dość tego – ubiera się i wychodzi, pozmywa po powrocie. Wiktoria zresztą też dzisiaj zapowiadała późny powrót.

Tym razem odezwał się pulsującym buczeniem komputer. Ktokolwiek próbował się z nim skontaktować, był uparty. Obudzony wywołaniem ekran rozjarzył się, pytając, czy odebrać połączenie na głośnikach i sterowaniu głosem, czy zapisać je do pamięci.

Sięgnął do pokrywającego klawiaturę przykurzonego plastiku, nacisnął go w miejscu, gdzie znajdował się klawisz ENTER.

– Tak, słucham.

– Hm, Robert?

– Tak.

– Mówi Andrzej Socha, z telewizji. Kojarzysz mnie? Rozmówca mówił bardzo szybko, jakby pluł słowami.

Rzeczywiście, znał skądś ten głos i tę intonację.

– Tak, jasne – miał ochotę kopnąć się w kostkę. Nie potrafił się tego oduczyć. – Co u ciebie? – rzucił, licząc, że może uzyska w ten sposób jakieś dodatkowe informacje, które pozwolą mu zidentyfikować rozmówcę. Ale ten od-szczeknął tylko suchym:

– Po staremu. Mam do ciebie sprawę, chcę pogadać.

– Tak?

– O twoim szefie. Chcę robić reportaż, wiesz. Możemy się zobaczyć jeszcze przed południem?

– No… Możemy, ale… co ja ci powiem? Pogadaj z nim samym.

– A, to ty nie wiesz! – w głosie Andrzeja zabrzmiał jakby ton satysfakcji, że będzie mógł zaraz oznajmić mu nowinę, jakiej jeszcze

nie zna. – Twój szef siedzi. Dziś rano zamknął go UOP, teraz przeszukują waszą spółkę.

W pierwszej chwili, aż sam się zdziwił, zupełnie go to nie obeszło. Nie miał złudzeń, kim jest właściciel jego agencji, zresztą na szczęście prawie go nie widywał, a jeśli, to tylko mijali się w hallu.

Minęło kilka sekund, zanim pojawiła się myśl, że zamknięcie szefa może także oznaczać zamknięcie spółki, co najmniej na pewien czas.

A to już było coś, czym potrafił się zmartwić.

*

Zmęczenie kataryniarza nie przypominało niczego innego: ciało było zastałe od długiego bezruchu i leżenia w fotelu, a nerwy rozedrgane i zszarpane. Dobrze było, jeśli czas pozwalał, ukoić je lampką koniaku w knajpce na dole, a potem długim spacerem, aż do Nowego Światu. Kiedy jeszcze Robert pracował-w Kancelarii, często kończyli pracę razem i razem schodzili na dół, do skrytej w podziemiach pałacu kafeterii.

A przy koniaku i podczas spaceru rozmowa zawsze koniec końców schodziła na politykę i roztrząsania, czy to wszystko mogło się skończyć inaczej, niż się skończyło. Brzozowski poznał Roberta może nawet lepiej niż siebie samego. Pod spokojną powierzchnią, gdzieś w głębi, kłębiły się w Robercie urazy i doznane zawody, gryzła go nieustająca furia. Wystarczało zapukać w skorupkę i dać mu się napić, a prędzej czy później wszystko to się wylewało; wtedy mówił i mówił, pogrążając się coraz głębiej. Brzozowski czuł się, jakby grzebał mu patykiem w ranie. Umiał i lubił to robić.

Przemknął przez sekretariat, rzucając mimochodem, że wybywa definitywnie i do wieczora będzie nieuchwytny. Miał nadzieję, że dziewczyny powtórzą to Waldiemu, kiedy ten za jakiś czas wpadnie jakby mu się pod tyłkiem paliło, szukając go do sprawdzenia SO Kuromaku. Potem ruszył korytarzem do windy. Mijał właśnie odgałęzienie wiodące ku biurom zaludnionym przez działaczki do spraw kobiet, rodziny i dzieci – potocznie zwano te biura w pałacu “afirmatywką” – kiedy przyszła mu do głowy myśl, żeby przed wyjściem wstąpić jeszcze na mały łyczek do Styperka. Poranny entuzjazm ulatniał się powoli, znał to doskonale, za pół godziny kataryniarskie zmęczenie zwali się na niego całą swą miażdżącą siłą, jak obluzowana płyta grobowca.

W ozdobionej imitacją barokowej cegły, nastrojowej piwniczce było o tej porze pusto. Ktoś dojadał w kącie spóźnione śniadanie.

Lśniące metalicznie taśmy przy bufetach i kasach, w porze lunchu oblegane gwarnym rojowiskiem, teraz były jeszcze puste.

Styperek schronił się w dalszej części swojego ajencyjnego królestwa, niewielkiej, za to przytulniejszej sali, której strzegł zawieszony na ceglanym łuku napis: “Sala dla palących”. Siedział oparty o bar, przyglądając się bez wielkiego zainteresowania telewizyjnej transmisji z placu Zamkowego. Dźwięk był wyciszony.

– No i co pan na to, panie Styperek? – oparł się łokciami o szeroki, dębowy szynkwas. – Teraz to już zupełnie nie będzie bata ich zagonić do roboty. Przestrajkują ten kraj z kretesem ani się kto obejrzy.

– E, chyba aż tak źle to nie będzie. Myśli pan?

– Co ja mam myśleć, ja to wszystko wiem – oznajmił, tonem, jakby tylko ot, tak sobie gadał. – Pan chlapnie szklaneczkę. Tego co zazwyczaj.

Styperek podniósł się płynnym, wytrenowanym ruchem, sięgając po butelkę. Był to mężczyzna na oko dobijający sześćdziesiątki, o nieco sflaczałym wyglądzie i nie pasujących do poczciwej twarzy oczach, w których jarzyła się jakaś iskierka draństwa.

– Tak od rana, panie Brzozowski? – zapytał, stawiając przed nim szklaneczkę z koniakiem i drugą, większą, z colą do popicia.

– Dla kogo rano, dla kogo wieczór – mruknął. Nie wziął szklanek do stolika, przesunął się tylko o kilka kroków i usiadł na jednym ze stokerów. Jednym haustem obniżył poziom w szklaneczce o dobry centymetr i przez chwilę siedział w milczeniu, rozkoszując się rozlewającym po wnętrznościach płomieniem.

– A wie pan – podniósł wzrok na Styperka, który nie wrócił dotąd na swoje miejsce, wyraźnie na coś czekając. – Coś zjem. Mogą być parówki. Ale nie z ketchupem, z chrzanem.

Styperek zniknął na zapleczu, mrucząc coś, czego Brzozowski nie dosłyszał. Odprężył się; ogarnęła go fala zmęczenia i senności. Na ekranie telewizyjnym prezes Siciński udzielał pospiesznego wywiadu w drodze na trybunę, eksponując do kamery swą bujną, kruczoczarną czuprynę, władczo wysuniętą dolną szczękę i porastający ją jednodniowy zarost; słowem, swoje zasadnicze atrybuty, które zjednywały mu serca kobiet.

– Ja to w sumie im się tak nie dziwię – odezwał się Styperek, podążając oczami za spojrzeniem Brzozowskiego. – Da się z takich pieniędzy żyć? Za cholerę się nie da. To co mają robić?

– Pieprzyć ich, mogli się uczyć. Oj, panie Styperek, o polityce to my sobie dziś nie pogadamy. Potąd mam Gwarancji Społecznych i innych takich.

– A co się właściwie dzieje z tym pańskim kolegą? -zainteresował się Styperek. – No, wie pan, z tym takim szlachciurą?

Trafność tego określenia zmusiła Brzozowskiego do uśmiechu. Wszyscy kataryniarze musieli podgalać sobie wysoko karki; wymagała tego przylga biołącza, mocowana u zbiegu potylicy z szyją. Część, tak jak Brzozowski, strzygła się po prostu na krótkiego jeża. Robert powetował sobie te wymuszone postrzyżyny, zapuszczając spadający na oczy czub, niczym łaszczowy oseledec. Powinien sobie jeszcze do tego zafundować podwinięte wąsy. Chyba nawet próbował, ale nie zyskało to aprobaty jego żony.

– Poszedł na prywatną robotę. Pewnie za nami nie tęskni.

– Szkoda. Ten to zawsze miał coś do powiedzenia.

Styperek postał chwilę, potem znikł za kotarą z drewnianych koralików, a Brzozowskiemu przypomniała się jedna z tych niezliczonych rozmów z Robertem, tu, w tej piwnicy, przy stoliku pod wnęką, sięgającą ku malutkiemu, wysokiemu okienku.

*

Za ujętymi w stylizowaną oprawę szybami była wtedy noc, pamiętał, więc musieli rozmawiać po zejściu z wachty i na pewno w tym nerwowym dla Roberta okresie, kiedy już było wiadomo, że w Pałacu wiele się pozmienia. Pamiętał, że był wściekły, Robert swoim wyskokiem psuł mu wszystkie plany. Był wściekły i starał się tego po sobie nie dać poznać.

– Robisz cholerny błąd – tłumaczył najspokojniej jak umiał. – Z katolickimi patriotami nie ma się co wiązać. Ten układ jest stabilny na wiele lat: liberałowie z socjaldemokratami przeplatają się u władzy, a twoi schodzą do roli partii protestu. Będą etatową opozycją, mogącą dojść do władzy tylko na prowincji, akurat na tyle, aby jej czołowi krzykacze też ubabrali się w różnych smrodach. Ale rosnąć się przy nich nie da…

– To nie są żadni “moi” – zaprotestował Robert. – Nic nie rozumiesz…

– To ty nie rozumiesz! – przerwał mu. – Nie rozumiesz, po co zrobiliśmy z ciebie kataryniarza. Faceci, dla których pracowałeś, przerżnęli, więc ty się dla lojalności też wycofasz. Co to za myślenie? Po co przyszedłeś do Kancelarii? Manifestować lojalność?

– Wiesz, po co.

– No, powiedz. Chyba, że się tego wstydzisz? Dobierał słowa zbyt starannie, by nie było tak w istocie.

– Po prostu, wyobraź sobie, myślałem, że… Że zrobię tu coś pożytecznego. Pożytecznego dla kraju. To wszystko.

– Bardzo dobrze. Jeżeli chcesz coś zrobić, a jeszcze pożytecznego, to nie ma lepszej drogi, niż być kataryniarzem. Myślisz, że tylko tutaj się tak podejmuje decyzje? W sto osób, jedna ważniejsza od drugiej, i żadna nie ma o sprawie bladego pojęcia? Tak jest wszędzie, na całym świecie – w bankach, koncernach, w instytucjach międzynarodowych. To jest zmiana cywilizacyjna. Nawet gdyby ludzie na najwyższych stanowiskach byli mądrzy, szlachetni i pełni dobrych intencji, to każdy z nich ma przed sobą o – pokazał rękami – taką wąziutką działeczkę, i ani w lewo, ani w prawo. Muszą polegać na bazach wiedzy, na systemach eksperckich, na tym, co mogą im dostarczyć tylko systemy komputerowe. To znaczy my. To jest zmiana cywilizacyjna. Świat się zrobił zbyt skomplikowany. Procesy gospodarcze, społeczne, to wszystko, co musi kontrolować władza, stało się już dawno zbyt złożone, aby jakikolwiek polityk czy menadżer mógł kontrolować choć część niezbędnej do podjęcia decyzji wiedzy. Dziś może już tylko podpisywać decyzje podjęte przez ekspertów i coś tam nieistotnego poprawić dla zachowania pozorów.

– A ci tutaj nie są mądrzy, szlachetni i pełni dobrych intencji – powiedział nagle smutno Robert, bardziej do siebie samego.

– Szczerze mówiąc – westchnął, nie mając pewności, czy Robert w ogóle słyszy, co do niego mówi. – Mogą być nawet ostatnimi kretynami, nie będzie to miało znaczenia. Nie daj się nabrać na potoczne mniemanie, Robert. Jeżeli coś jest dla wszystkich tak oczywiste, że nawet się nad tym nie zastanawiają, to w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest to bzdura. Ludzie myślą, że światem rządzą politycy, szefowie ONZ czy Unii, banków, firm. Bo tak było pięćdziesiąt lat temu, dwadzieścia, może jeszcze dziesięć i wszyscy się przyzwyczaili. Ale teraz wszystko się zmienia. Teraz wszystko, co ważne, dzieje się w sieci. Pod naszą ręką. Oni to tylko atrapa. A ty mi mówisz, że wylogowujesz się z roboty, bo ta atrapa się zmienia. To nie jest ważne, rozumiesz? Inni faceci będą dostawać koncesje i kontyngenty, kto inny wpakuje się na stołki, ale to są ich gry, muszą mieć jakieś zajęcie, na sprawy zasadnicze to nie ma wpływu.

Robert powoli, z namysłem pokręcił głową.

– Wbiłeś sobie do głowy, że odchodzę z Kancelarii, żeby okazać lojalność katolickim patriotom. Nie. Nie dlatego. Znam ich lepiej niż ty, wiem doskonale, że to banda durniów i nieudaczników i nie mam powodu się z nimi wiązać na całe życie. Myślę, że ty jesteś po prostu za młody, żeby to rozumieć. Ja jeszcze pewne rzeczy pamiętam i nie zamierzam pracować dla komunistów, to wszystko.

– Daj spokój, stary! Jacy z nich komuniści! To było całe wieki temu, nie wygłupiaj się. Będą robić dokładnie to samo, co ich poprzednicy, tak jak każdy, kto przyjdzie do władzy, robi to samo, co poprzednik, bo po prostu jest tylko jedno do zrobienia, a cała reszta to

bzdety dla ciemnoty, która głosuje. Ty jesteś fachowcem od wspomagania procesu decyzyjnego, rozumiesz to? Twoja praca pozostaje taka sama, wynik wyborów nie ma tu nic a nic do rzeczy, zrozum wreszcie.

– Pewnie masz rację. Ale to nie ma znaczenia. Po prostu nie chcę w tym uczestniczyć, koniec. Wysiadam. Szkoda mi strasznie, ale znajdę sobie jakąś inną robotę.

– Już nie chcesz zrobić nic dla kraju? Już ci przeszło? Naród źle zagłosował, to ty się na niego obrażasz?

– Nie wkurzaj mnie!

– To nie jest argument.

– Ty nie rozumiesz – westchnął ciężko. – To mógł być naprawdę świetny, bogaty kraj, taki, żeby się chciało żyć. Naprawdę była szansa. I co z nią zrobiono? Dobra, ja tej sitwie nic nie mogę zrobić, nie da się zbawić narodu wbrew jego własnej woli. Ale ja z tą sitwą nie chcę mieć nic wspólnego. To wszystko. Potrafisz to przyjąć do wiadomości?

W gruncie rzeczy, spodziewał się takiej reakcji. Znał go. Emocje, luźne skojarzenia. Brzozowski nie potrafił tego zrozumieć i musiał przyznać przed sobą, że to go właśnie w Robercie fascynowało. W gruncie rzeczy nie było nic prostszego, niż pozwolić mu odejść z zawodu i zadbać, aby nigdy do niego nie wrócił. Tak, miał talent, jeszcze nie zdążył się przekonać jaki. Ale prędzej czy później znalazłby kogoś równie utalentowanego, a bez tych wszystkich obciążeń.

Tylko że gdyby pozwolił mu tak po prostu odejść, musiałby uznać się za przegranego. Zdyskwalifikować go, jeśli się nie sprawdzi – to co innego. Ale tak, to by była przegrana.

A poza tym, myślał teraz, dopijając swój poranny-wieczorny koniak, chodziło o coś więcej niż pusta satysfakcja, że sobie z nim poradził. Wiedział, że jeśli zdoła Roberta przekonać, nie będzie drugiego człowieka równie jak on oddanego sprawie.

– Nikt nie stworzył systemu – pokręcił głową, cierpliwie, jakby tłumaczył dziecku. – To jest główna słabość takich bojowników jak ty: musicie mieć winnego. Kogoś, komu można dać w mordę. Wiesz, dlaczego prosty Polak tak dobrze wspomina komunizm? Bo wtedy był pierwszy sekretarz i wiadomo było, że on za wszystko odpowiada. Tak, tak, nie przerywaj: ludzie się nie buntowali przeciwko komunizmowi, tylko przeciwko pierwszemu sekretarzowi. Wywalało się pierwszego sekretarza, przychodził następny i higiena psychiczna narodu była zachowana. A teraz co? Kogo wywalić, komu dać w mordę? Prezydentowi? Prezydent chce dobrze, tylko mu nie pozwala rząd. Premierowi? Premier nic nie może, musi tylko wykonywać, co uchwali parlament. Ale parlament też nic nie może, bo obowiązują go ustalenia izby samorządowej. A kto wybiera izbę samorządową? Niby wszyscy, ale nikt, bo przynależność do związku zawodowego albo

samorządu gospodarczego jest obligatoryjna; możesz sobie wybrać co najwyżej, która z organizacji ma reprezentować twoje interesy. I ta jedna zawsze chce dobrze, tylko inni ją przegłosowują. Nie ma winnego, choćbyś pękł. Na tym właśnie polega nowoczesna demokracja. Mówię ci, powtarzam: świat się zmienił. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Na pierwszy rzut oka wszystko jest, jak było, ale pod spodem – zupełnie co innego. Wciąż rozumujesz kategoriami sprzed dziesięciu lat. A sprzed dziesięciu lat znaczy teraz: sprzed stulecia.

– Puste gadanie – odparł po bardzo, bardzo długim milczeniu. – Daj mi spokój, ja po prostu nie chcę tu dłużej pracować.

*

Śmiał się do telewizora, na ekranie którego tłum skandował bezgłośnie obelgi, wygrażając do kamery kukłami, krzyżami i co tam kto miał w garści. Styperek wynurzył się z szelestem spomiędzy koralików. Postawił przed nim talerz z przyrumienionymi parówkami, drugi, mniejszy, z pieczywem i masłem, po chwili dodał do tego płaskie pudełko chrzanu. Brzozowski zerwał z niego srebrną folię, zakręciło go w nosie, aż świeczki stanęły w oczach.

– To, mówisz pan, poszedł na prywatne. Ale pewnie jesteście w kontakcie, co? Wy, kataryniarze, to się zawsze trzymacie razem.

Potrząsnął przecząco głową.

Doświadczenie życiowe Brzozowskiego uczyło go, że opłaca się być zawsze całkowicie szczerym. Ktokolwiek potrzebuje prawdy, ten przemieli w komputerach wszystkie dostępne informacje i natychmiast wykryje próbę kłamstwa. Kto zaś jej nie potrzebuje, nie zrozumie ani słowa. Styperkowi, który w duchu podśmiewa się z niego jako z wariata, nawet nie przyjdzie do głowy zapisać jej w swoich rutynowych sprawozdaniach dla Firmy.

– To nie o to chodzi, panie Styperek. Ja go nie mogę spuścić z oka. Ja – oznajmił poważnie – jestem jego Mefistofelesem.

*

Mówiąc do Siwawego: “Ja bym chciał”, Lanca udawał ważniejszego, niż był w rzeczywistości. W istocie jego chcenia nie

znaczyły tu zupełnie nic. Pojawił się na scenie tylko dlatego, że prowadzona od dłuższego już czasu sprawa Obiektowa wypączkowała z siebie Sprawę Rozpracowania Operacyjnego. Normalną w takich wypadkach koleją rzeczy przekazano więc jej fragmentaryczne akta z Wydziału Pierwszego do Wydziału Operacyjnego, w którym pełniący obowiązki dyrektora bez długiego namysłu wybrał do realizacji sprawy Lancę. Ten ostatni nie wiedział nawet, co oznacza nadany sprawie kryptonim Kuromaku. Domyślał się, że to po japońsku, a ponieważ sprawa dotyczyła środowiska związanego z komputerami, był przekonany, iż słowo to stanowi nazwę jakiegoś elektronicznego cacuszka lub produkującego je koncernu.

W mowie Firmy nazywało się to "robić dla kuzyna". Robiącym dla kuzyna był Lanca, samym kuzynem zaś suchy, węźlasty major z Wydziału Operacyjnego, zwany Gumą. W czasie, kiedy pani prezydent kończyła ostatnią przymiarkę sukni, w której miała się wieczorem pokazać ambasadorom, do gabinetu Gumy doprowadzono prezesa spółki InterData.

– No cóż, nie powiem: "dzień dobry" – zaczął Guma. -Ale pan też go z pewnością za taki nie uważa. Jest pan strasznie zdumiony, że panu też się to mogło przydarzyć, prawda?

Tak, Prezes był bezbrzeżnie zdumiony, że jemu także mogło się to przydarzyć. Prezes nie był szczególnie zainteresowany tą akurat ze swoich licznych spółek. Bogiem a prawdą nawet nie bardzo wiedział, czym InterData się zajmuje, a w zrujnowanym budynku na zapleczu placu Bankowego pojawiał się tylko dlatego, że z firm, których był współwłaścicielem, ta miała najlepiej zlokalizowaną siedzibę.

Sam z siebie nigdy by się czymś takim, jak zatrudnianie kataryniarzy nie zainteresował. Ze swego długiego doświadczenia życiowego i biznesowego dobrze wiedział, jaka jest wartość informacji, ale wiedział też, jak się wartościowe informacje uzyskuje; w każdym razie nie z sieci komputerowej.

Pierwszą wartościową informacją, jaką przed laty uzyskał Prezes, była wiadomość, kiedy można i warto będzie legalnie otworzyć kantor z walutą. Uzyskał ją w drodze wzajemności za drobne przysługi, których – jak każdy cinkciarz – nigdy nie odmawiał Firmie.

Wkrótce potem uzyskał drugą wartościową informację, kiedy warto będzie ten kantor zamknąć, a w międzyczasie, kiedy warto będzie wszystkie dolary zamienić na złotówki, a kiedy odwrotnie. Te trzy informacje razem dostarczyły mu środków niezbędnych, aby na stałe wejść do elitarnego grona ludzi mających dostęp do wiadomości o planowanych zmianach kursów, pustych dniach na granicy, terminach podwyżek, zmian stóp procentowych, procesach koncesyjnych i temu podobnych naprawdę istotnych sprawach, których nie byłby mu w stanie wyświetlić żaden kataryniarz. W czym

się, mówiąc nawiasem, mylił, ale w odniesieniu do czasów, gdy uczył się sztuki robienia interesów, było to jeszcze prawdą.

Firma ma swoje interesy i ludzi, którzy je realizują. Wynika to z dwóch oczywistości: pierwszej, iż potrzebuje ona na swą działalność znacznie większych funduszy niż jest w stanie legalnie i oficjalnie rozliczyć, i drugiej, że dlaczegóż by nie, skoro dysponuje ona wszystkim, co do robienia interesów niezbędne. Istotną częścią sztuki robienia interesów była zasada, że kiedy ktoś, kto obraca pieniędzmi Firmy, prosi o drobną przysługę, to mądrze jest mu ją wyświadczyć.

Spółka InterData, zatrudniająca Roberta i kilku innych kataryniarzy, była ze strony Prezesa taką właśnie przysługą. Oficjalnym jej pomysłodawcą i współwłaścicielem był pewien obywatel na tyle tu nieistotny, że darujemy sobie jego personalia. Powodem zaś, dla którego kilka lat wcześniej zaproponowano Prezesowi otwarcie takiego interesu był nie tyle zamiar czerpania z niego zysków -choć, powiedzmy, strat nie przynosił – co chęć trzymania na wszelki wypadek ręki na pulsie.

Jest to jedna z głównych przewag Firmy nad politykami, którym wydaje się, że ją kontrolują, i czasem nawet próbują to robić naprawdę. Polityk robi karierę przez jedną, dwie kadencje, a potem już tylko biernie czerpie zyski z układów, których zdążył się przez ten czas dochrapać. Natomiast w Firmie, przynajmniej za jej dobrych lat, każdy wiedział komu służy i kto służy jemu. Nawet jeśli jakiś kaprys dziejów na chwilę zaburzył obsadę stanowisk, to i tak przez cały czas prawdziwa, wewnętrzna hierarchia liczyła się bardziej niż nominacje z podpisem prezydenta.

Szarzy Przeżuwacze serwisowego kitu chcą wierzyć, że rządzą nimi politycy, na których mogą mieć dzięki sondażom i wyborom jakiś wpływ. Ale by rządzić trzeba wiedzy, a politycy wiedzą zazwyczaj tylko jedno: jak eliminować rywali i zdobywać poparcie. Polityka jest grą, której opanowanie wymaga wielu lat. Ćwiczona od poziomu prowincjonalnego działacza przez dziesiątki zebrań, posiedzeń i narad pochłania tyle czasu i energii, że już ich nie pozostaje na nic innego. W efekcie polityk, który zdołał się wybić na tyle, by Przeżuwacze mieli chęć na niego zagłosować, dysponuje taką wiedzą, jaką wyniósł z pierwszych lat studiów. Potem nie miał już czasu na czytanie niczego poza gazetami – a i te zaledwie przebiegał wzrokiem, szukając, co tam o nim i o jego rywalach. Dlatego też Tamten Świat, WorldNet, kataryniarze i wszystko to dla polityków jeszcze na dobre nie zaistniało – obojętne, czy w partii liberalnej, czy socjaldemokratycznej.

Natomiast ludzie, którzy zdecydowali się raczej pociągać za sznurki, niż stać na scenie, podlegali odmiennym mechanizmom selekcji – mechanizmom preferującym nie urodę, umiejętność

wzbudzania sympatii i składnego perswadowania swoich racji, ale spryt, obrotność i otwarcie na wszystko, co nowe. Fakt, że ci właśnie ludzie dostrzegli Tamten Świat i postanowili na wszelki wypadek mieć nań oko oraz możliwość gdyby-co na jego bywalców, nie powinien więc zdumiewać.

– Nie, nie jestem zdumiony – skłamał Prezes. – Jestem oburzony. I doskonale wiem, o co chodzi. O ten motłoch, który dzisiaj hałasuje po Warszawie, tak? Przy święcie trzeba lud pracujący nakarmić jakimś biznesmenem. Zdaje się, że macie taki zwyczaj, tak? Ale oświadczam panu, że tym razem przegięliście. Pan sobie nie zdaje sprawy…

– Boi się pan – zauważył sucho Guma. W tym także miał rację. – Nie gadałby pan tyle, gdyby się pan nie bał.

– To pan się powinien bać! – nie wytrzymał Prezes. -Za parę godzin będzie mnie pan po rękach całował, żebym się za panem ujął!

– Ohoho! – twarz Gumy wykrzywiła się w niepowtarzalny wyraz sarkazmu i złośliwej radości, któremu zawdzięczał on swoją ksywę – Dobrze, miejmy to już za sobą, zanim naprawdę się do pana zrażę. Zgaduję, że chce pan prosić o telefon?

– Tak – wysapał Prezes, którego wygłoszona tyrada wcale nie uspokoiła, przeciwnie: czuł, że zaczyna drżeć i usiłował sobie wmówić, że to ze złości. – Chcę.

– Przez dziewiątkę – objaśnił uprzejmie Guma, podając mu słuchawkę.

Prezes mimo to wybrał numer bez dziewiątki. Przedstawił się sekretarce, odczekał chwilę na połączenie, a potem wyłożył zwięźle swoją obecną sytuację i oddał słuchawkę Gumie. Guma sięgnął wtedy do klawiatury telefonu i wystukał na niej inny numer, też bez dziewiątki.

Specjalna komisja w składzie: Guma, Prezes i dwaj panowie przy telefonach – dokonała sprawdzenia numerów.

Numer Gumy okazał się lepszy.

– No, to jak teraz będzie z tymi całuskami? – zapytał Guma, odłożywszy słuchawkę.

*

– O, Aniu kochana, jak dobrze, że już jesteś – powitała Wiktorię jedna z pracownic zjednoczonych redakcji. -Wiesz, czytałam ten wasz raport specjalny o Wspólnocie Pacyfiku. Moim zdaniem to było świetne, takie wnikliwe i wyczerpujące…

Wiktoria tak naprawdę wcale nie nazywała się Wiktorią. To

Tamten Robert wymyślił dla niej to imię, na cześć litery, której, jak wywodził w znanym przemówieniu pewien komuch, nie ma w polskim alfabecie. I na cześć tego wszystkiego, z czym się ta zakazana litera Tamtemu Robertowi kojarzyła. Tym sposobem Tamten zgrabnie połączył swoje dwie miłości w jedno, a ona nie miała innego wyjścia, niż pogodzić się z tym, cokolwiek myślała o traktowaniu jej w ten sposób.

– Naprawdę? Dziękuję.

Miała nadzieję, że ta odpowiedź zionęła wystarczającym chłodem. Doskonale znała panienki z sąsiadującego z jej gabinetem działu. Jeżeli nagle któraś uznawała za stosowne ją komplementować i nazywać "Anią kochaną", był to niechybny znak, iż czegoś od niej chcą.

– Powiedz, masz teraz coś pilnego?

– Chcesz zapytać, czy się nudzę?

– No wiesz, co ty. Po prostu pytam, bo mamy u nas kłopot i Wolfie mówił, że może byś nam mogła pomóc…

"Wolfie". Jakie to słodziutkie, mieć za szefa nie jakiegoś sztywniaka – Wolfganga, tylko Wolfiego. Idiotki. Na szczęście w grupie ekonomicznej pracowali oprócz Wiktorii sami mężczyźni i z przekorą wobec królującego w redakcyjnych korytarzach feminizmu tym właśnie faktem tłumaczyła, iż była to bodaj jedyna redakcja nie zaczadzona jeszcze do reszty pstrokatą głupotą produkowanych w tym budynku pisemek.

Wiktoria westchnęła ledwie dostrzegalnie, na tyle jednak głośno, by ta oznaka irytacji nie uszła uwadze jej rozmówczyni.

– To musi być coś naprawdę strasznego, skoro już o tej porze zdążyłyście go zatrudnić.

– Centrala go zatrudniła, kochana. A on nas. Nagle wszystkie pisma chcą mieć materiały o Polsce i musimy to wszystko przygotowywać. A wiesz, jak jest, każdy chce coś innego, każdy inaczej, jednym trzeba nawiązać do wpływu Gwarancji na życie przeciętnej Polki, innym do historii. A polskie wydania też muszą być zrobione na termin.

Miejsce, w którym Wiktoria pracowała od kilku lat, było polskim oddziałem zachodnioeuropejskiego koncernu wydawniczego, gigantycznej fabryki zadrukowującej co tydzień miliony ton błyszczącego papieru w kilkunastu językach. Większość z wydawanych przez koncern pism nie różniła się od siebie niczym oprócz tytułów: takie same kolorowe strony, których zawartość dobierano przede wszystkim z myślą o ułożeniu miłej dla oka kompozycji tytuł – zdjęcie, zdjęcie – tekst.

Byłoby rozrzutnością zatrudniać do produkowania takich pism osobne redakcje. Tylko komputerzyści designerzy przypisani byli do

konkretnych tytułów. Resztą zajmował się jeden dla każdej strefy językowej zespół, bez jakichkolwiek specjalizacji. W grupach specjalistycznych, takich jak ta, w której pracowała Wiktoria, zespołach obsługujących różnojęzyczne mutacje kilku fachowych tytułów dla polityków i menagementu, nazywano tę fabrykę złośliwie: "zjednoczonymi redakcjami". Główna troska i sens istnienia zjednoczonych redakcji polegały na tym, aby tekst nie był ani za długi, ani za krótki, tylko w sam raz mieścił się na wyznaczonym dlań przez designera polu.

– Elu droga – przejęła sposób zwracania się typowy dla pracownic zjednoczonych redakcji – nie sądzę, żebym potrafiła napisać cokolwiek, co byłoby w stanie zainteresować tę publiczność, dla której pracujecie…

– Och, nie o to chodzi. Z tym sobie poradzimy. "Postęp w kraju nietolerancji" i tak dalej. Mamy po prostu kilka tekstów, które trzeba pilnie przetłumaczyć i skrócić, a wszyscy są zajęci. Wolfie mówi, że to dla ciebie nic trudnego i nie powinnaś nam odmawiać pomocy.

– Pewnie, że nic trudnego – wzruszyła ramionami. Swoim szefem na Polskę koncern uczynił głupiego bubka, którego jedyną kwalifikacją było to, iż odkąd rodzice wywieźli go do obozu przejściowego pod Wiedniem, mówił po polsku z cudacznym akcentem esesmana z filmowych komedii. Nie dziwiło jej to ani nie oburzało; w końcu, ile się można w życiu dziwić i oburzać. – Ale ja nie odróżniam, który aktor albo piosenkarz jest który. Potem będą pretensje.

– To głównie o komputerach – Ela była dobrze przygotowana do rozmowy i nie dawało się jej zbyć byle czym. -Coś musisz o tym wiedzieć, przecież twój stary w tym siedzi po uszy.

– O komputerach?

– O tych, jak to mówią, kataryniarzach – uściśliła. -Naprawdę, parę krótkich tekstów, tylko to urwanie głowy, wiesz. To przyślę ci je zaraz. Dziękuję, kochana. Widzisz, a one mówiły, że jesteś nieużyta…

Któregoś innego dnia pewnie by się przed tym obroniła. A, niech tam. Poczuła fizyczną ulgę, kiedy Ela wyszła.

Gabinet był pusty. Z wyjątkiem jednej osoby, która miała dyżur, redaktorzy grup specjalistycznych nie musieli pojawiać się w pracy rano. Przyjdą zapewne za dwie, trzy godziny. Wezmą się za poprawianie stylu i merytorycznych błędów w tekstach, które od wczoraj wpisywali w pamięć sieci rozmaici sławni korespondenci, bardziej zainteresowani tropieniem kolejnych przejawów odwiecznego polskiego antysemityzmu, niż wyjaśnianiem spraw, których nie byli w stanie zrozumieć ani oni sami, ani tym bardziej ich odbiorcy. Wacek jak zwykle będzie nad tym co i raz parskał i zgrzytał zębami, wygłaszając w powietrze tyrady na temat głupoty pani prezydent,

premiera, a przede wszystkim roboli, którzy mieli na tych całych Gwarancjach, jego zdaniem, najbardziej dostać w dupę. Z dwojga złego wolała te tyrady od zgorzkniałego ględzenia pozostałych współpracowników.

Czasem miała wrażenie, że to nieustanne roztkliwianie się nad sobą, jakie obserwowała u zatrudnionych w redakcji panów, to taki nowy styl biurowego podrywania, zamaskowanego przed oskarżeniem o sexual harassement. Może dziś kobietom bardziej imponuje u mężczyzn bezradność i rozlazłość niż tradycyjne przymioty.

Jeśli tak, to, cieszyła się, jej mąż by im nie zaimponował.

Dawniej.

Nie pamiętała, by kiedyś był bezradny. Nie pamiętała go takiego, jakim objawił się w ostatnich tygodniach: zgaszonego, zobojętniałego. Kiedy przytulał się do niej ni stąd, ni z owad, to nie było tak jak zawsze. Dawniej po prostu się z nią pieścił, przyciskał ją do piersi jak swoje ulubione cacko; teraz wtulał się w nią, jakby chciał uciec w jej ramiona, schować się w nich przed czymś.

Wyczuwała to.

A to przypominało jej bolesny sekret i jej winę wobec niego.

Wiktoria wyszła za człowieka, którego nie kochała. I nawet nie mogła się przed sobą bronić, że myślała, że się myliła. Nie. Wiedziała, że to, co do niego czuje, to wcale nie jest miłość. Nie omdlewała na dźwięk jego głosu, nie uginały się pod nią kolana, gdy ją obejmował. A gdy pierwszy raz się całowali w Łazienkach, to było przyjemne, oczywiście, ale wcale nie przyprawiło jej o zawrót głowy.

Polubiła tego łagodnego, troszkę gruboskórnego chłopaka o niezręcznych dłoniach i uroczych, marzycielskich oczach, owszem. Nie mając o swej urodzie najwyższego zdania, nie sądziła, by miał się jej jeszcze trafić ktoś lepszy.

Nie, to nie tak. Nie to było ważne. Ważne było to, że od pierwszej chwili, kiedy go spotkała, wiedziała na pewno jedną rzecz: że Robert po prostu jest dobrym człowiekiem.

Boże mój, kto jeszcze dzisiaj tak mówi albo myśli o ludziach. Dobry człowiek. Taki, który jej nie zdrad/i, nie zrani, który nie będzie zdolny zrobić niczego podłego. Człowiek, z którym można razem przeżyć życie i do którego miłość przyjdzie sama z siebie, z czasem, po prostu narodzi się z szacunku i przywiązania. Tak wierzyła.

Usiadła przy swoim biurku, dotknęła lekko klawiatury. Ekran komputera natychmiast pojaśniał. Machinalnym, wytrenowanym ruchem poprowadziła kursor do panelu “nowe”.

Robert był dobrym człowiekiem, nie omyliła się. Była szczęśliwa. Starała się odwzajemnić jego uczucie i być równie dobrą dla niego. Myślała, że jest z nią równie szczęśliwy, jak ona z nim.

Ale widocznie nie był. Brakowało mu czegoś.

A może po prostu za dużo się nasłuchała tych idiotek zza ściany i ich mądrości z cyklu: “Garkotłuki wszystkich krajów, łączcie się”. Miłość, miłość. Dla nich to znaczyło tyle, co apetyt na ciasteczka.

Teksty już tam były. Wyedytowała pierwszy z nich na ekran, okienko w prawym górnym rogu zamigotało adnotacją: “Wersja polska na 4500 znaków!” Wciąż jeszcze pogrążona w myślach otworzyła osobne okno edytora, przywołała na wszelki wypadek menu słownika i zaczęła tłumaczyć tekst w miarę jego czytania.

ZEMSTA CYBERPRZESTRZENI?

“Wiedziałam, wiedziałam, że dzieje się z nim coś złego, ale lekarze nie umieli mi pomóc” – Helga Pillai nie potrafi powstrzymać łez. Straszliwa tragedia zburzyła jej szczęśliwe życie, uderzając nagle jak błyskawica ze spokojnego nieba. Jeszcze kilka miesięcy temu jej ukochany mąż był jednym ze wspaniale zarabiających i szanowanych przedstawicieli wciąż bardzo elitarnego zawodu: operatorem bezpośrednim rozległych sieci komputerowych. Obecnie pan Pillai jest ludzką rośliną. Aparatura szpitala im. Mercury'ego, do której jest od kilku tygodni podłączony, może podtrzymywać procesy życiowe jego organizmu jeszcze przez wiele miesięcy, ale lekarze nie rokują pacjentowi szans na wyjście ze stanu głębokiej śpiączki, w którą popadł z niewiadomych przyczyn podczas jednego z rutynowych dni pracy w nadzorowanej przez siebie sieci.

Nie jest to jedyny…

Uświadomiła sobie, że indirect controller znaczy tyle samo, co polskie “kataryniarz”. Cofnęła się wzrokiem, ale nie zdecydowała na zmianę. Kataryniarz to było potoczne, ale jak brzmi polska nazwa oficjalna? Nie mogła sobie przypomnieć. Może właśnie operator bezpośredni.

…Redakcja [uwaga, tu wstaw nazwę redakcji dla której dokonujesz adaptacji, lub, jeśli pośredniczysz, pozostaw tę adnotację] jest na tropie ukrywanego przez czynniki oficjalne niebezpieczeństwa zagrażającego ludziom zawodowo używającym biosynaps do pracy w środowisku wirtualnym. Uderzająca wydaje się zbieżność w relacjach kilkunastu osób, bliskich ofiar tajemniczej choroby, z którymi rozmawiali nasi reporterzy: pierwszym objawem tajemniczej, nie znanej nauce przypadłości są wyraźne oznaki depresji i przygnębienia, poprzedzające zazwyczaj o kilka tygodni nagły atak śpiączki, który następuje podczas przebywania w rzeczywistości wirtualnej.

Zdaniem doktora Renato Zielberga ze Związkowej Akademii Medycznej we Frankfurcie…

Daj spokój, nie bądź idiotką. To przecież taka głupia pisanina dla półanalfabetów. Wyssane z palca bzdury.

– …chwili obecnej nie sposób sobie wyobrazić, zwłaszcza w niektórych dziedzinach, co działoby się, gdyby nagle trzeba było

zrezygnować z usług bezpośrednich operatorów sieci. Czy jednak, pyta doktor Zielberg, dla uniknięcia strat finansowych wolno narażać życie ludzkie, ukrywając przed opinią publiczną…

Wyssane z palca bzdury. Przecież wiesz. Przestań.

Strasznie chciało się jej pić. Podniosła się i wyszarpnąwszy z podajnika styropianowy kubeczek, nalała sobie wody.

Nie mogła powstrzymać się przed spojrzeniem znowu na to zdanie:

…wyraźne oznaki depresji i przygnębienia, poprzedzające zazwyczaj o kilka tygodni nagły atak śpiączki…

*

Co do serwerów Corbenicu i wsparcia, jakiego potrafiły udzielić swym użytkownikom, to tej samej nocy co Brzozowski korzystał z nich także Scenarzysta. Scenarzysta nie był kataryniarzem i w ogóle nie znał się na komputerach bardziej niż przeciętny niedzielny kierowca na samochodach. Korzystał ze standardowego zestawu Yirtual Reality, szerokich gogli świecących wprost w oczy trójwymiarową projekcją i sensorycznej rękawicy bez palców, pozwalającej nieznacznym ruchem ręki przesuwać świecący kursor po ikonach wirtualnego panelu sterowania, ciągnącego się od sufitu do podłogi i od prawej do lewej ściany. Poza tym Scenarzysta, kiedy chciał coś zapisać, używał normalnej, alfanumerycznej klawiatury, której zgodny z rzeczywistością obraz wkomponowywał w projekcję sterujący wizualizacją koprocesor.

Ujęte w formę okien menu, które wyświetlał komputer w panelu przed Scenarzystą, niewiele różniło się od używanego powszechnie w dziesiątkach biur i domów. Od lat cały wysiłek firm dostarczających oprogramowanie nastawiony był na to, aby uczynić nowe aplikacje jak najbardziej debiloodpornymi. Wysiłek ten nie szedł na marne. Wypracowywany przez producentów sprzętu wzrost mocy i szybkości domowych komputerów programiści zużywali natychmiast na trójwymiarowe animacje, melodyjki, zupełnie-jak-żywe ikony, które odzywały się ludzkim głosem, kiedy muskał je prowadzony ruchem rękawicy kursor, i temu podobne głupstwa, tak że nigdy nikt nie miał wystarczająco dobrego i nowoczesnego komputera dłużej niż przez jeden sezon.

Scenarzysta należał do tych nielicznych szczęśliwców, dzięki czemu mógł korzystać ze swych programów nie wiedząc nawet, czego właściwie używa – nie mówiąc już, jak to działa. Gdyby jego gogle

mógł założyć fachowiec, zauważyłby zapewne w wirtualnych oknach mniejszy, dodatkowy panel – co nie było niczym specjalnie dziwnym, gdyż ten system operacyjny z założenia pozwalał, dzięki otwieranym w miarę potrzeb dodatkowym oknom, wkomponowywać dowolne aplikacje, także te pochodzące z konkurencyjnych systemów operacyjnych – a w tym dodatkowym panelu zupełnie mu nie znane, szczególne menu, pozwalające po podaniu kilku haseł w paru kliknięciach wjechać do miejsca w Sieci, które samo identyfikowało się jako Corbenic.

W porównaniu z tym, czego potrzebował od Corbenicu Brzozowski, programy dostępne z menu Scenarzysty wydawały się zupełnymi błahostkami. Ten najczęściej przez niego odpalany miał na identyfikacyjnym pasku okna nazwę: “telenowela” i otwierał dostęp do funkcji wspomagających konstruowanie zasadniczej linii scenariusza, rozpracowywanie jej wybranych punktów na poszczególne odcinki czy generowanie postaci. Wystarczało wybrać któryś z podsuwanych przez komputer wariantów złożonego schematu rodzinnych, służbowych i uczuciowych zależności między bohaterami, zdecydować się, która część tej struktury umieszczona zostanie w centrum akcji i wypełnić ją imionami oraz drugorzędnymi danymi według własnej fantazji lub dobierając je przypadkowo z menu pomocniczego.

Konstruowanie fabuły było jeszcze prostsze. W każdej chwili można było otworzyć przed sobą okno z wyborem wszelkich możliwych zapętleń i spiętrzeń fabularnych, wszelkich skradzionych lub sfałszowanych listów, nagłych amnezji i równie nagłego odzyskiwania zepchniętych do podświadomości wspomnień, zdrad, pożarów, operacji plastycznych, nagłych objawień co do prawdziwego pochodzenia, przekazanej z pokolenia na pokolenie zemsty, grozę budzących souvenirów z egzotycznych podróży i tak dalej, do wyboru, do koloru. Corbenic sam wiedział, jak zagęścić i skompilować tę konstrukcję przy najmniejszym wysiłku użytkownika. Sam pamiętał, że w obrębie każdego półgodzinnego odcinka stale musi się coś dziać, ale tak, aby zdarzenia wzajemnie się likwidowały, by widz nie tracił rozumienia sytuacji, nawet jeśli zajęty swoimi sprawami, zerkał w telewizor tylko co jakiś czas, zadowalając się fonią, i by mógł bez szkody dla orientacji w całości odpuścić nawet dwa, trzy odcinki. Wystarczyło kliknąć parę razy w wyświetloną listę opcji, aby po chwili mieć przed sobą konkretną propozycję rozpisania zaplanowanej treści odcinka na poszczególne dialogi. Corbenic pamiętał także, że wszystko, co bawi, powinno także uczyć i sygnalizował Scenarzyście miejsca, w których nie od rzeczy będzie zawrzeć coś, co wedrze się widzowi do mózgu i zalegnie w zaklejającym go szlamie, podsuwając od razu szeroką gamę sugestii.

Scenarzysta nie był idiotą i zapewne poradziłby sobie także bez tej pomocy. Rodzina, którą stworzył w swoim pliku i która okupowała przedpołudnia w czterech europejskich telewizjach już od pół roku, miała nawet swoją specyfikę, z której był dumny. Jeszcze bardziej dumny był, gdy od czasu do czasu zdołał wymyślić coś, co dotąd nie znajdowało się w nieprzebranej pamięci Corbenicu. Kierował wtedy świetlisty kursor na pasek narzędziowy i zwijał dłoń, dotknięciem palca do jednego z trzech umieszczonych na rękawicy u nasady kciuka sensorów, otwierając niewielkie okno, oznaczone swoim imieniem. Potem zakreślał kolorem blok tekstu na głównym ekranie, w centralnym panelu, wyświetlanym wprost przed nim, przenosił go do tego okna i odsyłał do pamięci Corbenicu jako swój skromny wkład w jego rozwój.

Scenarzysta nie był idiotą, ale, szczerze mówiąc, mógłby sobie nawet pozwolić na to, by nim być. Mając dostęp do Corbenicu, nawet idiota potrafiłby się utrzymać w branży i odnosić w niej sukcesy, bawiąc i ucząc miliony telewidzów.

Naturalnie, Scenarzysta nie był taki głupi, by pozwolić dotykać swojego sprzętu byle idiocie.

– No, i wyobraźcie sobie: wzięła – oznajmiła Ela, powróciwszy do swojego pokoju i upewniwszy się, że dźwiękoszczelne drzwi, wiodące przez korytarz do Grupy Ekonomicznej pozostają szczelnie zamknięte.

– Proszę, proszę. Jak ci się udało tę wiedźmę przekonać?

– Schmoozing, kochana, schmoozing – skorzystała do przypomnienia koleżankom o swym stażu w Ameryce. -To trzeba umieć.

– E, żaden sukces. Dwa tygodnie temu odesłałaby cię do diabła i jeszcze zrobiła awanturę Wolfiemu. Nie zauważyłyście, jaka chodzi skwaszona? Ja wam mówię, coś jej się tego…

– Chłop, a co by innego – rzuciła domyślnie pani Marzenka spod okna. – Chłop po czterdziestce to jak bomba zegarowa w łóżku. Musi mu odbić, to taki wiek…

– No pewnie. U starego trupa szaleje dupa – popisała się ludową mądrością pani Małgosia.

– Jesteś trywialna, moja droga. To coś więcej, kryzys wieku dojrzałego, potrzeba szaleństwa. Jacques Brel potrafił pewnego dnia rzucić rodzinę i dochodową firmę, wziąć gitarę i pojechać do Paryża śpiewać po kabaretach. A dlaczego? Bo to było niespełnione marzenie jego młodości. Mężczyzna uświadamia sobie, że to już ostatnia chwila… – pani Marzenka zaledwie tydzień temu przycinała do numeru artykuł poświęcony kryzysowi wieku dojrzałego.

– A o czym jej mąż może marzyć? Wiecie, co Wolfie mówił, że oni ze sobą dwadzieścia lat… Rozumiecie?

– To musi być wyjątkowa dupa, ten jej mąż, jak przez tyle lat jej nie puścił w trąbę.

– Czas najwyższy nadrobić.

– A jeszcze to kataryniarz.

– Oj, głupia jesteś, a co to ma do rzeczy?

– A to ma, mądralo, że wiesz, ile oni zarabiają? Taki to sobie może co wieczór szaleć w Imperialu z najdroższymi kociakami, a nie marnować życie przy starej babie.

– No i co, wyszaleje się i wróci. Nie ma co chodzić ze skwaszona miną i psuć ludziom nastrój.

– A nawet gdyby nie wrócił, to co? Dzieci nie mają, nic ich nie zmusza się męczyć – zawyrokowała pani Marzenka.

Podczas kiedy sprzętowcy odprawiali niezrozumiałe dla Wyższego i Grubszego obrzędy nad wnętrznościami komputerów, oddzielony od nich kilkoma ścianami siwa-wy oficer wgłębiał się w życiorys i profil psychologiczny człowieka, którego miał, jak to się u nich mawiało, naszykować. Kilkakrotnie był odrywany od lektury, ponieważ pojawiał się któryś z pracowników InterDaty i trzeba go było rutynowo przesłuchać, spisać i odesłać do domu. Za każdym razem wzbudzało to w nim coraz większą irytację, aż zaczął sobie niejasno uświadamiać, że poznawanie tego życiorysu sprawia mu trudną do wyjaśnienia przyjemność. Może po prostu przypominało mu dawne, dobre czasy, gdy Firma nie była jeszcze operetką, a on naprawdę coś w niej znaczył.

Jeśli ktoś chciałby twierdzić, że w służbach specjalnych nie zdarzają się nieudacznicy, to Siwawy byłby najlepszym dowodem na obalenie takiej tezy. Wprawdzie jako oficer operacyjny nigdy nie naraził się na niezadowolenie przełożonych, ale na rok przed emeryturą nagle zorientował się, że bodaj jako jedyny ze swego rocznika pozostał nikim. Nie miał żadnej firmy, żadnych akcji ani żadnego dobrze ustawionego podopiecznego. Uświadomił też sobie, że zadecydował o tym fakt, z którego dawniej był dumny: że przez długie lata naprawdę wierzył w socjalizm, walkę klasową i nieuchronne zwycięstwo sił internacjonalistycznego postępu nad pazernym i egoistycznym kapitalizmem.

Siwawy nie przyznawał się kolegom, dlaczego zgłosił się do Firmy. Udawał, że tak jak oni nie zamierzał być w życiu byle kim. Oczywiście, to też. Ale w istocie na jego życiowej decyzji zaważyły uczucia. W miasteczku, gdzie się urodził i wychowywał, pewnego dnia ludzie nie wytrzymali kolejnej podwyżki i wybebeszyli komitet. Wstydził się, że jego miejscowość stała się na całą Polskę symbolem warcholstwa. Kilka dni później zgłosił się do miejscowej komendy, bo nie potrafił wymyślić lepszego sposobu odkupienia przed ludową ojczyzną krzywdy, jaką jej wyrządzono. O dziwo, został zaakceptowany, choć zasadniczo to Firma zwykła dobierać sobie nowych pracowników, wedle własnego uznania składając propozycje upatrzonym i z dawna obserwowanym osobom.

Mimo wszystko, kiedy teraz o tym myślał, nie był to zły życiorys. Firma była miejscem dla prawdziwych mężczyzn i z niego również uczyniła prawdziwego mężczyznę. Trzeba tu było sprytu, trzeba było lojalności i trzeba było być twardym. Umiał to. Wiedział, że w świecie pełnym mięczaków, głupców i zdrajców on należy do arystokracji. Lubił to poczucie nie mniej, niż świadomość, że lata ćwiczeń utrzymały go w zupełnie niezłej jak na jego wiek sprawności.

Jedna po drugiej wywoływał na ekran kolejne karty z teczki

kataryniarza.

Nie pracował nigdy na zagadnieniu studentów. Nie mieli okazji się zetknąć. Zresztą tamten był za nisko, zwykła mrówka, kolportująca fabrykowane przez amerykańskich speców brednie. Młody dureń, nikt więcej – jeden z tych młodych durniów, którzy dali się opętać starym cwaniakom i ich pieniądzom. Którzy nic nie wiedzieli o świecie, nie dostali porządnie w dupę od życia i którym o nic nie chodziło, poza tym, aby bezmyślnie zniszczyć państwo, któremu zawdzięczali chleb i edukację, państwo, które przed Siwawym i setkom tysięcy podobnych mu ludzi ze społecznych nizin otworzyło perspektywy nieograniczonego awansu. No, i udało im się. Ciekawe, jak się ten gnojek teraz czuje. Ubogi nie był, to Siwawy zauważył już od razu. Nachapał się. Wszyscy oni się nachapali. Zagraniczne wyjazdy, posadka w Belwederze… Tylko robotnik biedował.

Siwawy skrzywił się, bardziej z politowaniem, niż z gniewem. Nie uważał się za głupiego człowieka i nie ulegał łatwym emocjom. Wiedział, że jego życie zwichnięte zostało nie przez takich jak ten tutaj, ale przez zdrajców. Niby liczący się towarzysze, oddani sprawie, a w duszy chciwe na pieniądze ścierwa. Ustroju nie da się rozwalić ulotkami ani broszurkami. Ustrój musi zgnić i skorumpować się od szczytu.

Nigdy nie zrozumie, jak mógł się dać tak oszukać. Bo on w tych ludzi wierzył. Wierzył, że jak wrócą do władzy, to ukrócą panoszenie się w kraju klechów i dorobkiewiczów. Potem wierzył, że potrzebują na to czasu. Pracował dla nich z całego serca.

W podziękowaniu znalazł się w piątym biurze Wydziału, zwanym Analizą.

– Z waszym doświadczeniem szkoda, żebyście się uganiali po mieście, od tego są młodsi – powiedział mu Żyła. – Odrywanie kogoś takiego jak wy od pracy koncepcyjnej byłoby trwonieniem naszych zasobów kadrowych.

Biuro zajmować się miało opracowywaniem materiałów pozyskiwanych przez inne wydziały, zwłaszcza raportów TW i protokółów przesłuchań. Skupienie tych funkcji w jednym biurze umożliwić miało lepszą koordynację pracy Wydziału, ale to była teoria. Tak naprawdę po prostu wysłano go w odstawkę. Braki kadrowe zmuszały czasem Wydział do powierzania mu od czasu do czasu nie tylko opracowywania przesłuchań, ale ich prowadzenia – inaczej zdążyłby już zapleśnieć.

Miał rok do emerytury, dobry samochód i segment pod Wilanowem, pusty, odkąd się rozwiódł. Przez długi czas sądził, że z wnuczką ułoży mu się lepiej niż z dziećmi. Ale ta, przyjąwszy od niego pieniądze na studia oraz mieszkanie, oznajmiła, że go nienawidzi i zaangażowała się w zwalczanie rasizmu.

I miał jeszcze porachunki, na których położył już kreskę.

Odnosił wrażenie, że nikt lepiej od niego nie wie, jak rozmawiać z tym pacjentem dla Lancy.

Tak, perspektywa zamknięcia InterDaty to było coś, czym Robert potrafił się przejąć. Przejmował się tym całą drogę w kierunku centrum. Pogrążony w myślach, nie zwracał nawet większej uwagi ani na korki, ani na cwaniaczków, którzy wciskali się przed niego z sąsiednich pasów, ani na wściekłe trąbienie kierowców za nim, zirytowanych, że na to pozwala.

Znalazłby się znowu w tej samej sytuacji, jak po odejściu z Kancelarii, kiedy Brzozowski wciągnął go do InterDaty.

– Stary, nie zachowuj się jak gówniarz! – wrzeszczał, gdy Robert oznajmił mu, że nie będzie pracować dla pani prezydent i jej sekretarza. – My jesteśmy fachowcami. Fachowcy robią swoją robotę i nie interesuje ich, kto jest akurat prezydentem, a kto nie. Co będziesz robić, latać z ulotkami?

I chyba najbardziej musiało Brzozowskiego irytować, że Robert nawet się z nim nie kłócił. Nie miał żadnych argumentów. Po prostu podziękował za pracę i odszedł.

Już on? Czy jeszcze Tamten?

Tak czy owak, cieszył się, kiedy potem Brzozowski odezwał się, że jest ta robota. Kim Robert byłby bez niej i bez sprzętu? Nieudanym dziennikarzem i byłym pracownikiem Kancelarii Państwa, z wyautowanej ekipy, znającym się z grubsza na komputerach. Z grubsza – bo gdyby miał teraz przesiąść się do klawiatury i poprzestawać w wędrówkach po Tamtym Świecie na goglach i sensorycznych rękawicach, musiałby się uczyć wszystkiego od nowa. Nie pamiętał, jak brzmiała więcej niż połowa komend, które przywykł wydawać jednym ruchem ręki.

Może to był Tamten. Zastanawiał się, kiedy Tamten odszedł. Jedyna odpowiedź brzmiała: wtedy, kiedy zrozumiał, że tak już być musi. Że nie ma zmiłuj. Pretensje -do Pana Boga, że tak urządził świat. Sprawy, w które Tamten tak wierzył, były już załatwione, skończone i przyklepane. Pan Bóg Polskę zmierzył, zważył i wydał wyrok.

Tak musiało być. Nie zostawało nic, tylko pogodzić się z losem. A Tamten tego nie potrafił. Więc musiał umrzeć. Rozpłynął się bez śladu, wyrzucając na brzeg życiowej stabilizacji pogodzonego z klęską kataryniarza o zmiętoszonej twarzy, na której lęgły się pierwsze zmarszczki, i o duszy przepełnionej głuchym żalem.

Tamten mógł wierzyć, że jak się zniszczy komunę, że jak Polska będzie wolna… Skrzywił się boleśnie. Napatrzył się na tę wolną Polskę. Napatrzył się jak mało kto, jako dziennikarz, facet z biura prasowego Belwederu, w końcu jako kataryniarz. Napatrzył się i wciąż nie mógł zrozumieć – co za fatum wisi nad tym nieszczęsnym krajem,

co za przekleństwo, że jeśli nawet pojawiał się tu ktoś porządny, to albo zaraz znikał nie wiedzieć gdzie, albo po fakcie okazywał zupełnie inny i tak czy owak do wyboru zostawali tylko kretyni i złodzieje, świnie i dupy wołowe, cynicy i nieudacznicy – i proszę, wybieraj, chciałeś wolności, chciałeś demokracji, no to teraz masz, możesz sobie wybrać, kogo przyjdzie ochota.

A ochota przychodziła tylko, żeby sobie w łeb strzelić. To była odpowiedź na dręczące go od rana pytanie, co stało się z jego młodością: przegrał ją. Rzucił ją do puli, zanim zrozumiał, co to za gra odbywa się wokół niego, kogo, z kim – postawił swoją młodość, bo nic innego nie miał, a dalej już było tak, jak musi być, gdy ktoś gra o zbyt wielkie dla niego stawki. Musiał, chciał czy nie chciał, dokładać coraz więcej, coraz więcej i więcej, żeby nie wypaść z gry i nie stracić wszystkiego, zanim jeszcze karty zostaną sprawdzone. I tak właśnie dokładał, dokładał, żeby nie stracić tych lat, które już wrzucił do puli, a w końcu i tak wszystko, co miał, okazało się za mało, przegrał i nawet nie wiedział, kto jakie miał karty, po prostu był za krótki – a może był zbyt poczciwą dupą, żeby tak jak Brzozowski plunąć na te lata, które teraz miały być coraz bardziej nieodżałowane, i zostać na usługach pani prezydent oraz jej sekretarza. Ot, co zrobił ze swoją młodością: zmarnował ją tak samo głupio, jak prezydent i jego towarzysze broni zmarnowali to wszystko, w co Tamten uwierzył całym swym szczeniackim sercem. Teraz pozostało tylko posłuchać podszeptów rozsądku, plunąć na wszystko i korzystać z tego, że się przynajmniej po drodze wykształcił na kataryniarza.

– Wszystko ma swój koniec – powiedział na głos. Polska, w która tak wierzył Tamten, właśnie do niego doszła. On, który widział Strefy, już o tym wiedział.

I cóż mógł zrobić? Cóż mógł poradzić?

Nie umiał nawet odpowiedzieć na pytanie Wiktorii.

I nie potrafił przestać o tym myśleć.

*

Po sprawdzeniu numerów z Prezesa najwyraźniej uszło powietrze i zaczął rzeczowo oraz wyczerpująco odpowiadać na pytania Gumy. Od tego momentu rozmowa trwała około dwudziestu minut.

– Jak pan nawiązał kontakt z konsorcjum Travruss? Z czyjej inicjatywy doszło do kontaktu? Proszę opisać okoliczności zlecenia InterDacie przez to konsorcjum analizy rynków farmaceutycznych Unii oraz państw aspirujących?

Każde kolejne pytanie było bardziej konkretne. Wszystkie krążyły wokół dokonywanych przez spółkę badań marketingowych. Inne wątki działalności InterDaty zdawały się na razie Gumy nie interesować.

Prezes wyglądał na coraz bardziej zrezygnowanego. Podał bez oporu wszystkie kody dostępu, umożliwiające przeszukanie archiwów jego spółek, jednak na wiele z zadawanych pytań nie znał odpowiedzi.

– Czy mógłbym wiedzieć – zdobył się wreszcie na odwagę – o co jestem oskarżony?

– Działalność na szkodę państwa – wyjaśnił spokojnie Guma.

– Ale to przecież taki kruczek, żebym nie mógł zapłacić kaucji. Niech pan powie – Prezes był zrezygnowany -na kogo szukacie haka. Pan zna moje interesy, wie z kim co robię. Więc który się zrobił trefny? Niech ja wiem.

Guma wcisnął coś i chwilę później stojąca na jego biurku drukarka wypluła z sykiem kolorowe zdjęcie. Guma podał je Prezesowi.

– Tak, znam go. To jest… zaraz, zaraz, mój Boże… Awłuchin? Chyba, w każdym razie Siergiej Stiepanowicz. Z Niżnego Nowgorodu. Dyrektor tamtejszego zjednoczenia przemysłu chemicznego. Spotkaliśmy się podczas mojej ostatniej podróży w Pekinie.

– I co dalej?

– Proponował… pewne wspólne interesy. Wyjaśniłem, że nie mogę podjąć żadnych decyzji bez konsultacji z moimi wspólnikami, ale nie wyrazili oni zainteresowania.

– Kto, konkretnie?

– Nie mogę tego teraz powiedzieć – odparł Prezes. Zabrzmiało to przekonująco i Guma wiedział, że Prezes naprawdę tego nie powie, w każdym razie nie w takiej rozmowie.

– A kontrahenci?

– No, tak, nasi stali kontrahenci z Travrussu bardzo nam odradzali kontakty z tymi… Ze Zjednoczeniem z Niżnego Nowgorodu. To także miało istotny wpływ na odmowną decyzję.

– Jakiego typu interesy panu proponował człowiek, którego poznał pan jako Awłuchina?

– Naprawdę… To była przypadkowa rozmowa. Pan rozumie, ja się nie zajmuję takimi sprawami. Prowadzę handel z Dalekim Wschodem, tekstylia i żywność…

– I parafarmaceutyki – uzupełnił Guma.

– Taak… Farmaceutyki też. To jest, chciałem zwrócić pańską uwagę, dziedzina objęta programem rządowym…

Guma pokiwał głową.

– W jakim języku rozmawiał z panem ten… Awłuchin?

– Po polsku – przypomniał sobie Prezes z miną a-wie-pan-

rzeczywiście. – Nawet byłem zdziwiony. Mówił po polsku jak rodowity Polak.

– Skąd pan wie, że to nie był rodowity Polak?

– No… Właściwie, pewności nie mam, prawda…

Do końca rozmowy nawet nie padła w niej nazwa InterDaty. W końcu, pół godziny później Guma podziękował za złożone zeznania i wcisnąwszy przycisk interkomu, rzucił krótko: "Wyprowadzić". Zanim za Prezesem i konwojującym go funkcjonariuszem zamknęły się drzwi, do gabinetu weszła sekretarka po cartridge z nagraniem rozmowy. Przez kilkadziesiąt najbliższych minut zajęta była wpisywaniem jej roboczej wersji. Po poprawkach i akceptacji Gumy zapis ten miał nabrać rangi dokumentu wewnętrznego i trafić do banków pamięci Piramidy. Ponieważ była to tylko notatka służbowa, a nie formalne przesłuchanie – planowane dopiero na następny dzień, przy udziale prokuratora – nie była wymagana akceptacja zapisu przez Prezesa.

Odczekawszy chwilę po wyjściu sekretarki Guma sięgnął do telefonu. Telefon Gumy podłączony był do czterech linii. Trzy z nich należały do centrali Firmy. Czwarta łączyła Gumę z szyfrowanym systemem łączności obejmującym kilka tysięcy numerów na terenie całego kraju.

Prezes wcisnął tę czwartą linię i wystukał numer. Czekał tylko chwilę.

– Waldi? Guma mówi. Słuchaj, mam tu sprawę… Ktoś robi zdrowo koło tyłka Budyniowi.

– To sprawdź. Sprawa Obiektowa na spółkę InterData, w Operacyjnym ma kryptonim Kuromaku… Co? Pojęcia nie mam. Jest trop na parafarmaceutyki…

– Nie, w aktach jeszcze nic nie ma. Ale w końcu ktoś skojarzy. Trudno nie będzie.

– Słuchaj, odwlekłem formalne przesłuchanie do jutra i więcej nie dam rady. Chyba że zdołasz jakoś namówić tych z prokuratury.

– Niemożliwe. Nie, stary, ja też was zawsze lubiłem, ale nie mam żadnej pewności, czy to nie wyszło od Dumorieza. A tamtym dupy nadstawiał nie będę.

– Jak będę miał pewność, że mogę, to proszę bardzo. Ale tak, palcem nie kiwnę. Palcem nie kiwnę, Waldi. Sorry, nie da rady.

– Już dość się odwdzięczyłem, że cię ostrzegam. Znajdziesz mi jakieś konkretne informacje, to się zobaczy. Pogoń tego swojego kataryniarza, jak mu tam… Właśnie wyszedł? Wszyscy ci chałturzą, powiadasz? No, niezły masz tam burdel w tej swojej kancelarii. Twoja broszka, Waldi, ale na twoim miejscu uprzedziłbym Budynia.

Guma odłożył słuchawkę telefonu.

Potem przez dobrą chwilę bawił się w zamyśleniu ołowianym landsknechtem, którego używał jako przycisku do papierów.

*

Oczywiście, mógł wtedy ograniczyć się do dostarczenia inwestorowi ogólnodostępnych danych syntetycznych. Ale w umowie stało wyraźnie, że zależy im na szczegółowej lokalizacji inwestycji, zwłaszcza tych wspieranych przez organizacje międzynarodowe lub pozostających pod ich patronatem. Poczuł się zobligowany dbać o markę firmy i swoją własną przy okazji.

Nie znajdując potrzebnych danych w bankach pamięci, postanowił zgromadzić je samemu. Najpierw poszperał w rejestrach sądów rejonowych, wybierając z nich wszelkie akty zawarcia spółek z udziałem kapitału zagranicznego, w hipotekach, w urzędach gminnych, potem wyszedł do sieci krajów ewentualnych inwestorów i na parę długich dni ugrzązł w ich bankach, wydobywając interesujące go sprawy ze struktury i zabezpieczeń udzielanych kredytów, a gdzie mógł, starał się te dane weryfikować u źródła. Dawno przekroczyło to potrzeby przygotowywanego przezeń raportu, więc robił to coraz bardziej na własną rękę, przesiadując w robocie po godzinach lub korzystając z czasu zaoszczędzonego przy realizacji prostszych zleceń. Pamiętał każdy szczegół. Stał w obramowaniu chwilowo zdezaktywowanej Studni, jak w szklanej windzie, pośród pejzażu Archiwum Akt Nowych, ze spokojną, sympatyczną melodią w uszach.

Przerzucając hipertekstem archiwa wojewódzkie trafił na kilka decyzji lokalizacyjnych, wydanych na spółki Banku Europejskiego inwestujące w sieć energetyczną. Do każdej z nich podwiązane było stosowne zezwolenie Państwowych Sieci Energetycznych. Jak tylko sobie to uświadomił, wylogował się z sieci administracyjnej i zaczął szukać wejścia do PSE.

SysOp GOV-u poinformował go, że ta część sieci ma charakter roboczy. Nie nalegał. Nabrał już doświadczenia z GOV-em i z panującą w rządowej sieci obsesją zapytań, monitów i notatek służbowych, przerzucanych pomiędzy nazbyt wyspecjalizowanymi, niezliczonymi ministerstwami, biurami, agencjami i rzecznikami praw.

Wszedł do ogólnodostępnej sieci Ministerstwa Energetyki, stamtąd do archiwum. Wizualizowało się banalnie, bibliotecznymi szufladami, pełnymi kart. Odnalazł program zarządzający backupem i kazał mu wydobyć do osobnego katalogu wszystkie dane o duplikatach dokumentów, których archiwizowanie sygnalizowano Ministerstwu Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Jeszcze jedno przesortowanie i miał w ręku to, czego szukał.

Nie wiedzieć skąd przyszedł mu do głowy pomysł, aby dla potrzeb researchu przygotować wizualne przedstawienie wyniku. Stojąc w tandetnym pejzażu ministerialnego archiwum, wyciągnął rękę i otworzył lewą ścianę na środowisko podręcznego programu graficznego w jednym z serwerów InterDaty. Sięgnął przed siebie i połączył palce prawej dłoni. W miejscu, gdzie to uczynił, pojawił się rosnący z każdą chwilą prostokątny panel. Rozwarł palce i panel zatrzymał się na wielkości szuflady. Odsunął go nieco na bok, potem sięgnął lewą ręką do następnego sterownika, prawą umieszczając jej panel poniżej pierwszego. Z sieci publicznej ściągnął prostą mapę Polski, dla uczniów i kierowców. Bez większego problemu przystosował konwerter i zatrudnił wywołany z serwerów Fortecy program do przetwarzania danych z rządowego archiwum. Kiedy mapa pojawiła się przed nim po raz pierwszy, było na niej jeszcze bardzo niewiele szczegółów. Ale i to wystarczyło, by dostrzec, jak wyraźnie układają się one w dwa obszary. Potem narzucił na nią wydobyte z ogólnodostępnej części lokalnej sieci warszawskiego przedstawicielstwa Wspólnot sprawozdanie o finansowanej przez Unię i jej agendy rozbudowie polskiej sieci telekomunikacyjnej i wtedy granica pomiędzy obszarami ułożyła się w linię tak znajomą, że Robert nawet nie musiał się długo zastanawiać, skąd zna ten kształt. Była to północnozachodnia granica dawnego Królestwa Kongresowego, na południu poprowadzona pomiędzy Małopolską a Śląskiem. Miał potem długo ściągać dane z coraz to kolejnych dziedzin, coraz bardziej odległych od pierwotnego zamówienia, w nadziei, że zaprzeczą temu, co zobaczył w pierwszej chwili.

Ale nic temu nie zaprzeczało. Przeciwnie.

Nie tylko sieci energetyczne i telekomunikacyjne rozpadały się na dwa osobne obszary, połączone tylko kilkoma węzłami i magistralami przesyłowymi. Żaden majątek trwały należący do zachodnich firm, żadna europejska inwestycja nie leżała na wschód od rozdzielających je linii. I odwrotnie – nic, w czym był choć promil kapitału lub jakikolwiek aport z Imperium Wszechrosji nie znajdowało się na zachód od niej. Dwie doskonale rozgraniczone, nie zachodzące na siebie w najmniejszym nawet stopniu strefy. Gdy sięgnął do archiwów, przekonał się dodatkowo, że w ciągu ostatnich sześciu lat dokonano wielu transakcji, w których zachodnie firmy zbywały na rzecz wschodnich swoje mienie znajdujące się na obszarze dawnej Kongresówki lub Galicji i odwrotnie kapitał krajowy odsprzedawał wszystko, co leżało w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu.

Wśród inwestycji istniał tylko jeden wyjątek – stanowiły go drogi, mosty i linie kolejowe, a także kilka głównych infostrad, których budowę Zachód finansował chętnie także na wschodzie i południu.

Było to wszystko jakimś złym snem, rzeczą po prostu niemożliwą,

niewiarygodną zwłaszcza dla kataryniarza. Kto jak kto, ale on wiedział doskonale, że pewnych informacji nie można ukryć. Że po prostu nie mogła zostać zawarta żadna tajna umowa między Wspólnotami a Imperium Wszechrosji regulująca podział stref inwestycji, gdyż taka umowa, zakładając nawet, że byliby chętni do jej podpisania, wymagałaby tylu szczegółowych poleceń wydanych do poszczególnych agend i indywidualnych inwestorów, iż już następnego dnia znany byłby każdy jej szczegół. Zresztą gdyby nawet taką umowę zawarto i utrzymano w tajemnicy, to Wspólnoty nie miały fizycznej możliwości narzucenia jej rządom poszczególnych europejskich państw, a te z kolei nie byłyby w stanie w żaden sposób wyegzekwować jej przestrzegania od swoich firm. Boże mój, przypomniał sobie z czasów swego dziennikarzenia, jak beznadziejne były wszelkie próby nakładania międzynarodowego embarga na jakiś kraj czy zakazy eksportowania tu albo tam zaawansowanej technologii lub materiałów wojennych, jak dziurawe były sieci, którymi rządy usiłowały powstrzymywać przed włażeniem na zakazany teren ślepe cielska koncernów, pchane jedynym znanym im tropizmem – do dobrego interesu. To było po prostu absurdalne, niemożliwe, szaleńcze, mogło zostać wymyślone jedynie przez jakiegoś odrealnionego obsesjonata.

Ale to było. Nie rozumiał, nie potrafił wyjaśnić – ale widział na własne oczy. To było prawdą.

Po dwóch tygodniach uszczegółowiania swojej mapy, wciąż w nadziei, że znajdzie coś, co uczyni całą sprawę pomyłką, wpadł na pomysł, aby rozciągnąć ją dalej, poza granice Polski.

Linia oddzielająca obie strefy, jak się okazało, miała dalszy ciąg. Na północy odcinała republiki bałtyckie, na południu Czechy, Słowenię i Chorwację. Jakby w zamian za to na Bałkanach wspólnoty budowały wielokrotnie więcej niż gdzie indziej autostrad, mostów, lotnisk i linii kolejowych. W pierwszej chwili wydawało się to jedynie pewną tendencją, ale gdy pozostawił na mapie tylko dane z owych ostatnich sześciu lat, kiedy to rozpoczęła się wymiana nieruchomości, obraz stał się nagle klarowny i wyrazisty. Zupełnie nie mógł tego zrozumieć. Inwestowanie w budowę przelotowych dróg pomiędzy Europą a Rosją mogło mieć swoje uzasadnienie ekonomiczne, ale jaki był sens kredytowania znacznie gęstszej sieci autostrad w słabo rozwiniętych i często niestabilnych politycznie krajach bałkańskich, gdzie trudno było żywić nadzieję na ożywioną wymianę towarową czy osobową albo na tranzyt? W dodatku wszystkie one układały się poprzecznie do półwyspu, jak odległe fragmenty współśrodkowych okręgów, z centrum gdzieś w okolicach Damaszku.

A jeżeli nawet był w tym jakiś możliwy zysk, to kto oraz w jaki sposób mógł go uświadomić tak rozmaitym i nic nie mającym ze sobą

wspólnego inwestorom, jak ci, których znajdował w rejestrach rozbudowy bałkańskiej infrastruktury komunikacyjnej?

Przez biuletyn architektów w węgierskiej sieci akademickiej dotarł do dokumentacji kilku spośród budowanych tam autostrad. W wielu miejscach przy budowie wcale nie kierowano się kryteriami funkcjonalności i opłacalności. Budowano długie proste odcinki tam, gdzie ukształtowanie terenu narzucało raczej łuki, niwelowano wzniesienia zbyt łagodne, by przeszkadzały w jeździe, a już zupełnym szaleństwem wydawała się nawierzchnia, znacznie twardsza niż to było niezbędne, zwłaszcza na owych sztucznie uzyskanych liniach prostych.

Jedynym, co mogło wyjaśnić te dodatkowe nakłady, było założenie, że projektodawcy z góry przygotowywali tworzoną infrastrukturę komunikacyjną do celów militarnych. Utwardzona nawierzchnia czyniła autostrady zdatnymi do przerzutu czołgów, a częste proste odcinki wydawały się być przystosowywane do wykorzystywania w charakterze polowych lotnisk.

Pasowało to do tego, co działo się bardziej na północ, gdzie inwestowano głównie w przemysł. Strefa bezpośrednich walk i zaplecze. To samo powtarzało się z niemożliwą symetrią po wschodniej stronie linii: na południu rozbudowa sieci komunikacyjnej, na północy przemysłu. Wyglądało to po prostu jak planowe, rozważne przygotowywanie teatru działań wojennych, jakiegoś ogromnego pola pod starcie potęg. A może cywilizacji.

Nie było nikogo, kto mógłby z takim rozmachem dzielić i zagospodarowywać mapę, obejmującą wszak różne kraje i różne organizmy polityczne. Dlatego zdobytą wiedzę pozostawiał wyłącznie do swojej wiadomości, zapisując ją w zakodowanym na swój osobisty użytek pliku. Ale, z drugiej strony, to było, a Robert nie należał do ludzi, którzy potrafią nie przyjmować faktów do wiadomości tylko dlatego, że przeczą całej ich wiedzy.

Poczuł się tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedł do sieci i zobaczył, że może wyszukiwać w niej pliki, czytać je, przeszukiwać katalogi i przeglądać gry. To był ten niezwykły stan, kiedy człowiek spoglądając na zegar, pokazujący, że już wieczór, tłumi w sobie słaby przebłysk rozsądku szczeniackim,jeszcze chwilka” – a kiedy przypomni sobie o zegarze następny raz, już jest na nim czwarta rano. Nie mógł się oderwać od roboty, zagryzając przy niej wargi, cały przejęty, rozwibrowany wewnętrznie, jak Tamten Robert. A kiedy wreszcie wyzwalał się z objęć Tamtego Świata i wracał do domu, był wypruty z sił, wypalony, ledwie żywy, i w tym stanie dopadały go czarne myśli, wgryzając się weń ze wszystkich stron jak robaki w padlinę.

Pamiętał – właśnie wtedy, na początku, na długo jeszcze, zanim

przyszło mu do głowy sięgnąć po dane spoza granic kraju, siedział zmordowany w kuchni, oparty o boazerię i myślał o Polsce przeciętej granicą Stref, tej Polsce, której Tamten Robert gotów był poświęcić wszystko, co miał.

Może to właśnie wtedy po raz pierwszy z taką jaskrawością uświadomił sobie, że wszystko jest już rozstrzygnięte, zakończone i przyklepane. Rien ne va plus. Chcesz, krzycz, bij głową w ścianę, biegaj po ulicach, zwołuj ludzi, ale już nic nie zmienisz. Wszystko zostało przetańcowane, przepuszczone przez palce, przefrymarczone na partyjnym targu i po prostu poszło w diabły, nie warto wspominać. Narody, które nie potrafią wykorzystywać dziejowych szans, nie zasługują na przetrwanie. Naturalna selekcja. Na mapie znów pojawiły się linie cywilizacyjnych napięć i naprężeń, antrakt się skończył, gra ruszyła dalej i nikt nie zamierzał czekać, czy w kraju nad Wisłą może przypadkiem zdarzy się cud i jego mieszkańcy wezmą w niej udział. Polska wygniła i wypróchniała, teraz przyszło tylko już czekać na chwilę, gdy ktoś mocniej popuka w mapę i całe to próchno wysypie się z niej, zwalniając innym niszę do zapełnienia. Na chwilę, która mogła nastąpić za rok albo za dziesięć, albo za trzydzieści lat, to zależało od innych spraw – ale już było pewne, że nastąpi.

Czy to możliwe, gryzł się wtedy, bezsilny, pogrążony w najczarniejszej nocy, że jesteśmy tacy właśnie, jak nas stale malują w telewizji – ciemni i durni z natury, niezdolni żyć samodzielnie, niezdolni sami sobą rządzić, potrafiący jedynie prześladować Żydów? Czy naprawdę nic w nas nie ma, nic już nie pozostało godności, uczciwości, rozumu, czy dla Polaka już nie ma innej drogi wejścia w świat niż denuncjowanie polskiego antysemityzmu, niż bicie się w piersi i krzyk: tak, jesteśmy głupi, brudni, pijani, jesteśmy fanatykami i szowinistami, zawsze prześladowaliśmy Żydów, to my paliliśmy ich na stosach, zamykaliśmy w gettach, dokonywaliśmy pogromów, a w końcu gazowaliśmy ich w naszych obozach koncentracyjnych – tak, jesteśmy zakałą świata, urządziliśmy tu sobie taki chlew, że już sami nie potrafimy w nim wytrzymać, a teraz przyjdźcie tu do nas, weźcie nas za pysk i zróbcie z nas ludzi?! I tylko wtedy wezmą cię pod ramię, podniosą i powiedzą: o, ten się nadaje?

Wierzył rozpaczliwie, że to nieprawda. Cokolwiek by w dzień po dniu wbijano do zamulonych głów Przeżuwaczy, Robert pamiętał książki, wciskane mu przez Ojca i jego słowa, że w starych dziejach więcej jest powodów do chwały niż do wstydu. Wierzył, że ludzie nie są tu inni niż w całej Europie i nie zachowują się, z grubsza biorąc, inaczej niż Francuzi, Belgowie czy Hiszpanie. Musiało się wśród nich uchować jeszcze choć trochę uczciwych i mądrych. Więc dlaczego? Co się działo, na litość boską, co to za fatum wisiało nad tą nieszczęsną krainą, co to za upiór wpił się w jej szyję, że z każdej rzeczy, od

najdrobniejszej począwszy, robił się absurd, że nonsens narastał na nonsensie, a wszystko wciąż i nieodmiennie trafiało w ręce jeśli nie złodziei i łajdaków, to zaślepionych swoimi malutkimi gierkami gnojków albo ostatnich wołowych dup?! Jak, dlaczego, przez co, Chryste Panie, co się z nami dzieje, powtarzał, tknięty jakimś atakiem szaleństwa, łapał się za głowę i miał ochotę krzyczeć – ale nawet by nie mógł, porażony jakimś straszliwym bezwładem i tą przygnębiającą świadomością, że choć inni jeszcze o tym nie wiedzą, już jest po wszystkim, już się skończyło i wała, Polaczki, już po was, było się orientować, póki był na to czas, a teraz jazda.

I tak go wtedy znalazła Wiktoria, chyba w pierwszej chwili myślała, że jest pijany – ale on ocknął się pod jej dotykiem, już pogodzony z losem i zrezygnowany powlókł jak automat do łazienki.

Potem rozmawiali do późnej nocy i wtedy właśnie Wiktoria zadała mu sennym głosem to pytanie, które sprawiło, że zgasło w nim wszystko i pozostał tylko tępy, bolesny żal.

*

– Nie chciałabym przeszkadzać, panie dyrektorze, ale…

– Ależ co też pani, pani Aniu! Ja zawsze jestem do pani dyspozycji! Co się stało, słyszę, pani jest zaniepokojona?

W ustach dyrektora brzmiało to mniej więcej: “Alesz zo bani, jasafsze…”, ale – jak większość ludzi w wydawnictwie – zdążyła się przyzwyczaić do jego wymowy i rozumiała ją dość dobrze.

– Nie niepokoiłabym pana, gdyby ktoś inny mógł mi wyjaśnić sprawę, ale w konserwacji powiedzieli, że nie mają wpływu…

– Tak, pani mówi, co jest problem?

– Hm, proszono mnie dzisiaj, żebym, z uwagi na to spiętrzenie spraw, pomogła dziewczynom z naprzeciwka… To znaczy, z działu ogólnego. Mówiły, że pan to zaakceptował…

– Tak, pani Aniu. Prosiłbym panią o tę drobną przysługę ja sam, ale tyle zajęć…

– Tak, tak. Chodzi mi o to, że ten tekst, który od nich dostałam, zniknął.

Chwila ciszy.

– On zniknął? Ja dobrze zrozumiałem?

– Tak. Kończyłam go opracowywać, kiedy po prostu zniknął z ekranu i pojawił się taki komunikat, po niemiecku, że plik został wycofany przez administratora sieci. Najpierw myślałam, że to jakaś awaria komputera, ale w serwisie powiedzieli…

– Rozumiem – oznajmił dyrektor niepewnie. – No cóż, ja chyba nigdy o podobnym przypadku nie słyszałem…

– No właśnie, panie dyrektorze. Nie wiem, co teraz…

– Czy pani pamięta jego kod? Ja zaraz każę mojej sekretarce to sprawdzić. Niech pani trochę czeka.

Podała kod pliku. W telefonie rozległa się natrętna, irytująca swą jednostajnością pozytywka. Przerzuciła ją na zewnętrzny głośnik i czekała.

Głupia melodyjka musiała być przygotowana przez najtęższych specjalistów od wpływu dźwięków na ludzkie samopoczucie. Wystawiony na jej działanie człowiek po paru minutach stwierdzał nagle, że ma ochotę chwycić kogoś za gardło i udusić.

Wyciągnęła się na fotelu, machinalnie poprawiając spódnicę, wciąż sama w gabinecie grupy. Pozytywka umilkła.

– Pani Anno? Nachyliła się do komputera.

– Tak, jestem.

– Rzeczywiście, mi bardzo jest przykro. Ten artykuł został dzisiaj wycofany przez Frankfurt, po prostu było jakieś niedopatrzenie, on nie powinien pójść.

– Tak?

– Nie nadawał się. Jakieś wyssane z palca plotki, nie potwierdzone, szanująca firma nie może takich publikować. Rozumie pani, pani Aniu…

– Tak, rozumiem – powiedziała niepewnie. Teraz dopiero nic nie rozumiała. Brzmiało to tak, jakby właściciel sex-shopu oznajmił dumnie, że nie będzie handlował sprośnymi obrazkami.

– No, bardzo mi przykro, pani Aniu, ale tak bywa. Czasem się zrobi coś na darmo, niestety, nie sposób tego ustrzec.

– Tak, oczywiście, po prostu byłam ciekawa.

– Gdyby jeszcze kiedyś pani była czegoś ciekawa, proszę się nie krępować – wyczuła w głosie Wolfganga przekąs. – Ale teraz ja przepraszam bardzo, obowiązki, miłego dnia, pani Aniu…

– Tak, dziękuję… Do widzenia.

Wcisnęła na klawiaturze przycisk rozłączenia.

Powinna zabrać się do następnych tekstów, ale jakoś nie mogła pogodzić się z nieporządkiem, jaki ta głupia sprawa wprowadziła do jej dnia.

Pogrążony w myślach Robert nie zwrócił nawet uwagi na wielką, czarną limuzynę, która minęła go z przeciwnej strony, kiedy skręcał z Dolinki Służewieckiej w Puławską, w kierunku miasta. Na jej tylnym siedzeniu ksiądz Skarżyński czytał w gazecie wywiad ze Szczepanem Mirkiem, Literatem, zatytułowany: “Wreszcie pochować narodowe upiory”. Prawdę mówiąc, nie tyle czytał, co przemykał wzrokiem po początkach zdań. Każdy, kto zamulał sobie głowę w miarę regularną

lekturą gazet, doskonale wiedział, co Szczepan Mirek, Literat, może mieć do powiedzenia.

Ksiądz zaciął w końcu z niechęcią usta, zwinął gazetę w rulon i zatknął ją w kieszeni drzwiczek wozu. Jechał na swą cotygodniową konferencję w ośrodku dla repatriantów na Kabatach, jednym z kilku rozsianych po przedmieściach Warszawy. Ksiądz Skarżyński nie musiał wygłaszać tam kazań ani wysłuchiwać repatrianckich spowiedzi, w zupełności wystarczyłby do tego pierwszy lepszy diakon, a nie kapłan cieszący się reputacją jednego z najlepszych kaznodziejów, wygłaszający homilie do posłów i dostojników państwowych, którego wystąpienia w katolickich okienkach w telewizji podnosiły ich oglądalność o połowę, a kazania wygłaszane podczas patriotyczno-związkowych ceremonii potrafiły podgrzać nastroje do tego stopnia, że sam prymas osobiście zmuszony był wyrazić swoje niezadowolenie z łączenia jego osoby z ulicznymi ekscesami i poprosić zdolnego kaznodzieję o powstrzymanie się od udziału we wszelkich uroczystościach mających jednoznaczny kontekst polityczny.

Ale ksiądz Skarżyński sam chciał tych spotkań z repatriantami, prosił o nie dość natarczywie. Teraz, w kilka miesięcy po otrzymaniu zgody musiał przed samym sobą przyznać się do zawodu.

Istniało zasadnicze podobieństwo pomiędzy stanem ducha księdza Skarżyńskiego a stanem ducha Roberta, z którym nie wiedząc o sobie minęli się przed chwilą na Puławskiej przy zjeździe na Ursynów. Kaznodzieja, tak samo jak on, myślał o Polsce. I tak samo jak Roberta gnębiło go uczucie jakiegoś trudnego do sprecyzowania niespełnienia, rozejścia się tego, w co kiedyś głęboko wierzył, że będzie, z tym, co było w istocie. Tyle tylko, że w jego wypadku nie kryło się to pod tęsknotą za z każdym rokiem coraz bardziej nieodżałowaną młodością. Za młodością, spędzoną w dyscyplinie seminarium i bibliotecznym kurzu, nie miał powodu tęsknić bardziej niż za jakąkolwiek inną częścią swojego życiorysu.

Nie znajdował jednego, krótkiego słowa na nazwanie przyczyny swego rozgoryczenia. Akustycy ustawiający koncerty rockowe powiedzieliby na to: brak odsłuchu, ale ksiądz Skarżyński nie znał takiego pojęcia. Przemawiając do rybich ślepi kamer nie umiał opędzić się od podsuwanej przez wyobraźnię wizji swych słuchaczy – napchanych niedzielnym obiadem, z poluzowanymi paskami, papierosami w dłoniach, wymieniających uwagi o polityce, sporcie i woreczkach żółciowych, zagłuszających jego okresy retoryczne drobnymi, codziennymi sprzeczkami o dziurę w obrusie lub niepotrzebny zdaniem pana domu wydatek. Przemawiając do posłów i intelektualistów łapał się na upartym świdrowaniu wzrokiem ich twarzy. Nieruchome, z przyklejonym wyrazem znudzonej pobożności, przypominały mu maski. Próbował chwytać ich spojrzenia, ale nie

udawało mu się to. Nie było czego chwytać. Oczy słuchaczy pozostawały puste, szkliste, jakby czasowo wygaszone. Nie potrafił ich rozpalić, choć używał do tego całego kunsztu, całego daru, który tak wysoko oceniali jego przełożeni.

Obwiniał o to siebie. Starał się zmienić styl, mówić bardziej przystępnie, prościej, ale nie dało to skutku. Starał się poruszyć słuchaczy, przekazać im swoje uniesienie, swą tęsknotę za Panem – i wtedy stwierdził, że jemu samemu od pewnego czasu trudno już jest to uniesienie w sobie skrzesać, przytłumiło je znużenie, rutyna. Właśnie dlatego potrzebował kontaktu z prostymi ludźmi, którzy mogliby go zarazić entuzjazmem. Właśnie dlatego tak uporczywie starał się o konferencje w którymś z ośrodków dla repatriantów.

Mylił się całkowicie. Już choćby samo tempo, w jakim repatrianci przepływali przez ośrodki, popędzani nie wygasającą paniką, że kto się teraz nie zdąży załapać, pozostanie tam już na zawsze – już choćby samo to musiało jego konferencje zamienić w rutynę. Ledwie ksiądz Skarżyński zdążył powitać przybyszów w kraju przodków i przypomnieć im podstawowe prawdy wiary, już musiał zaczynać od początku, bo tym, do których zwracał się przed tygodniem, obsługa zdążyła wydać w przyspieszonym tempie papiery i wypchnąć ich, zwalniając miejsce dla następnych. Na jego pytania, jak w tych warunkach ośrodki mają spełniać swe zadanie, którym było łagodne wprowadzenie repatriantów w obcy im świat, ludzie z obsługi odpowiadali pełnym irytacji posapywaniem, pokazując mu fury napływających każdego dnia zgłoszeń i powtarzając przywiezioną gdzieś z Kazachstanu pogłoskę, że kto się i tym razem nie załapie, pozostanie tam już na zawsze.

Nie mógł odmówić im racji. Program repatriacji przypominał cud, doszedł do skutku nagle, dzięki nieoczekiwanemu poparciu politycznemu i finansowemu Unii Europejskiej i jeszcze bardziej nieoczekiwanej ustępliwości Wszechrosji. A poparcie Unii, wiadomo – dziś płacą, a jutro zamkną kasę równie nagle, jak ją otworzyli, o rosyjskiej zgodzie nie mówiąc. Nie można się było dziwić ludzkiej nerwowości.

Więc zaczynał, chcąc nie chcąc, od początku, a gdy wracał za tydzień, okazywało się, że i ci dostali już papiery, repatrianckie kredyty na dzierżawy ziemi, zebrali tobołki ze swym dotychczasowym życiem i pojechali gdzieś na opustoszałe ziemie ściany wschodniej lub do zbankrutowanych PGR-ów na zachodzie. Musieli jechać, obsługa wręcz wypychała ich z ośrodka, bo konsulaty polskie w całym Imperium Wszechrosji dławiły się lawiną wciąż nowych podań, a w kraju ziemi do osadzania było dość, leżała odłogiem. Starzy umierali, a młodych nie było, młodzi uciekali do miast, a z miast, kto żyw i kto miał możliwość jakkolwiek się tam zahaczyć, uciekał do

pustoszejących wschodnich landów niemieckich, a stamtąd, jeżeli mu się powiodło, na Zachód, do prawdziwego życia i luksusu.

Ci nowi, których ksiądz Skarżyński witał co tydzień w ośrodku, na pozór niczym się nie różnili od poprzedników. Mieli tak samo poszarzałe twarze, takie same oczy ludzi, którzy wyrwali się z piekła i boją się zanadto uwierzyć we własne szczęście, mówili tą samą mieszaniną archaicznej, dawno już w kraju zapomnianej polszczyzny, rosyjskich przekleństw, kresowych zaśpiewów i komunistycznej nowomowy. Tak samo pokornie chylili głowy przed krzyżem na księżowskiej piersi, choć nie bardzo wiedzieli, jaka to moc zawarła się w jego rozpostartych ramionach, i tak samo gorliwie chcieli czcić polskiego Boga, jakikolwiek by on był. Słuchali księdza jak kolejnego agitatora, jakby zaliczali kolejny wiec, starając się nie rzucać mu w oczy, nie otwierać ust i nie dać po sobie niczego poznać.

Ksiądz Skarżyński mówił im o Bogu i jego miłości, a oni trwożliwe uciekali przed jego spojrzeniem, czując, jak usilnie stara im się zajrzeć w oczy, przewiercić każdego wzrokiem do głębi, jakby jeszcze tu potrafił wypatrzyć kogoś, kto wcale nie był żadnym Polakiem, kto nie miał papierów w porządku, i odesłać go z powrotem. Nie, zupełnie nie byli takimi słuchaczami, jakich sobie wyobrażał -całującymi ziemię przodków, ufnymi, czekającymi na przyjęcie słów, których im dotąd słuchać zabraniano. Słuchali go tylko w milczeniu aż oślizłym od chęci zamanifestowania zgody i poddania, a potem ruszali na swoje wieczyste dzierżawy. Zagnieżdżali się w rozszabrowanych ruinach po poprzednich gospodarzach, wystarczająco dobrych jak na ich wymagania, zasłaniali okna dyktą, chodzili gorliwie na niedzielne msze i gnoili w szopach otrzymane na zasiew zboże, nie zdążając obdarować nim ziemi podczas ośmiu godzin pracy, zwłaszcza że żaden brygadzista nie siedział na karku. Tylko młodzi urządzali sobie jako tako życie, idąc do miasta na zbirów do ściągania rekietu. I – nie tylko ksiądz Skarżyński się przeliczył – nie tworzyli żadnego ożywienia, bo nie potrzebowali wcale niczego ponad rzeczy najniezbędniejsze, wiedząc wpajanym od dziesięcioleci instynktem, że i tak prędzej czy później zostałoby im to zabrane.

Ale mimo to trzeba było przyjmować do ośrodków przejściowych coraz to nowych, bo raz, że jakkolwiek lewe bywały czasem ich papiery, wracali do Ojczyzny, a dwa, że nawet mimo tych zastrzyków krwi ze Wschodu przyrost naturalny był od dawna ujemny. Potrzeba było nie jednej czy dziesięciu konferencji, nawet nie stu, myślał ksiądz Skarżyński, potrzeba było lat, pokoleń wręcz, by w tych ludziach zapłonął płomień, by przestali być dla sąsiadów haziajami, by zaczęli budować przestronne, czyste domy. Na wszystko trzeba lat, ksiądz Skarżyński nie dziwił się temu i nie miał do świata pretensji, że tak jest. Myślał tylko ponuro, że jego krajowi nigdy ten czas nie był dany,

że nigdy nie zdołał on odchować do normalnego życia przynajmniej kilku pokoleń.

Nieszczęsny kraj, dumał ksiądz Skarżyński, który wszystkie armie świata upodobały sobie do przełażenia jak przez rozgrodzone pastwisko, kraj, którym upodobali sobie handlować wszyscy politycy świata, teraz znów po raz nie wiedzieć który próbował mozolnie wydobyć gdzieś ze wsi i z małych miasteczek nową, prawdziwą elitę, godną tego miana, nie stłamszoną przez komunizm, nie przyuczoną do kradzieży, służalczości i posłusznego potakiwania, nie złajdaczoną i nie zdeprawowaną – stworzyć ją od zera, z niczego, po to, żeby i ona została mu w ten czy inny sposób odebrana. A może w tyle razy przycinanym drzewie w końcu wyczerpią się życiowe siły? A może już nie wytrzyma tego wiru, w środku którego się znalazło, tego nie notowanego od wieków ludzkiego ruchu? W tej chwili niemal widział, jak rozkładają się demograficzne napięcia na mapach, jak rosną z każdym rokiem i po raz nie wiedzieć który ksiądz Skarżyński pomyślał o Polsce jak o wielkim, zmęczonym sercu, pompującym coraz bardziej zatrutą krew ze Wschodu do wsi, ze wsi do miast, a z miast na Zachód, coraz mniej rytmicznie, coraz bardziej rozpaczliwymi rzutami – myślał o Polsce jak o sercu coraz bardziej skołatanym, z coraz większym trudem zdobywającym się na każdy następny, bolesny skurcz, wyczerpanym już do szczętu, porażonym chronicznym stanem przedzawałowym, który może mógł trwać jeszcze lata, a może jeszcze dziesiątki lat, ale skończyć się mógł tylko w jeden sposób.

Pytał o to Boga, jak ma o tym mówić, jak przekazać to ludziom, jak ich poruszyć, jak samemu otrząsnąć się z odrętwienia, z jakim coraz częściej patrzył na to wszystko, co się działo z jego krajem; pytał Boga, jak nieść tym ludziom wiarę, jak zszywać ich podziurawione dusze i poszatkowane mózgi, jakich słów użyć, do jakich uczuć sięgnąć, by obudzić w nich tęsknotę za czymś większym, wyższym, piękniejszym – ale Bóg nie odpowiadał mu inaczej, jak tylko widokiem masek o nieludzko pustych oczach, i wciąż widział te maski przed sobą, ciągle i wszędzie, nawet teraz, gdy spoglądał na przesuwające się za oknem samochodu szare bloki Natolina.

*

– Ja to takich rzeczy nie używam – uznał za stosowne wyjaśnić Syguś. – Zdrowy mężczyzna, sami wiecie panowie, jak te sprawy załatwia. Ale czasem sobie człowiek dorabia, to klienci opowiadają różne rzeczy.

Po wymianie kości rozszerzeń i pamięci stałej, kiedy zaczęło się zestrajanie sterownika, Syguś nie miał nic do roboty. To była praca dla specjalisty. Konwersował więc teraz z Wyższym i Grubszym na tematy komputerowe. Ściślej, na temat wirtualnych sex-butików. Syguś twierdził, że jego klienci polecają berliński UsheSexLand, który ostatnio otworzył polskojęzyczną ścieżkę dostępu z warszawskiej sieci miejskiej.

– A jaka to różnica – śmiał się Wyższy. – Po polsku czy nie po polsku. Jeszcze po francusku, to rozumiem… -zarechotał. Lutek siedział do nich plecami, wpatrzony w monitory swojej aparatury. Na dwóch bocznych oscylowały mżące zielenią sinusoidy, środkowy zestawiał obok siebie trzy kolumny siedmiocyfrowych liczb. Co jakiś czas udawało mu się zgodzić wszystkie trzy liczby w jednym rzędzie, na co sprzęt reagował aprobującym brzdęknięciem i usunięciem ich z ekranu.

– Iii, kochany, oni tam podobnież mają cały teatr. Panna dziedziczka ze służącym, rozumiesz, w szpitalu z pielęgniarką, w internacie… Co chcesz.

– U nas na kompanii to był taki plutonowy – odezwał się głos od drzwi – co mówił, jak piliśmy, że jego to nic nie rajcuje, tylko tak: żeby dziewczyna była z dużą dupą, w samym staniku, chodziła przed nim po pokoju i tak się tą dupą ocierała o meble.

Te słowa powiedział bysiorowaty blondyn, zwabiony najwyraźniej tematem prowadzonej rozmowy. Podkreślił wymownym gestem rozmiar postulowanego narządu do ocierania mebli. Trójka za plecami Lutka ponownie zarechotała, bysior zawtórował im tubalnie, uszczęśliwiony faktem, że zdołał czymś zaimponować towarzystwu.

– Ty, Jeti, weź to zapisz i tam wyślij. Może samochód wygrasz.

– Niby jak?

– No poważnie. Oni tam taki konkurs mają, czytałem w ogłoszeniu. Kto im wymyśli najlepszy scenariusz, znaczy, z taką komputerową panienką, to co miesiąc losują samochód. Spróbuj, na te meble to pewnie jeszcze nikt nie wpadł.

– Eee… – Jeti nie wydawał się zainteresowany karierą pisarską.

– Zresztą, co to za radocha, z komputerem. To tak jakby z fotografią.

– No, to zależy – to znowu Syguś. Musiał się pomądrzyć. – Tak na goglach i tej gumce na siusiaka, co sprzedają, to i nic. Ale tacy faceci, jak ci, co tutaj robią, to pewnie się już w ogóle normalnie nie rypią.

– No, pewnie, im to przecież idzie przez rdzeń kręgowy. Znaczy, wszystko czują jak normalnie.

– Jak to się upowszechni, dziwki pójdą na zasiłek -zauważył przytomnie Grubszy.

Przemądrzały szczeniak. Lutek był pewien, że łże -tak naprawdę

siedzi w SexNecie każdą wolną chwilę i trzepie sobie konia sterowaną elektronicznie gumową pochwą. Nie miał na to oczywiście żadnych dowodów, poza tym że gęba jego pomocnika już z daleka, uważał, zdradzała upodobanie do onanizmu.

Rzecz w tym, że prawdziwe kobiety są kłopotliwe, a te komputerowe można ustawić jednym pociągnięciem po panelu. Ale nie powiedział tego. W przeciwieństwie do Sygusia wyczuwał różnicę klasy, jaka dzieli sprzętowca, zatrudnionego na oficerskim etacie eksperckim, od byle bezpieczników.

– Tu nawet nie chodzi o taką prostą imitację zwykłych bodźców – tak, Syguś wyraźnie był w tym temacie świetnie zorientowany, jak na kogoś, kto tylko mimochodem słucha opowieści klientów. A słowo "bodźców" wymówił, jakby pochodziło z francuskiego wiersza. – Chodzi o to, że przy biosprzężeniu można osiągać efekt bezpośredniego drażnienia mózgu. Nawet ostatnio było takie śledztwo, do którego nas z Lutkiem ściągali, bo jedna duńska firma chciała coś takiego uruchomić w warszawskim węźle.

– Co?

– To się nazywa "drowser". Zwalnia rytm mózgu. Daje jakieś takie rytmiczne impulsy, że po paru minutach człowiek jest miękki, zrelaksowany i tylko się głupkowato uśmiecha. Ale zwinęliśmy im to. Konwencja zakazuje -objaśnił. – Szkodzi na łeb.

– Ty byś, Jeti, mógł się tak łechtać do oporu. Tobie tam by nie zaszkodziło, nie?

– No czego, czego? – oburzył się Jeti.

– Syguś! – zirytował się w końcu Lutek, burząc ogólną wesołość.

– Tak?

– Skocz do oficera i zamelduj mu, że ten sprzęt do zwrotu zaraz będzie gotowy. Niech powie, co z nim zrobić. I szykuj się, bo zaraz będziemy – upewnił się zerknięciem na swój notatnik – zgrywać archiwum finansowe spółki na streamer.

Poszedł. Lutek sięgnął po papierosa.

Diagnoster brzdęknął radośnie i kolejne trzy liczby, świadczące o zsynchronizowaniu trzech kolejnych sekcji drivera zniknęły z ekranu.

*

Co do gazety, którą przeglądał ksiądz Skarżyński w drodze na Kabaty, jej pierwszą stronę zdobiły dwa wybijające się tytuły. Niższy, złożony nieco mniejszą czcionką, grzmiał: "Za dużo nas!" Pod nim szła relacja z sesji rządowych specjalistów od demografii, na której

tłumaczyli oni sobie nawzajem i za pośrednictwem dziennikarzy, nie dokształconemu społeczeństwu, że kłopoty na rynku pracy, a także nierównowaga podażowo-popytowa są w prostej linii skutkiem zaniedbania w poprzednich dekadach przemyślanej polityki demograficznej. Zważywszy, że ani pracy, ani zasiłków nie starczało dla wszystkich, i co do tego nikt w kraju nie mógł mieć wątpliwości, zastosowana w artykule argumentacja zasługiwała na miano nieodpartej.

Większy i umieszczony nieco wyżej tytuł brzmiał: “Będą kredyty” i dotyczył przylotu do kraju sir Camemberta, a zwłaszcza przywiezionego przez niego pakietu pomocy ze Wspólnot Europejskich, będącej nagrodą za wynegocjowanie i podpisanie Gwarancji Społecznych. Odnośnik pod tym tekstem odsyłał do dużego bloku poświęconego różnym aspektom Gwarancji na kolumnach od trzeciej do piątej.

Poza tym pierwsza strona zawierała kilka notatek o aktualnych wydarzeniach ze świata, zajawkę wywiadu ze Szczepanem Mirkiem, Literatem, pomieszczonego wewnątrz numeru, porcję codziennych zachwytów nad faktem, iż pani prezydent jest kobietą oraz informacje o bieżącej pracy rządu.

*

Dokładnie o dwunastej w południe prezes Siciński, z rozsadzającym mu piersi uczuciem triumfu, wkroczył na zbudowaną u stóp spiżowego króla mównicę.

Prezes Siciński był szefem ogólnopolskiej komisji porozumiewawczej związków zawodowych, która skupiała siedem największych central związkowych. Niegdyś wszystkie one zwalczały się zajadle i podbierały sobie członków oraz organizacje zakładowe, ale dzięki niemu ten stan rzeczy należał już do przeszłości. Wszystkie związki bowiem, czy to patriotyczno-katolickie, czy zajadle anty-klerykalne, miały wspólny cel, jaki stanowiła obrona ludzi pracy – i to właśnie umożliwiło ich połączenie pod przewodnictwem młodego, zabójczo przystojnego i pełnego ambicji działacza, który spośród wszystkich obrońców ludzi pracy zyskał sobie opinię najbardziej zdecydowanego i nieprzejednanego.

Nie było wcale łatwo zdobyć sobie taką opinię. Obrońców ludzi pracy przybywało bowiem wprost proporcjonalnie, w miarę jak samym ludziom pracy wiodło się coraz marniej. Albo też może: ludziom pracy wiodło się coraz marniej, wprost proporcjonalnie do

tego, ilu mieli obrońców. W każdym razie mieli ich już prawdziwe mrowie, wszyscy oni byli zdecydowani i nieprzejednani, i każdy chętny dowieść, że on najbardziej. W takiej sytuacji nawet poparcie generała-gubernatora i Dumorieza mogło nie wystarczyć, toteż Siciński, nawet gdyby chciał, nie mógł sobie pozwolić, by osiąść na laurach. Postawił rządowi twarde warunki i uparł się przy nich, nieczuły na perswazje, błagania ani próby przekupstwa, doprowadzając do stopniowego eliminowania z władz wrogów ludzi pracy, a ostatecznie do wielkiej, ogólnopolskiej akcji protestacyjnej. Ale zapewne i ona nie przyniosłaby sukcesu, gdyby w głośnym posłaniu nie odwołał się do prezydenta-imperatora Michaiła i Wspólnot Europejskich o wywarcie nacisku na rodzimych wrogów ludzi pracy oraz zmuszenie ich do poszanowania w Polsce ich praw.

Ten jego krok doprowadził ostatecznie do wiekopomnego wydarzenia, jakim było zapowiedziane na dzisiejszy dzień podpisanie przez pełnomocnika prezydenta-imperatora Wszechrosji i przewodniczącego Komisji Wspólnot Europejskich aktu Gwarancji Społecznych. Akt ten potwierdzał nienaruszalność i niezbywalność praw socjalnych dla obywateli Polski. Mniejsza już nawet, że Wspólnoty za podpisanie owej gwarancji nagrodziły rząd przyznaniem dodatkowych kredytów na zabezpieczenie socjalne dla najbardziej potrzebujących – choć było to oczywiście dodatkowym powodem do radości. Najważniejsza była pewność, że potężni sąsiedzi nie dopuszczą, by jakikolwiek rząd pokusił się kiedykolwiek o odebranie ludziom pracy i ich obrońcom tego, co im się należało.

Z punktu widzenia przewodniczącego Sicińskiego oznaczało to także, że żaden z siedmiu stojących obecnie za jego plecami i robiących dobre miny (choć w środku, nie wątpił, musiało ich skręcać) rywali nie miał już teraz co marzyć o zajęciu jego miejsca. I to także było przyczyną, dla którego jego pierś rozsadzało uczucie triumfu.

Stanął na mównicy, uniósł ręce i w tym momencie przestało już istnieć cokolwiek poza entuzjazmem rozfalowanego tłumu, który od rana zwoziły na plac zakładowe autokary. To jemu bili brawo; i ci, którzy właśnie wyszli z nabożeństwa w katedrze wraz z przywódcami Zjednoczonego Obozu Katolicko-Patriotycznego, i ci powiewający czerwonymi flagami, pośród których pozowali kamerom przywódcy partii socjaldemokratycznej i liberalnej, i delegacje związków rolników, i budżetówka, wszyscy razem krzyczący na jego cześć – to była wielka chwila, historyczne wydarzenie, chyba to właśnie krzyknął do mikrofonu, że to jest historyczna chwila, zresztą co w danej chwili mówił, nie miało większego znaczenia, ważne było, że powiedział coś, a tłum falował entuzjazmem i bił mu brawo, kamery kręciły, ludzie wrzeszczeli zachęcani z dala przez kamiennego szewca, pokrzykującego i wywijającego nad głową obnażoną szablą, krzyczeli i

bili brawo tak, że w całym mieście wyrwani z zamyślenia skamieniali bohaterowie obracali w zdumieniu głowy i dopytywali się nawzajem, cóż to za wielkie wydarzenie.

Tylko spiżowy pół-Szwed, pół-Litwin, spoglądający wyniośle ze swego pokutnego słupa, u stóp którego przemawiał prezes, nie interesował się ani jego słowami, ani treścią okrzyków wznoszonych na jego cześć. Wystarczał mu sam widok tłumu, a musiał przyznać przed samym sobą, że dawno już nie widział takiego tłumu, i jeszcze tak przepełnionego entuzjazmem. Ale widok ten nie budził w nim wiele więcej niż tylko dziwną, masochistyczną przyjemność. Lata pokuty wyostrzyły w nim niechęć, którą jeszcze za życia czuł do tego kraju i jego rozwarcholonych mieszkańców, toteż gdy patrzył teraz na ich radość, ze skamieniałych warg nie schodził mu uśmieszek złośliwej satysfakcji.

*

– Pierwsze pytanie jest od mojego szefa. Mnie też ciekawi. Skąd ta nazwa, kataryniarze?

Dopiero widok twarzy Andrzeja potrącił jakąś zapadkę w mózgu Roberta i skierował jego myśli do właściwej kartoteki. Tak, teraz pamiętał, rzeczywiście, robił razem z nim w radiu. Informacje, serwisy miejskie, ot, codzienna dawka paszy dla Przeżuwaczy. Równy gość, dobrze się rozumieli i właściwie sam nie wiedział, dlaczego potem jakoś nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

Raz otwarta szuflada w pamięci nie dawała się tak od razu zamknąć i zanim Robert doszedł od drzwi kawiarni do stolika, przemknęły przez jego głowę wspomnienia z radia – tyrał wtedy jak głupi, po dwadzieścia sześć, siedem ośmiogodzinnych dyżurów miesięcznie, za marne pieniądze, bo radio budowali właściwie od zera, ale miało to wszystko posmak niedźwiedziego mięsa. Czy to był wtedy już on, czy jeszcze Tamten Robert? – zastanawiał się. Chyba jeszcze Tamten. Tak, na pewno. Cała praca w radiu zaczęła się przecież od telefonu kumpla, kumpla od Tamtych spraw. Właściwie wszystkie sprawy w jego życiu zaczynały się od czyjegoś telefonu albo od przypadku. Dawał się nieść prądowi życia to tu, to tam. Jak pakiet danych e-mailu przerzucanych od komputera do komputera z jednego końca świata na drugi. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle – po prostu tak było. Ale właściwie nie musiał walczyć z tym prądem, jakoś tak się złożyło, że chyba nigdy nie niósł on go gdzieś, gdzie Robert znaleźć się nie chciał.

Bo były takie miejsca – a może powiedzmy, takie towarzystwa – gdzie nie zamierzał się znaleźć nigdy. Jak dotąd mu się to udało. Ale też, przyznawał, nigdy nie był kuszony i szczerze mówiąc, nie sądził, aby mu to jeszcze groziło.

Cokolwiek powiedzieć o Andrzeju, ten także nie zrobił kariery i Robert pomyślał nagle, oczywiście pod wpływem swego porannego odkrycia, że są już blisko tej granicy, do której ludzie spotykając się opowiadają sobie, czego to dokonają, co zamierzają i jak to jeszcze będzie – a po jej przekroczeniu już w ogóle nie mówią o przyszłości, bo nie ma o czym.

– To długie gadanie – zaśmiał się. – Wiesz, jak my pracujemy? Przystawka na karku przejmuje impulsy z rdzenia kręgowego i kieruje do takiego specjalnego, zestrojonego z tobą komputera, który nazywa się driver, sterownik. Kiedy mózg wydaje jakieś polecenie do mięśni, sterownik interpretuje zakodowaną pod tym ruchem makrodefinicję. Wydajesz komendy nie poprzez naprowadzanie na panele kursora ani tym bardziej przez klawiaturę, tylko układając odpowiednio ręce, palce… Jak tak sobie wprogramujesz, możesz wydawać komendy nawet palcami u nogi.

– Musi długo trwać, nauczyć się tego wszystkiego na pamięć?

– Nie, to proste. Długo trwa zestrajanie sterownika. Parę tygodni. Właściwie stale, jak pracujesz, coś sobie poprawiasz. No, w każdym razie: kiedy myślisz o poruszeniu ręką albo czymś innym, jest taki moment, że sygnał jest już wystarczająco silny dla sterownika, ale mięśnie pozostają nieruchome. Początkującym trudno to wyczuć, z reguły rzucają rękami i nogami bez opamiętania, tak że pomimo wytłumienia impulsów rdzeniowych przez wspomaganie synapsy w czasie pracy podrygują w fotelu. A w Polsce jeszcze nie ma innych kataryniarzy niż początkujący.

Wyciągnął przed siebie rękę, z przedramieniem równolegle do klatki piersiowej, sztywnym nadgarstkiem i zwiniętą dłonią. Odczekał chwilę, aż uwaga Andrzeja skupi się na jego dłoni i poruszył nią w taki sposób, żeby kiść zakreśliła w powietrzu niewielkie kółko, podczas gdy łokieć pozostawał cały czas w tym samym punkcie.

– To jest ENTER – wyjaśnił. – Najczęściej podawana komenda. Rozumiesz? Dla kogoś z zewnątrz operator to taki facet, co siedzi z zasłoniętą twarzą, przypięty do sprzętu kupą kabli, i co chwila kręci prawą ręką. Stąd i kataryniarze.

Siedzieli w pubie na rogu placu Bankowego. Panował w nim większy niż zazwyczaj o tej porze tłok, ogródek był wypełniony i musieli usiąść w parnym wnętrzu. Kilkunastu gości korzystało z oferowanej przez kawiarnię możliwości wejścia w sieć; podłączali przynoszone na życzenie gogle i rękawice do ukrytych dyskretnie w stołach gniazd. Pub był lokalem raczej spokojnym, nastawionym na

obsługę gości ze znajdującego się w pobliżu hotelu, którzy używali sieci głównie do przeglądania serwisów, danych z giełdy, być może do łączenia się ze swoim miejscem pracy. Siedzieli nieruchomo, poruszając dłońmi w rękawicach nieznacznie i bez pośpiechu. W szpanerskich cyber-cafeteriach wyglądało to inaczej: przy stolikach i wzdłuż baru wszyscy podrygiwali i wili się, wymachując trzymanymi w rękach joystikami, jak w lęgowisku świeżo wyklutych, jeszcze ślepych i niezdolnych się przemieszczać larw. Albo jak w dyskotece pełnej narciarzy, którzy bawią się zbyt dobrze, aby zauważyć, że ktoś pokradł im kijki, pozostawiając tylko same rączki, poprzypinane do stołów telefonicznymi kablami. I wszystko to w nieustającym "kurwa, ale zarobił!" i "zajeb mu, zajeb!", tak że właściciele lokalu musieli pod groźbą utraty koncesji instalować dźwiękochłonne wykładziny i podwójne drzwi.

Może to zresztą i lepiej. Młodzież nie potrafiła, jak za jego czasów, rozmawiać przy piwie czy zresztą w ogóle rozmawiać – co najwyżej wspólnie coś oglądać lub grać. Za to mordobicia w knajpach zdarzały się podobno daleko rzadziej.

Przez ujętą w masywne, pseudosecesyjne ramy szybę Robert obserwował kątem oka, jak na placu formuje się gigantyczny korek. Zdążył przyjechać w ostatniej chwili.

– To teraz ty mi powiedz – opuścił rękę – za co go zwinęli. Jakieś przekręty?

– Liczyłem, szczerze mówiąc, że mi coś podrzucisz.

– No, tak… Ja niewiele o facecie wiem, zwłaszcza jeśli chodzi o finanse – Robert zamyślił się. – Miał chyba jeszcze kilka innych spółek, wiesz jak to wygląda, takie typowe interesy przy rządzie.

– W innych jego spółkach nie robili jak dotąd przeszukania. Tylko tutaj. Wniosek: usiadł za coś, co bezpośrednio wiąże się z InterDatą. Popraw mnie, jeżeli uważasz ten wniosek za nielogiczny.

Robert nie potrafił nic zarzucić logice Andrzeja. Niestety.

– Widzisz – zaczął po dłuższej chwili – tam naprawdę nie robi się nic, co mogłoby interesować UOP. Rzeczywiście, firma miała duże obroty, to są kosztowne kontrakty, a mało kto je wykonuje, ale…

– Właśnie. Co się robi w takiej agencji, jedynej w Polsce, nawiasem mówiąc?

Przy stoliku raczyła się wreszcie pojawić kelnerka, dając Robertowi cenną chwilę do ułożenia składnej odpowiedzi.

– Wszystko to, co może robić operator w Necie. Z tą poprawką, że my jesteśmy wielokrotnie szybsi niż zwykły użytkownik. Potrafimy nawigować we wszystkich sieciach, znamy ich geografię i wzajemne połączenia, wiemy, jak nawiązać szybki kontakt z potrzebną firmą albo osobą. To się nazywa research. Po angielsku. Jak wszystko, Idą takie czasy, że żadnej poważniejszej sprawy nie ugryziesz bez takiego

researchera-kataryniarza.

– Co na przykład?

– Na przykład, ja wiem… Teraz robię raport dla Biura Repatriacji, wiesz, to taki klon wypączkowany z CUP-u, na temat możliwości osiedlania repatriantów w różnych częściach kraju. Taka urzędnicza robota, po prostu my ją robimy kilka razy szybciej. Stan zagospodarowania, infrastruktura, prognozy migracyjne, dynamika demograficzna. W gruncie rzeczy kupa zmarnowanego czasu i pieniędzy – dodał po chwili, – Ludzie i tak poosiedlają się, gdzie akurat będzie miejsce, a tego raportu nikt nie będzie miał czasu nawet przeczytać. Ale to rządowe zlecenie, opłaca się robić.

– Dobra, Bóg z nimi. Coś innego.

– Dane do analiz rynku, to najczęstsze. – Bardzo chciał pomóc Andrzejowi, tylko że naprawdę nie miał pojęcia, jak to zrobić. – Był w jakiejś radzie nadzorczej -przypomniał sobie nagle. – Jakiegoś banku. Prezes, znaczy. Nie pamiętam którego.

Milczeli przez chwilę, przeczekując kelnerkę, która pojawiła się z kawą dla Andrzeja i herbatą dla Roberta.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – zaczął Andrzej i by przerwa po tych słowach była odpowiednio długa, upił ostrożnie pierwszy łyk kawy. Większość z tych, którzy pijają kawę, twierdzi, że pomaga im to myśleć. Większość dziennikarzy pije ją na zasadzie głębokiego uzależnienia, nie dlatego, żeby po kawie myślało im się lepiej, tylko że bez niej nie są już w stanie wycisnąć z mózgu absolutnie niczego. Z nią zresztą też coraz rzadziej.

– Jeżeli przyjmiemy, że aresztowanie ma związek nie z żadną inną sprawą, tylko z InterDatą, a są powody tak uważać, to co wchodzi w grę? Przekręty finansowe, sam mówisz, raczej nie. I dobrze, bo tego było już tyle, że nie przyjęliby mi nawet piętnastu sekund. Firma zajmuje się zbieraniem danych w sieci komputerowej, prawda? Prawda. Czy za zbieranie informacji można usiąść? Można. Od niepamiętnych czasów. Mam swoje przecieki, kierujące sprawę w tę stronę…

– Tak?

– Nakaz aresztowania wydała prokuratura wojskowa.

– To częste i przy przekrętach. Tłumaczył mi kumpel, który robi researchy dla prawników. Jeśli delikwent ma kogoś w prokuraturze, wiążą go przez wojskową, żeby patron nie mógł go wyjąć przed pierwszym przesłuchaniem.

Andrzej zapisał sobie w pamięci, że w razie czego można szukać tu konsultanta.

– Tak się robi również wtedy, gdy sprawa wychodzi z Wydziału Pierwszego, wywiad i kontrwywiad MSW. Nie pytaj mnie, skąd wiem, bo i tak nie mogę powiedzieć. Jest szansa, że grzebaliście gdzieś, gdzie

oni sobie grzebania nie życzą. Włamaliście się do jakiejś zastrzeżonej bazy danych, szpiegowaliście tajne plany, rozumiesz, weszliście do systemów wojskowych… – Andrzej uniósł wzrok i zobaczył błąkający się po wargach rozmówcy uśmiech, który odebrał jako wyraz politowania. Przerwał.

– Nie, stary – rzekł Robert, wciąż z tym dziwnym uśmiechem na twarzy. – Ja rozumiem, że chcesz mieć materiał, ale, jakby powiedzieć… Nie chciałbym cię dotknąć…

– Syp.

– Nie masz o tym bladego pojęcia.

– Jasne, że nie mam. – Andrzeja wcale to nie obrażało. – Dziennikarz zna się na wszystkim, ale tylko przez tych parę godzin, kiedy robi na ten temat materiał. Po to cię właśnie potrzebuję, żebyś mnie doinformował.

Andrzej mówił szybko, połykając końcówki słów, jakby pośpiech wszedł mu w krew do stopnia czyniącego zeń drugą naturę. Musiał to być wpływ telewizji, bo Robert nie przypominał sobie podobnej nerwowości u swego kolegi w czasach, gdy pracowali wspólnie.

– Naoglądałeś się filmów albo naczytałeś o hakerach. Ale to przeszłość, miniona epoka. – Niepostrzeżenie sam zaczął przejmować ten styl szybkich, urywanych zdań. Nieczęsto zauważał, że takie przystosowywanie się do rozmówcy nie było u niego rzadkością, a już na pewno nie przyszłoby mu do głowy, iż jest to inna strona jego wrodzonego talentu do kataryniarstwa.

– To był taki okres dla informatyki, jak dla lotnictwa czas samolotów z dykty i płótna, które różni zapaleńcy montowali po stodołach za prywatne pieniądze. A ty teraz rozmawiasz z facetem, który pilotuje rejsowy odrzutowiec i musi się trzymać co do punktu czterystu różnych regulaminów i protokołów, bo straci pracę i licencję.

– Chcesz powiedzieć…

– Chcę powiedzieć, że kataryniarze pracują wyłącznie w ogólnodostępnych częściach sieci. Czasem, bywa, zapędzisz się i dostajesz ostrzeżenie: obszar zastrzeżony, podaj swój kod i hasło albo wycofaj się. Amerykanie wyświetlają jeszcze listę paragrafów, z których będziesz odpowiadał za próbę nie autoryzowanego wejścia. Bo oni mają taki zwyczaj, że ktokolwiek złamie ich prawo, w dowolnym miejscu na świecie, jeśli wpadnie im w łapy, może być ukarany przez amerykański sąd. Zauważ: ukarany za samą próbę wejścia, nawet jeśli niczego nie odczyta. Zaręczam ci, każdy kataryniarz się w takim momencie kłania i wyskakuje.

– Czekaj, czekaj – zainteresował się Andrzej. – Czy w Polsce w ogóle jest ustawa o przestępstwach komputerowych?

– Jest konwencja międzynarodowa, jeśli dobrze pamiętam,

ratyfikowaliśmy ją sześć lat temu, i można na jej podstawie deportować podejrzanego. Ta sama konwencja narzuciła wszystkim użytkownikom sieci obowiązek posługiwania się stałym i dostępnym na każde życzenie kodem identyfikacyjnym, ID. Skończyła się anonimowość w cyberprzestrzeni. A z nią skończyło się takie hakerstwo jak w starych filmach, że tam ktoś się włamuje do komputera Pentagonu i podbiera tajne dokumenty. Nie te czasy.

Andrzej wyciągnął z torby notatnik z zatkniętym za okładkę pisakiem.

– Syp dalej – mruknął. – Sam nie wiem, co z tego może mi się przydać. Jeśli nie uda mi się niczego zrobić z twojej firmy, to przynajmniej będę miał materiał o bezpieczeństwie w sieci.

– Proszę cię bardzo – odparł Robert. – Po pierwsze, niemal we wszystkich światowych sieciach publicznych, a w każdym razie we wszystkich cywilizowanych krajach, pojawili się operatorzy systemu. Taki SysOp, jak to się u nas nazywa, jest pracownikiem sieci i odpowiada za jakiś jej obszar, zazwyczaj jeden, dwa węzły. Kontroluje każdego użytkownika, jaki się tam pojawi, a jeśli jest nieobecny, bo mniejsze sieci lokalne w zasadzie nie są nastawione na pracę całodobową, to program strażniczy węzła zapisuje do jego wiadomości każde połączenie. Po drugie, numer ID jest niepowtarzalny i stanowi integralną część twojej karty sieciowej. Nawet sam go nie znasz, chyba że się bardzo uprzesz. ID to coś jak odcisk palca: gdziekolwiek się pojawisz, zostaje twój numer. Jeśli pozostawisz po sobie jakiś lewy plik, złamiesz regulamin sieci albo coś takiego, SysOp zgłasza twój numer dyrekcji sieci. Koniec z anarchią.

– Nie można jakoś, no wiesz, przerobić sobie sprzętu?

– Wszystko można. Tylko to cholernie trudne do zrobienia i łatwe do wykrycia. Bo są jeszcze cancel bots, taki rodzaj debuggerów…

– Hę?

– Jakby patrole policyjne. Niewielkie programy, które krążą bezustannie po wszystkich sieciach, tych ogólnodostępnych, znaczy, i czeszą każdego napotkanego użytkownika. Jeśli uznają, że masz coś nie w porządku z ID, bo kupiłeś sobie przerobioną kartę na czarnym rynku, to traktują cię jak przestępcę.

– Strzelają?

– Gorzej. Blokują ci dostęp i powiadamiają dyrekcję sieci.

– Nie interesowałem się tym za bardzo – zastrzegł się Andrzej, zapisując: kancel botale dałbym głowę, że stosunkowo niedawno czytałem o jakiejś aferze z hakerami.

– Prasa czasem ich myli z cyferpunkami. Ale to zupełnie inna sprawa: gówniarze, którzy po prostu niszczą zbiory, na ślepo, rozprowadzają wirusy, zadeptują obszary systemowe sieci, no wiesz, starają się zrobić jak najwięcej zamętu i nie dać złapać. Taka odmiana

cyberterroryzmu. To jest pewien problem w sieciach publicznych, ale zupełnie innego typu.

– A swoją drogą – mruknął Andrzej, nie przerywając pisania – dlaczego?

– Wiesz – Robert tarł przez chwilę czoło. – Gdzieś z półtora roku temu było głośno o takim jednym, który dostał się do węzła wieży kontrolnej na lotnisku i doprowadził do katastrofy, musiałeś słyszeć, "New Scientist" poświęcił wtedy im cały numer. Generalnie, to jest takie swego rodzaju podziemie, raczej o politycznym charakterze…

– Coś jak subkultura VR?

– Nie, subkultura jest niegroźna. Ot, bawiące się kajtki, używające standardowych gogli i rękawic do virtual reality o tyle zręczniej od zgredów, że potrafią opanować najprostsze funkcje połączenia bezpośredniego. Większość z nich wyrośnie na szanowanych, dobrze zarabiających SysOpów albo kataryniarzy poważnych firm. Niektórzy pewnie na cyferów. Chodzi o to, że sieci przesyłu danych miały stanowić podstawę nowej, poziomej, a nie pionowej organizacji społeczeństwa, poszerzenie agory, rozumiesz, chodzi o greckie forum. O – trafił wreszcie w pamięci na właściwe słowo – demokratyczne społeczeństwo posthierarchiczne, tak to nazywano. No więc, że niby sieci miały być tym fundamentem nowego, wspaniałego świata, a zostały opanowane przez polityków, wojskowych i krwiożerczy międzynarodowy kapitał, w związku z czym oni starają się je zanarchizować. Nic nowego, wyjąwszy używanie wirusów i bomb logicznych zamiast machin piekielnych.

– Bomb logicznych?

– Taki rodzaj programu, mnoży się i mnoży, aż zablokuje całą pamięć operacyjną. Parę lat temu jednemu cyferowi udało się tym sposobem zawiesić na cztery godziny sieć policyjną w Hamburgu.

– Taa… – mruknął Andrzej, zapisując na wszelki wypadek: "Sieć policyjna, zawieszenie, Hamburg". – Tylko że z naszą sprawą to to chyba nie ma nic wspólnego.

– Mówiłem – skinął głową Robert.

*

Charles Frangois Dumoriez, sekretarz warszawskiego przedstawicielstwa Komisji Wspólnot Europejskich, czuł się jak gdyby rozmawiał z istotami z innego świata. Naturalnie niczym tego nie dawał po sobie poznać.

– Zachód chce wam pomóc, panowie – oznajmił swoim gościom. –

Oczywiście, nie jestem upoważniony, aby takie zapewnienie złożyć wam oficjalnie. Możecie mi jednak wierzyć, że całkowite pozostawienie Polski w rosyjskiej strefie wpływów nie leży w naszym interesie. Musicie tylko zrozumieć, że w tej chwili nie możemy wejść w dyplomatyczny konflikt z Rosją. Musicie najpierw dokonać czegoś, co przekona opinię publiczną naszych krajów o determinacji Polaków w staraniach o integrację ze strukturami zachodnioeuropejskimi. Nie możemy wam pomóc, dopóki wy nie pomożecie sobie samym. Musicie podjąć jakieś radykalne, spektakularne działanie.

Sześciu przywódców Zjednoczonego Obozu Katolicko-Patriotycznego przyjęło te słowa poważnym kiwaniem głowami.

W dniu podpisania Gwarancji Społecznych, związanej z nim wizyty w Polsce sir Camemberta i wydawanego przezeń koktajlu siedziba przedstawicielstwa wypełniona była po brzegi zamętem, w którym goście Dumorieza mieli szansę nie rzucić się w oczy. Przyjmował ich w niewielkim gabinecie, przylegającym do głównego hallu. Gabinet służył zazwyczaj do spotkań nieformalnych, mimo tego jednak – lub może właśnie dlatego – pod ciężkimi, płóciennymi tapetami oplatały go sieci antypodsłuchowego tempestu, a umieszczone we framugach drzwi detektory sygnalizowały dyskretnie, jeśli przy którymś z wchodzących wykryły zamknięty obwód elektryczny.

Dumoriez nazwał to w sporządzonej dla swoich zwierzchników notatce “rozmową sondażową”. Zawiadomił przywódców ZOKP przez posła Suchorzewskiego, iż chciałby jeszcze przed rozmową z sir Camembertem poznać ich opinię co do konsekwencji aktu Gwarancji Społecznych dla polskiej sceny politycznej oraz przewidywanych przez nich scenariuszy wydarzeń. Przywódcy Obozu dalecy byli w tej kwestii od zgody. Jak zresztą w większości pozostałych.

– Myślę, że pan się z nami zgodzi – odezwał się wreszcie głębokim, poważnym głosem jeden z prezesów klubu parlamentarnego ZOKP, o wyglądzie siwiejącego borsuka – że dzisiejszy dzień przybliża chwilę patriotycznego zrywu.

– Rozumiem panów punkt widzenia – zgodził się dyplomatycznie Dumoriez. – Ale zapowiadacie ten zryw już od dość dawna. Wciąż powtarzacie, że Polska powstanie. Ale wciąż pozostajecie w opozycji, bez wpływu na władzę.

– Niech pan nie zapomina – wtrącił się drugi z prezesów, w średnim wieku, o twarzy, która po prostu skazała go na karierę polityczną działacza chłopskiego – że ZOKP kontroluje większość samorządów w kraju. Na prowincji liberałowie i socjaldemokraci praktycznie się nie liczą.

– Wiem o tym. To jest podstawa dla jakiejś działalności. I tego panowie, po was oczekujemy. Pozwólcie zapytać: czy akt Gwarancji to

dla was początek, czy koniec?

– Początek, zdecydowanie początek – oznajmili niemal chórem.

– Polacy przekonali się, że mogą wygrać z tą lewicowo-liberalną mafią – powrócił do głosu Siwy Borsuk. – I to nie pójdzie na marne, niech mi pan wierzy, panie Dumoriez! Jeszcze dzisiaj, będzie pan mógł zobaczyć, zakłócimy nieco tę cukierkową uroczystość, wyreżyserowaną w Pałacu.

– Ale przecież – zauważył Dumoriez – w tej chwili polski pracownik zyskał zdobycze socjalne przekraczające nawet to, co przewidują karty socjalne Unii. Czy mimo wszystko sądzicie, że zdołacie poderwać go do dalszej, hm… dalszej walki?

– Panie Dumoriez – odezwał się kolejny z prezesów o ogorzałej, twardej twarzy i siwiejących, sumiastych wąsach. Mimo iż zbliżał się już do sześćdziesiątki, zachował atletyczną budowę ciała i wyprostowaną postawę. – Kto wygrywa, ten się nie zatrzymuje. Kto wygrywa, ten przyspiesza. Tym bardziej, im chętniej przeciwnik ustępuje.

– Może pan nam wierzyć. Powtórzymy sierpień jeszcze raz – zapewnił jeszcze jeden z przywódców.

– Tak, ludzie widzą to złodziejstwo, wszystkie te prze-kręty, na jakie pozwalają sobie rządzący – poparł go ten o chłopskiej twarzy. – I zapamiętują to sobie. Dobrze to pamiętają.

– I to, że są takie partie, niby katolickie i polskie, a ubabrane po uszy – zauważył scenicznym szeptem wąsaty – to sobie też zapamiętują.

– Chyba ma pan na myśli tę swoją zakichaną kanapę, co? Tak słyszałem o jakimś moście pod Modlinem…

– A my słyszeliśmy o imporcie nawozów – przypomniał następny.

– Ależ panowie, panowie – mitygował Dumoriez. Odetchnął głęboko i przybrał zatroskany wyraz twarzy. – Będę z wami zupełnie szczery, panowie. Aż do bólu. We Wspólnotach nie ma jednomyślności co do Polski. Są tacy, którzy mówią: do diabła z tą Polską, to wewnętrzny problem Wszechrusi, nasi podatnicy i tak się już buntują i nie wolno ich obciążać dodatkowym ciężarem. Jak wiecie, ja należę do tych, którzy uważają, że Polska jest częścią Zachodu i po prostu nie możemy jej zdradzić. Powiem panom, że sir Camembert prywatnie podziela to zdanie. Ale ma związane ręce, a wy nie dostarczacie mu argumentów. – Pochylił się ku nim, zniżając głos, choć w oplecionym antypodsłuchowym tempestem pomieszczeniu nie było ku temu za grosz powodów. – Musicie, panowie, jeśli mi wolno doradzić, wstrząsnąć sumieniem Europy. Dokładnie tak.

Wiedział doskonale, że te słowa trafiały w samo sedno.

Jego goście przecież niczego lepszego niż wstrząsanie sumieniami dalekich krajów nie potrafili sobie wyobrazić.

– Mogę was zapewnić, panowie – dodał – że z całą pewnością nie zostawimy was osamotnionych.

Kierowanie warszawskim przedstawicielstwem Komisji Wspólnot Europejskich było dla Dumorieza dziwnym przeżyciem. Wiedział doskonale, jakie interesy reprezentują w tym kraju on i jego ludzie. Wiedział, jakie interesy ma tutaj prezydent-imperator Michaił, co mają tutaj do ugrania Turcy, Arabowie, Amerykanie, Chińczycy. Oni wszyscy też doskonale to wiedzieli i dlatego każdy z nich ugrywał swoje.

Ale choć wysilał umysł, nie był w stanie zrozumieć, w co grają i na co właściwie, poza pomocą Wspólnot, liczą sami Polacy.

*

Co do Szczepana Mirka, Literata, zaproszenie na wieczorną uroczystość właśnie jego nie stanowiło dla nikogo – a już dla niego samego najmniej – żadnego zaskoczenia. Taka uroczystość byłaby po prostu niepełna, gdyby zabrakło na niej kilku słów o pojednaniu, o jednoczeniu i wspólnym marszu, a takie słowa nie byłyby pełnowartościowe, gdyby nie wypowiedział ich do ambasadorów któryś z uznanych autorytetów moralnych. Tak się zaś składało, że Szczepan Mirek, Literat, zajmował pozycję (i strzegł jej zazdrośnie) czołowego autorytetu moralnego w, jak mawiał, tym kraju. Nie było łatwo taką pozycję zdobyć, szczególnie gdy się miało drewniane pióro i potrafiło strugać jedynie toporne opowieści z łopatologicznie wyłożonym morałem, choć na szczęście już mało kto czytał cokolwiek, a krytycy najmniej, polegając raczej na wyrokach zapadających w ich gronie nie wiedzieć jak i kiedy. Tymczasem u schyłku swego w większości nieszczególnego życia Szczepan Mirek, Literat, dostąpił wreszcie wyniesienia na same szczyty. Uwielbiały go starsze panie, zapraszano go, jako autorytet od wszystkiego, do dyskusji w radiu i telewizji, wydawano jego książki w twardych oprawach, w kredowych obwolutach zdobionych reprodukcjami klasyków, recenzowano je bez końca i zawsze na kolanach, adaptowano dla telewizji i teatru, robiono z nim wywiady rzeki, wydano nawet osobną książkę o nim, pełną wspomnień jego znajomych z dzieciństwa i zdjęć -na Mazurach w kajaku, na rowerze, na Giewoncie, na tarasie Domu Pracy Twórczej w Zakopanem, z włosami na głowie, z Orderem Odrodzenia Polski w klapie (nie, to akurat zostało wycofane) – jednym słowem, jego wielkość stała się tak oczywista, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby jej kwestionować. Zresztą musiałby najpierw w tym celu

zmęczyć któreś z jego dzieł, co nie było ani łatwe, ani przyjemne.

W istocie Szczepan Mirek, Literat, zasłużył sobie na te triumfy szczególnego rodzaju talentem. Był to talent przeczucia, z której strony wiatr zawieje. W początkach kariery nie na wiele mu się to wprawdzie przydało. Przewidzieć kierunek wiatru nie było wtedy trudno i wśród szmacących się na potęgę twórców kultury Szczepan Mirek, Literat, był tylko jednym z wielu, w ostatnim szeregu, ot, takim od wypisywania włazidupskich biografii czerwonych świętych. Wydawało się, że zostanie takim na zawsze, bo szmacili się wówczas pisarze i poeci całą gębą, wielcy artyści, którzy mogli rzucić komunie pod nogi sławne nazwiska i międzynarodowe koneksje, gdy on miał do zaoferowania tylko swe drewniane pióro, psią wierność i gotowość kapowania Firmie, co który z kolegów literatów mówił podczas zagranicznych wojaży. Ale oprócz swego talentu Szczepan Mirek, Literat, miał także cierpliwość. Więc strugał swoje tendencyjne opowiastki z łopatologicznymi morałami, rutynowe donosy na kolegów literatów i włazidupskie biografie czerwonych świętych, aż ci lepsi pozapijali się na śmierć, aż ich pozagryzały sumienia lub po prostu powysiadały im bebechy, a komuna zmarniała i wyczucie wiatru kazało raczej dołączyć do zbuntowanych tatusiowych synalków i robić za opozycjonistę, przy okazji zresztą nadal kapując Firmie.

Wtedy Szczepan Mirek, Literat, dokonał swego epokowego odkrycia, jakim była współodpowiedzialność Polaków za okropności drugiej wojny światowej, z holocaustem na czele. Nie przeceniał poziomu Polaków na tyle, aby to odkrycie objawiać im samym, ale załatwiwszy sobie druk w Niemczech Zachodnich objeżdżał je, miasteczko po miasteczku, ze swą książką w ręku, zaglądał do każdej redakcji, do każdego uniwersytetu i chociaż rzecz czytała się marnie, to sama teza, że Niemcy nie byli jedynymi winnymi, a co więcej, Niemcy już się ze swej winy rozliczyli, a Polacy jeszcze nie – tak, ta teza znalazła w Niemczech zrozumienie, tym bardziej, że wystąpił z nią Polak.

I tak człowiek, który dotąd dorabiał sobie przyrządzaniem dla gazet notek, że sto trzynaście lat temu urodził się albo czterysta siedemnaście lat temu umarł, odnalazł wreszcie swą drogę do sławy, a co więcej: odnalazł swe życiowe powołanie. A tym jego powołaniem było właśnie walczyć z tą Polską, która nigdy niczego dobrego mu nie dała, bo nawet pisarskie laury uznała dopiero, gdy przywiózł je z Zachodu, i jeszcze musiał je potwierdzać psią wiernością wobec każdej kolejnej przewodniej siły narodu. Z tą Polską, ciemną, czarnosecinną, szowinistyczną, tępą, antysemicką, zapyziałą, dewocką, kołtuńską, zaściankową, archaiczną, fanatyczną, zacofaną, obskurancką, zapijaczoną, obłudną, kułacką, klerykalną, głupią, ksenofobiczną, złodziejską, och, mógłby tak godzinami; im był starszy, tym łatwiej

porywało go to uniesienie, starczyło, żeby tylko pomyślał o tych szabelkach, o tej nieudaczności, bohaterszczyźnie, a tych małowankach-wycinankach, kolorowych pasiakach i brudzie, o tym ciemnogrodzie, i aż się unosił, aż się zaperzał z zapału, żeby tak ten ciemnogród raz jeszcze wziąć pod fleki i dokopać, zadeptać, zniszczyć, urwać łeb i wdeptać w glebę i jeszcze obszczać na odchodne, a gdy już to zrobił, to czuł się naprawdę jak prawdziwy wielki wojownik, jak godny następca Norwidów i Gombrowiczów, i wtedy właśnie najlepiej mu się udzielało wywiadów.

Tego wieczora, był pewien, też nie obejdzie się bez wywiadów, bo kiedy wygłosi swą miażdżącą i bezlitosną krytykę polskich narodowych wad, które dzięki pomocy świata przechodzą na szczęście z wolna do niechlubnej przeszłości, więc kiedy ją wygłosi, na pewno każdy dziennikarz będzie chciał mieć w relacji jeszcze to jedno-dwa zdania autorytetu moralnego specjalnie dla jego gazety czy rozgłośni. Więc w szlafroczku, przy porannej kawusi Szczepan Mirek, Literat, obmyślał owe jedno-dwuzdaniowe komentarze, pociągając papierosa i napawając się tekstem swej przemowy, którą wygłosić zamierzał przed ambasadorami, panią prezydent i całą elitą władzy. I przy tym wszystkim, wbrew pozorom, wcale nie był syty swej sławy ani wielkości, nie, wciąż jeszcze było mu mało wywiadów, recenzji, występów w telewizji, rzucał się wręcz na każdą okazję, by raz jeszcze zachłysnąć się kadzidłem, by nasłuchać się peanów na swoją cześć, jakby w głębi duszy czuł ich czczość i fałszywość, albo wybierał się już opuścić ten świat – zresztą jedna cholera wiedziała dlaczego.

Cholera, gdyby można ją o to zapytać, wyjaśniłaby tę sprawę bardzo prosto: spróbujcie przez czterdzieści lat patrzeć, jak inni zabierają wam sprzed nosa wszystko, ale to wszystko, zagraniczne wyjazdy, panienki, nagrody, wspólne fotografie z sartrami, a potem dorwijcie się do tego, gdy już czysto biologiczne względy nie pozwalają się nacieszyć sukcesem tak jak niegdyś – a nie będziecie zadawać głupich pytań.

*

– Rozumiesz, problemem sieci nie jest kodowanie danych, ich niedostępność, tylko ich ogrom – ciągnął swój wywód Robert, podczas gdy pani prezydent modelowano fryzurę przed wieczorną uroczystością, a prezes Siciński przemawiał u stóp spiżowego króla. – Żadne indeksy nie są już w stanie opisać nawet dziesiątej części tego, co masz w jednej tylko wyspecjalizowanej podsieci samego tylko

ScienceNetu, dajmy na to medycznej. Potrzebujesz indeksów do indeksów, a i w nich można się poruszać tylko dzięki specjalnym indeksom jeszcze wyższego rzędu. Gdybyś chciał to przeszukiwać stukając w klawisze i patrząc w ekran, nie miałbyś już czasu na nic innego.

Robert zapytany o to nie umiałby wyjaśnić, dlaczego podał akurat taki przykład, ale zadecydował o tym fakt, że kilka miesięcy temu robił zamówiony researching dla firmy przygotowującej prognozy rozwoju rynku medycznego, na podstawie których inne firmy przygotowywały potem wskazówki do strategicznego inwestowania na tym rynku dla jeszcze innych firm; była to przyjemna praca, w przeciwieństwie do rządowych chałtur, dowiedział się przy jej okazji mnóstwa fajnych rzeczy, których nawet nie przeczuwał, a właśnie to było w tej robocie najlepsze, poza samymi komputerami, że człowiek stale dowiadywał się czegoś nowego.

– I nigdy cię nie korciło wejść do jakiegoś zabezpieczonego zbioru?

– Na pewno nigdy bym sobie nie pozwolił na łamanie zabezpieczeń wprost. Wykluczone. No, gdyby bardzo mi zależało, to poszukałbym wejścia inną drogą. Ale nie zdarzyło mi się, żebym tego potrzebował.

– A powiedz – Andrzej westchnął ciężko, myśląc z coraz większym niepokojem o nieuniknionej konfrontacji z Rodakiem. – Zabezpieczenia. Na przykład, mam bazę danych. Taką zwykłą, na komputerze osobistym. Nie chcę, żeby ktokolwiek do niej zaglądał. I co?

– Tracisz czas. Ale jeśli chcesz, to nie włączaj komputera do sieci. A jeśli już, nie zapisuj danych na twardym dysku, tylko na osobnej dyskietce i chowaj ją na noc do szuflady. Najlepiej po prostu pracuj bezpośrednio na dyskietce, nie na twardym, bo nawet to, co stamtąd wymażesz, jeśli nie zrobisz tego specjalnym programem, da się potem przez długi czas odczytać.

– Ale jeśli już jestem podłączony do sieci? Jakieś zabezpieczenia, blokady, hasła?

Robert uśmiechnął się powtórnie, kręcąc głową.

– To jest tak, jak z zabezpieczaniem mieszkania przed włamywaczami. Każdy zamek może zostać otwarty, jeśli tylko weźmie się do tego odpowiedniej klasy fachowiec. Chroni cię tylko fakt, że prawdopodobieństwo, by twoje drzwi zainteresowały akurat takiego fachowca, jest znikome, a zwykłego oprycha goni policja…

– Albo i nie.

– Albo i nie, w każdym razie, na takiego solidny zamek wystarczy. Z danymi jest tak samo. Rozumiesz: w dzisiejszych czasach każde nie autoryzowane wejście to ryzyko. Robią to wyłącznie ludzie,

którzy dobrze sobie to ryzyko skalkulowali. Wywiady, na przykład. Ani ty, ani ja się z takimi ludźmi nie spotkamy, i nasze szczęście.

– A wojsko, policja? Mógłbyś, teoretycznie, wejść do nich ze swojego biura?

Robert sięgnął po serwetkę, żeby naszkicować najczęstszy sposób włączania specjalnych podsieci do ogólnodostępnej części systemu.

– To są osobne systemy, bez połączeń z siecią publiczną. Jeśli mają bramkę, to tylko jedną. Już mówiłem, ochrona skupia się nie na samych danych, tylko na kontrolowaniu użytkowników operujących w systemie i na tej bramce. Ciągnąc ten przykład z drzwiami, zamiast instalować coraz wymyślniejsze zamki, zdecydowano się na domofon i wynajęcie stróża. Nie autoryzowane użycie systemu musi być wykryte najdalej po minucie i od tej chwili uruchamia się automatycznie procedura poszukiwania włamywacza. A co do ochrony bramki, to polega ona na czymś w rodzaju maskowania. Po prostu musisz wiedzieć, gdzie jej szukać. Jeśli nie wiesz, możesz mijać ją kilka razy dziennie, nie zdając sobie nawet sprawy, że, na przykład, z tego węzła jest przyłączenie do kartoteki policyjnej. Zazwyczaj takie wejście ujawnia się dopiero po zastosowaniu odpowiedniego kodu. Są – zastanowił się przez moment – są podobno pewne… pułapki na zbyt wścibskich kataryniarzy, ale nie wiem, czy to nie legenda. Nigdy się z niczym podobnym nie zetknąłem, zresztą są surowo zabronione. Ale to zupełnie inna sprawa.

Dopił herbatę z wrażeniem, że rozgadał się zanadto i nudzi. Nadzieja, która zrodziła się w Andrzeju rano, była w tej chwili omalże w zaniku. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz.

Właśnie dlatego nie pozwalał sobie przyznać się do niej, nawet przed samym sobą.

– Ale coś ci jeszcze powiem, i to jest najważniejsze -podjął Robert. W gruncie rzeczy ta rozmowa była najlepszym, co mu się teraz mogło przydarzyć. Podświadomie starał się ją przedłużyć. Jak najdłużej nie myśleć o Tamtym, o swoim sflaczałym ciele i niepewnie się rysującej przyszłości.

– Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś ściśle tajnego, to wcale nie musisz łamać blokad. To jest najlepszy z dowcipów, jakie wiążą się z ekspansją sieci. Jeśli dysponujesz wystarczająco szybkim procesorem danych i odpowiednim obszarem pamięci, możesz właściwie każdą tajną informację złożyć sobie z tego, co jest jawne.

We wzroku Andrzeja błysnęło zainteresowanie.

– Jak?

– Długo by tłumaczyć. Ogólnie rzecz biorąc, poprzez zastosowanie technik analizy matematycznej. Mówiąc obrazowo, pracując nad czymś, co chcesz ukryć, zostawiasz w cyberprzestrzeni mnóstwo różnych strzępków, świadczących o twoich staraniach. Ktoś bardzo

cierpliwy może je pozbierać. To zresztą żadna nowość, Amerykanie i wydział T KGB wpadli na to w połowie lat osiemdziesiątych, tylko wtedy jeszcze nie było sprzętu o takiej mocy obliczeniowej. – Zastanowił się chwilę. – Marcus Hess, 1987. Taki niemiecki haker. Jakby cię to zainteresowało, znajdź sobie, od niego się zaczęło. Hess, dwa "s" – powtórzył, przyglądając się, jak Andrzej wodzi pisakiem po papierze.

– Nie znam się na analizie matematycznej – powiedział ponuro Andrzej, zanotowawszy.

– Dam ci przykład z historii. Od 1938 roku Sowieci doskonale wiedzieli, że Hitler na nich napadnie. Pozostawała tylko niewiadoma: kiedy. Wiesz, co robili ich agenci w Niemczech? Wcale nie włamywali się nocą do kas pancernych, żeby przy świetle latarki odfotografowywać łajką tajne plany i potem szmuglować mikrofilmy w zębie. Spisywali dla centrali ceny baraniny w sklepach oraz na targach i wybierali ze śmieci zaoliwione szmaty.

Robert przerwał i zawiesił wzrok na twarzy rozmówcy, czekając, aż ten powie, że nie rozumie i da mu okazję do objaśnienia, co miała baranina i zaoliwione szmaty do tajnych planów Hitlera.

– Nie rozumiem – powiedział wreszcie Andrzej.

– To było bardzo logiczne. Przed inwazją na Sowiety niemiecka armia musiała zaopatrzyć swych żołnierzy w kożuchy i w zimowe smary, nie krzepnące na mrozie. Ubój owiec na uszycie takiej liczby kożuchów musiał spowodować gwałtowny wzrost podaży baraniny i spadek jej cen, a badając wyrzucane przez żołnierzy szmaty, można było ustalić, czy Wehrmacht już dostał zimowe smary, czy nadal używa letnich. Proste, prawda? To działa na takiej właśnie zasadzie. Im bardziej skomplikowaną rzecz robisz, tym więcej jest takich ubocznych skutków, zawirowań w sieci, których nie sposób utajnić, bo musiałbyś utajniać wszystko. Zbierasz to, poddajesz analizie i otrzymujesz jedyne możliwe wyjaśnienie, wspólne dla wszystkich analizowanych faktów. Tak jak Sowieci: jeśli ceny baraniny spadną na łeb i zarazem zmieni się skład stosowanych przez armię smarów, to czas na mobilizację.

– Zaraz – zaprotestował Andrzej z miną coś-mącisz. -Jeśli mnie pamięć nie myli, to niemiecka inwazja zupełnie wtedy zaskoczyła Stalina.

– Plusik z historii. Zaskoczyła, bo Hitler zagrał na wariata i puścił swą armię do ataku bez kożuchów i zimowych smarów.

Andrzej westchnął po raz drugi i potarł dłonią brodę.

– Chcesz powiedzieć, że w taki sposób się dzisiaj chroni tajne dane?

– Jest to, zdaje się, jeden z tropów, którymi idą twórcy obecnych zabezpieczeń: strategia wariata, maksymalne zwiększenie elementu

losowego. Oczywiście, ochrona też opiera się na wykorzystaniu analizy matematycznej. Ale jeżeli szukasz eksperta od tej tematyki, to ja się naprawdę nie nadaję.

– Szukam tematu, stary – westchnął dziennikarz. – To ostatnie jest akurat bardzo ciekawe. Tylko nie na reportaż. Ludzie chcą szpiegów, którzy włamują się nocą, odfotografowują łajką tajne plany i potem szmuglują je w zębie. A jeszcze po drodze mają erotyczne przygody z kontrwywiadem strony przeciwnej. Kogo, u cholery, interesuje analiza matematyczna cen baraniny?

– Tak to zazwyczaj jest z prawdą.

– Usiłuję sobie wyobrazić, za co zamknięto twoją spółkę, a ty mi przez prawie godzinę klarujesz, że w dzisiejszych czasach już nie ma ani tajemnic, ani hakerów, którzy by je wykradali, ani blokad, które by przed nimi chroniły. A na koniec stwierdzasz, że jednak są.

– Nie zrozumiałeś mnie – Robert uśmiechnął się smutno. – Ja mówiłem, że dziś już nie ma samotnych hakerów. Nic nie znaczysz bez wielkiej sieci, która cię wspomaga, bez serwerów, narzędzi i programów użytkowych. A to oznacza kupę forsy, kupę sprzętu i organizację. To tak jak z wynalazkami: Edison po prostu sobie siadał i je wymyślał, a teraz nikt nie ruszy z miejsca bez wielkiego instytutu i paru miliardów rocznego budżetu. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, stary. “Jednostka bzdurą, jednostki głosik cieńszy od pisku”. Majakowski. Zero romantycznej przygody – ujął w dłoń szklankę z resztką zimnej herbaty, popatrzył w nią ze wstrętem i odstawił z powrotem. -Do przestępstw komputerowych też potrzebujesz całego instytutu.

Andrzej przyglądał mu się w zamyśleniu.

– Sam nie wiem. Miałem taki pomysł…

– Nie – Robert pokręcił głową. – Zapomnij o tym. InterData to według skali światowej malutka agencja. Wygłupisz się, sugerując coś podobnego.

Zerknął na zegarek.

– Fajnie mieć cierpliwego słuchacza, ale w końcu muszę tam iść. Znaczy, do biura.

– Tam siedzi facet i przesłuchuje.

– Bądź spokojny. Jakby coś ode mnie chcieli, znaleźliby mnie przed tobą.

– Myślisz, że InterData będzie działać dalej?

– Cholera, musi – westchnął. – Tam jest mój sterownik. To znaczy własność firmy, ale dostrojony do mojego łba.

– A jak nie, to co? Wracasz do dziennikarzenia?

– Nie, raczej bym już nie chciał. Zresztą kataryniarzowi łatwiej teraz znaleźć pracę niż dziennikarzowi. Pewnie się z miesiąc albo dwa pomęczę, bo wiesz, to nałóg, ale jest kupa firm, które potrzebują

choćby menadżera dla lokalnej sieci. Ostatecznie mogę robić za SysOpa w sieci publicznej, tam stale szukają chętnych.

Szczerze mówiąc, wszystko to ani równało się z pracą researchera. Nie słyszał, żeby w kraju działała jeszcze jedna agencja podobna do InterDaty. Uczelnie pewnie wzięłyby go z otwartymi ramionami, ale to psie pieniądze.

Nawet nie pomyślał o tym, co wielu innym wydałoby się najbardziej oczywiste: że z tym fachem i znajomością angielskiego może bez trudu załapać się na bardzo dobrych warunkach w którejś z firm zachodnich. Nic, co mogłoby kiedyś pociągnąć za sobą konieczność wyjazdu, nie wchodziło w grę.

Jeszcze jeden spadek po nieboszczyku Tamtym Robercie.

*

Waldi nie lubił polityków. Nie lubił, bo doskonale ich znał i wiedział, skąd się biorą. Z takich ludzi, którzy w młodości strugają osiłków i zrywają kapsle z piwa zębami, na starość zaś, przeciwnie, udają jeszcze bardziej niedołężnych i jeszcze gorzej widzących, niż w rzeczywistości – a jedno i drugie dokładnie w tym samym celu: aby skupić na sobie uwagę. Gardził tą bandą narcyzów, choć zarazem wiedział, że jest ona potrzebna takim ludziom jak on sam: bezpartyjnym fachowcom. Ktoś musiał zasłaniać ich przed wścibskim okiem publiczności i w razie czego być tej publiczności rzucanym na pożarcie.

Waldi urzędował w gabinecie na najwyższym piętrze Pałacu Namiestnikowskiego, niedaleko biura dokumentacji, jak oficjalnie nazywano kataryniarzy Kancelarii. Był jednym z czterech zastępców dyrektora Departamentu Zagranicznego Kancelarii, odpowiedzialnym za kontakty z ministerstwami nadzorującymi politykę zagraniczną. Telefon Gumy zastał go w momencie, kiedy opracowywał zesłaną tego dnia obiegową ankietę na temat planowanej na przyszły rok zmiany regulacji dopłat importowych.

Podstawą procesu decyzyjnego była bowiem kolektywność. Propozycja odnośnego ministra trafiała do sekretariatu URM, gdzie opracowywano według niej ankietę, rozsyłaną do wszystkich ministerstw, departamentów Kancelarii Państwa i zainteresowanych agend. Każda z nich zgłaszała tą drogą swoje poprawki i uzupełnienia. Na ich podstawie przygotowywano projekt, który trafiał pod obrady KERM-u i był rozsyłany ponownie, aż osiągnięto zgodę wszystkich resortów. Jednocześnie analogiczna procedura odbywała się w

Kancelarii. Gdy w końcu zaaprobowany wcześniej projekt trafiał na posiedzenie Rady Ministrów, nadanie mu rangi "Rozporządzenia" i zatwierdzenie przez panią prezydent było już tylko czczą formalnością.

Podobny obieg ankiet i projektów trwał w parlamencie, w agencjach skarbu państwa i centralnych biurach kierujących poszczególnymi gałęziami gospodarki. Przez ręce Waldiego przechodziła tylko drobna część opiniowanych projektów. Przygotowywał dla szefa Departamentu ich ostateczne wersje, nanosząc uwagi podległych jednostek na dane z opracowań przygotowanych przez researcherów.

Do jego zajęć należało także, o czym szef departamentu nie wiedział, choć zdawał się domyślać, dyskretny nadzór swego przełożonego z ramienia dyrektora sekretariatu pani prezydent.

Waldi awansował na swoje stanowisko stosunkowo niedawno i – co było w tych sferach rzadkością – nie był pewien, czy powinien się z tego awansu cieszyć. Przez cztery lata zajmował się, najpierw w województwie, a potem w ministerstwie, udzielaniem i kontrolowaniem koncesji na obrót nieruchomościami. To było jedno z lepszych miejsc, gdzie można się było znaleźć – ustępowało chyba tylko zamówieniom publicznym. Miał obadane wszystkie ważniejsze układy w kraju, od gliniarzy po katolickich patriotów – czy patriotycznych katolików? Nigdy nie pamiętał.

Ale to mu właśnie zaszkodziło; Budyń poszukiwał kogoś dobrze opatrzonego w układach i wyciągnął właśnie jego. Czasem myślał, że jednak mu się ten awans opłacił. Czasem, że nie. Najczęściej nie myślał nic, bo nie miał na to czasu.

Dyrektor sekretariatu, potocznie zwany Budyniem, naprawdę nazywał się Walerian Gudryń. Odłożywszy słuchawkę po telefonie Gumy, Waldi wstał i opuścił swój gabinet. W sekretariacie zapytał, czy Brzozowski nie zostawił namiaru, gdzie go łapać. Potem zaklął i połączył się z interkomu z sekretariatem Budynia, by go uprzedzić, że zaraz przyjdzie z nie cierpiącą zwłoki sprawą. Dowiedział się, że pan minister wyjechał. Zaklął po raz drugi i polecił sekretarce łapać Budynia w jakikolwiek bądź sposób, on bierze na siebie ewentualne pretensje.

Wrócił do siebie i podniósłszy słuchawkę telefonu, wystukał z pamięci siedmiocyfrowy numer.

– Żyła? Dobrze, że cię złapałem. Waldi mówi. Słuchaj, muszę cię prosić o drobną przysługę. Ktoś ryje koło pigułek. Jak to jakich? Tych ruskich, nie udawaj głupiego. Sprawa ma kryptonim Kuromaku. Pojęcia nie mam. Sprawdź, kto to nadał i w kogo chcą trzasnąć. Dzwoń do mnie, jak będziesz wiedział.

Ludziom się wydaje, że to sam miodzio, myślał ponuro. Że

siedzisz w rządowym gmachu, jeździsz czarną limuzyną i obżerasz kawiorem.

A tak naprawdę, to jest ciągła wojna i spacery po linie nad przepaścią. Sama robota, to już dość, żeby mieć zszarpane nerwy. O resort, o swoich ludzi trzeba dbać. Nie dać się wyprzedzać innym, no i pilnować, żeby nie wyszły jakieś przewały, do których mógłby się ktoś doczepić. Ale to wszystko nic w porównaniu z faktem, iż trzeba wciąż mieć w pamięci, kto jest pod kogo podwieszony, kto dla kogo i przeciwko komu pracuje. Nie należy też łamać zasad lojalności, bo to się może skończyć boleśnie. Z drugiej strony, prędzej czy później przychodzi taki moment, kiedy dalsze trzymanie się zasad lojalności zaczyna być głupotą, i trzeba umieć ten moment wyczuć.

Ludziom się wydaje, że oni, w Belwederze, w URM, w Firmie, są właścicielami tego kraju i mogą używać do woli. Tak to wygląda z samego dołu. Dawno temu, na studiach, Waldi też tak to widział. Potem doszedł do wniosku, że przywileje związane z przynależnością do elity ledwie rekompensują koszty: codzienną, nieludzko żmudną krzątaninę. Każdego dnia trzeba się spotkać z tym, tamtym i owym, wyczuć, jak się który ustawia, zareagować, jeśli trzeba, puścić sprawę dalej albo uciszyć. Ani na moment nie tracić czujności, bo w tej nieustannej, plemiennej wojnie, jaka toczy się o pozostanie na szczycie, nie ma wiecznych sojuszy ani raz na zawsze zamkniętych klanów. Waldi był lojalny wobec Gudrynia. Trochę było to kwestią przypadku. Trochę tego, że Awramowicz obstawiał się głównie działaczami studenckimi ze swoich lat na SGPiS, i Waldi, jako poznaniak, nie miałby u niego szansy zajść tak wysoko. Mówiło się, że Budyń ma za sobą poparcie generała-gubernatora, a Awramowicz Dumorieza. To nie było aż takie proste, w każdej konkretnej sprawie tworzyły się nieco odmienne napięcia, zwłaszcza na niższych szczeblach. Ale, generalnie, coś w tym uproszczeniu było i lęk Gumy, czy sprawa nie została aby nadana przez Dumorieza, wydał mu się wcale uzasadniony.

– Jest połączenie z dyrektorem Gudryniem, linia nie szyfrowana – odezwał się z interkomu głos sekretarki. -Łączę.

– Halo? Panie dyrektorze, tu Waldi.

– Co jest, do diabła? Nie mogliście chwilę zaczekać?

Sekretarka, stwierdziwszy, że numer telefonu komórkowego przybocznego sekretarza dyrektora jest zablokowany, postanowiła skorzystać z telefonu umieszczonego na stałe w przydzielonej mu limuzynie. Telefon ten był stacją przesyłu danych pokładowego komputera samochodu i umieszczono go tam na wypadek, gdyby jadący nim VIP potrzebował na gwałt jakichś danych do podjęcia nie cierpiącej zwłoki decyzji. Dał się używać do rozmów, ale w przeciwieństwie do aparatów rządówki pozbawiony był

kryptograficznego chipu.

– Ważna informacja. Proszę o telefon na szyfrowanej linii.

Odłożył słuchawkę. Po chwili przyboczny dyrektora od-dzwonił. Zwięźle przedstawił Budyniowi wiadomość Gumy i odłożył słuchawkę.

*

– Przekręć do mnie, jakbyś się czego dowiedział – poprosił Andrzej, gdy byli już w drzwiach. I dodał, dokładnie w taki sposób, w jaki bohaterowie mydlanych oper przypominali sobie właśnie to najważniejsze zdanie już w drzwiach wyjściowych. – A najlepiej się teraz załap do wywiadu albo kontrwywiadu. Jakbym tam miał znajomego kataryniarza… – machnął ręką to-bym-był-ho-ho-wira-cha, potem uniósł dłoń do czoła w niedbałej imitacji wojskowego salutu, odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Robert zostawił samochód na płatnym parkingu przed ratuszem i nie zamierzał go już ruszać. Stał przez chwilę przed drzwiami kawiarni, potem ruszył do przejścia przez ulicę, w stronę siedziby spółki. Ruszył wzdłuż ściany sklepów, zajmujących parter przyległego do placu wieżowca, ogarnięty przytłumionym odległością, basowym umpa-umpa z głośników wywieszonych nad wypożyczalnią kompaktów i wideodysków.

Myślami tkwił jeszcze w zakończonej przed chwilą rozmowie. Po kilkunastu krokach do pompowania basu dołączył się monotonny modulowany klekot elektronicznej perkusji, potem ciągnięte miarowo akordy gitar i keyboardów, a w końcu cienki głosik kastrata, miauczący bez końca w irytującym dla Roberta fasonie techno-giba: “Powiedz mała, czy byś dała, powiedz mała mi”. Do kontrwywiadu. Świetny pomysł. To by znaczyło: być naprawdę kimś. A jeśli się jest naprawdę kimś, to nie trzeba się martwić nawet zwiotczałą twarzą, pierwszymi zmarszczkami ani utratą pracy i sterownika. Co właściwie robią kataryniarze w kontrwywiadzie?

Ciekawa rzecz. Nigdy nad tym się nie zastanawiał. Dotąd, jeśli w ogóle o tym myślał, to wyobrażał sobie, że zbrojni w potęgę wspomagających ich macierzystych sieci tropią równie potężnie uzbrojonych hakerów strony przeciwnej. Ale to było zbyt komiksowe. Zapewne potrzebni są raczej do nieustannego przeczesywania własnych zbiorów i pilnowania ruchu, jaki się…

– Powiedz mała, czy byś dała, powiedz mała… – miauczały głośniki.

Zatrzymał się w pół kroku tuż obok głośniki walące prosto w uszy

powiedz mała powiedz mała pilnowania czy ktoś ależ tak rany boskie czy ktoś nie buszuje po sieci nie zbiera jakichś strzępków jak ci ruscy agenci wybierający zaoliwione szmaty ze śmietników O, w duszę. Strefy.

Jakby mu się coś spięło na krótko w mózgu, błyskawica i swąd.

Tygodnie jego krążenia po sieciach, obsesyjnego przerzucania danych o inwestycjach, przepatrywania przelewów bankowych, ruchu w archiwach notarialnych. Oczywiście, to było ogólnodostępne. Równie jak ceny baraniny w hitlerowskich sklepach. Ale jeśli istniał ktoś, czyim zadaniem było czuwać, czy w sieci nie porusza się ktoś budzący podejrzenia…

Powinien być. Musiał być. Dlaczego dotąd nigdy o tym nie pomyślał? Naturalnie, skoro nie możesz ochronić danych, bo jest ich tak wiele, że trzeba by utajniać praktycznie wszystko, to musisz skupić swą ochronę na pewnych kluczowych punktach. Mówił Andrzejowi, że na ochronie wejść, bramek. Ale równie dobrze można było skupić się na ogólnym kontrolowaniu ewidencji użytkowników, wyszukiwaniu tych, których poruszanie się po sieci odpowiada mniej więcej przewidywanemu profilowi człowieka podejrzanego.

Przecież to oczywiste. Strefy i zamknięcie InterDaty połączyły się z cichym kliknięciem w jedną, nierozerwalną całość, a Robert zdumiał się, jak mógł o tym nie pomyśleć.

– Powiedz mała, czy byś dała, powiedz mała… – piszczał mu wprost w uszy gwiazdor techno-giba, piąty tydzień na pierwszym miejscu listy bestsellerów CD, ale Robert nie słyszał go, podobnie jak nie zauważał mijających go ludzi i samochodów ani w ogóle nic oprócz zrujnowanego budynku jakieś sto metrów w perspektywie ulicy, gdzie czekało go za chwilę spotkanie z chłopcami z Firmy. Nie powinien się tego bać. Wiedział dobrze, co to jest Firma i wiedział, że jej ludzie groźni są nie wtedy, gdy przesłuchują albo aresztują, tylko gdy pojawiają się cichcem, w charakterze “nieznanych sprawców”.

Stał nieruchomo przez parę sekund, zanim maszyneria jego ciała nie zareagowała na błyskawicę, którą przed chwilą spięły się jego myśli. Jej echo pobiegło przez nerwy, podrywając gwałtownym alarmem pompy gruczołów dokrewnych, które, posłuszne rozkazowi, wstrzyknęły do żył potężną dawkę adrenaliny. Serce ruszyło szybciej, zaczęło wzrastać ciśnienie krwi w zwężanych gwałtownie żyłach i tętnicach. Hasło alarmu obiegło całą maszynerię i wróciło echem do mózgu, uruchamiając w nim jakieś dodatkowe serwery, jakieś wspomaganie, i po tych kilku sekundach myśli Roberta, patrzącego na widoczną już za rogiem siedzibę InterDaty, nabrały rzadkiej jasności oraz precyzji.

*

Co do miejsc i towarzystw, w których Robert nigdy by się nie chciał znaleźć, to ambasador nadzwyczajny i pełnomocny prezydenta-imperatora Wszechrosji, Michaiła I, podejmował właśnie w swojej rezydencji przybyłych wprost z wielkiej manifestacji na Starym Mieście przywódców siedmiu zrzeszonych pod przewodnictwem prezesa Sicińskiego central związkowych, gratulując im udanej ogólnopolskiej akcji protestacyjnej w obronie ludzi pracy. Nie było to żadne oficjalne spotkanie, dlatego nie znalazło się w wydruku z agencji prasowej, którym posługiwali się redaktorzy prowadzący kolegia; a zresztą gdyby nawet się znalazło, dziennikarze nie mieliby z nim co zrobić. Na spotkaniu nie przewidywano żadnych przemówień, nie zamierzano wydawać po nim komunikatu, krótko mówiąc – nie dostarczało ono żadnego niusa. Bo fakt, że przywódcy związków spotkali się z generałem-gubernatorem Paskudnikowem nie był żadnym, ale to żadnym niusem.

Z generałem-gubernatorem spotykali się wszyscy, nie wyłączając przywódców Zjednoczonego Obozu Katolicko-Patriotycznego. Każdego wieczora u generała-gubernatora Paskudnikowa wystawiano szwedzki stół, ciągnący się przez trzy sale, każdego dnia wywożono setki butelek po najprzedniejszych trunkach, każdego dnia wreszcie przy owym szwedzkim stole i zawartości owych butelek czołowi intelektualiści i autorytety moralne spotykali się z przywódcami głównych partii i central związkowych, szefowie socjaldemokratów układali się z szefami liberałów, osobisty sekretarz pani prezydent wymieniał uwagi z Jego Eminencją, były premier z przyszłym, a gwiazdy ekranów spełniały toasty z redaktorami naczelnymi, posłami i ministrami. Każdy zaś czekał z utęsknieniem, czy aby właśnie do niego nie podejdzie dyskretnie któryś z bardzo eleganckich i bardzo *charmant* przybocznych generała-gubernatora, i nie zakomunikuje, że Ambasador pozwala sobie prosić w drobnej sprawie na stronę. Szczęśliwcy, którym się to przydarzało, rozpływając się w ależ-ależ, odprowadzani zawistnymi spojrzeniami, podążali za przybocznym do małego, bocznego saloniku, gdzie pod gipsowymi stiukami nafaszerowano ściany antypodsłuchowymi obwodami tempestu i gdzie generał-gubernator zwykł odbywać prywatne rozmowy. Czasem ową poufną sprawą było podziękowanie za jakąś wyświadczoną przysługę, czasem prośba o wyświadczenie takowej, czasem chęć zasięgnięcia informacji lub poznania opinii rozmówcy na taki a taki temat, a czasem wysondowanie, jak jego partia, związek czy grono przyjaciół postąpiłyby, gdyby zdarzyło się to i owo. Czasem też zdarzało się, że żadnej drobnej sprawy nie było i generał-gubernator rozmawiał z

gościem przez kilkanaście minut o niczym, tylko po to, by podtrzymać jego reputację w oczach innych swych gości.

Krótko mówiąc, rezydencja generała-gubernatora była od niejakiego czasu miejscem spotkań całej elity i jeśli ktoś nie bywał tam przynajmniej te dwa-trzy razy w miesiącu, to widać po prostu nic nie znaczył.

Owe spotkania zaczynały się zazwyczaj wieczorem i trwały do północy, jednak tego dnia wieczór zajęty był uroczystym podpisywaniem Umowy Społecznej, a ambasador Imperatora Wszechrosji nie chciał, aby szefowie central związkowych odnieśli wrażenie, iż ich sukces nie został doceniony. Dlatego też zestawiono stoły o nietypowej, wczesnopopołudniowej porze.

I podczas gdy Robert stał w korku, klnąc na czym świat stoi tę samą manifestację, która przysparzała tyle złośliwej satysfakcji spiżowemu królowi, pod bramą rezydencji generała-gubernatora zatrzymywały się jedna po drugiej czarne limuzyny, z których wysiadali związkowi bossowie w nienagannie skrojonych garniturach. Przyboczni generała-gubernatora, bardzo eleganccy i bardzo *charmant*, prowadzili ich do reprezentacyjnych pokojów, gdzie bezpieczni od zawistnych uszu, a przede wszystkim od kamer i mikrofonów, liderzy klasy robotniczej skracali sobie oczekiwanie na gospodarza rozmową o interesach, o kursach akcji i o polityce. Potem generał-gubernator pojawił się powitać gości i wznieść symboliczny toast, w którym podkreślił niezwykłą wagę pełnionej przez nich społecznej i cywilizacyjnej misji oraz szczególną troskę prezydenta-imperatora Wszechrosji o przestrzeganie w Polsce praw ludzi pracy, a jeszcze potem zniknął w bocznym saloniku, do którego przyboczni zaprosili najpierw prezesa Sicińskiego, a potem po kolei szefów poszczególnych central w kolejności starannie przez nich notowanej w pamięci i długo potem analizowanej.

W tym samym czasie sir Camembert, przewodniczący Komisji Wspólnot Europejskich, wprost z briefmgu na lotniskowym terminalu przybył na zaaranżowane naprędce spotkanie w siedzibie polskiego przedstawicielstwa Wspólnot, na które zaproszono co ważniejszych członków stowarzyszeń biznesu, a także niektórych biznesmenów nie stowarzyszonych. Spotkanie miało charakter roboczy, nie przewidywano po nim żadnego komunikatu, w związku z czym nie zapraszano na nie obsługi reporterskiej, bo i po co, skoro i tak nie miałaby żadnego niusa. Fakt bowiem, że takie akurat grono zebrało się w przedstawicielstwie Wspólnot nie był akurat żadnym niusem, gdyż wczesnymi popołudniami w przedstawicielstwie zawsze załatwiano ważne sprawy i kto, jak mówiono, u Dumorieza, nie bywał przynajmniej te dwa-trzy razy w miesiącu, ten widać w ogóle się nie liczył.

Sir Camembert w towarzystwie Charlesa Francois Dumorieza oraz swego sekretarza pojawił się w sali, gdzie czekający nań szefowie holdingów, spółek i przedstawicielstw skracali sobie oczekiwanie dyskusjami o polityce, Gwarancjach Socjalnych, a trochę także o spowodowanej czynnikami obiektywnymi nieobecności szefa Roberta, i wygłosił krótki toast, w którym podkreślił niezwykłą wagę społecznej i cywilizacyjnej misji pełnionej przez jego gości. Wyszedłszy od owej misji, podkreślił następnie szczególną troskę, jaką Wspólnoty Europejskie darzą rozwój polskiego sektora prywatnego i zapewnił, wzbudzając tym oklaski, że dołożą one wszelkich starań, aby zrozumiała troska o przestrzeganie w Polsce praw ludzi pracy nie zaszkodziła interesom ludzi biznesu. Dlatego też, zapewnił, właśnie te przedsiębiorstwa, które ułożą sobie prawdziwie partnerskie stosunki ze związkami, będą mogły w pierwszej kolejności korzystać z przywiezionych przez niego dodatkowych kredytów, a także z preferencji przy zawieraniu kontraktów i ubieganiu się o kontyngenty importowe do Europy. Idzie o to, wyjaśnił krótko sir Camembert, budząc tym po raz kolejny falę oklasków, aby dobrze funkcjonująca w firmie organizacja związkowa była dla przedsiębiorcy najbardziej opłacalną inwestycją.

Następnie jego sekretarz i Dumoriez zniknęli w jednej z małych sal, dokąd krążący po sali pracownicy przedstawicielstwa w nienagannie skrojonych garniturach zapraszali na chwilę niektórych spośród stowarzyszonych i nie stowarzyszonych biznesmenów w kolejności, jaką pozostali starannie notowali sobie w pamięci. Sam sir Camembert trzymał w tym czasie w ręku wysoki kieliszek i starał się wymienić z każdym z gości po kilka grzecznościowych zdań.

Wszystko to nie trwało jednak długo, bowiem i gospodarze, i goście mieli jeszcze w tym dniu zaplanowane ważne zajęcia. Mniej więcej po godzinie zatem działacze związkowi zaczęli wycofywać się do czarnych limuzyn, a biznesmeni do sportowych wozów o modnej linii, po czym ci pierwsi wyruszyli, okrężną drogą, by nie zjawić się przed godziną zaproszenia, w kierunku przedstawicielstwa Wspólnot Europejskich, zaś ci drudzy, drogą równie okrężną, ku rezydencji generała-gubernatora Paskudnikowa.

*

– Naczekałem się na pana… Ale nie, proszę sobie nie robić wyrzutów. – Siwawy poklepał dobrodusznie górną krawędź leżącego przed nim notebooka. – Miałem bardzo ciekawą lekturę. Poczytałem

sobie o panu. Nawet pana trochę polubiłem.

W ciągu kilku minut, strawionych na przechadzaniu się pod zrujnowaną siedzibą spółki, Robert zdołał znaleźć w swojej hipotezie szereg logicznych dziur i sprzeczności. Pomimo to jednak nadal pozostawała ona niepokojąco sensowna. Jeśli istotnie to jego penetracje w wirtualnych labiryntach systemów Tamtego Świata ściągnęły nań uwagę kontrwywiadu czy kogoś takiego, to dlaczego – jak twierdził Andrzej – nadał on sprawę UOP-owi, zamiast działać samemu? Dlaczego kazał aresztować, jeśli nie można tu było mówić o złamaniu jakiegokolwiek prawa, i dlaczego kazał aresztować akurat Prezesa, skoro ten nie miał już w ogóle nic do sprawy?

Najprawdopodobniej nie odczytali jeszcze zapisów sterownika, do tego potrzebowali fachowców, których nie było tak znowu wielu. Ale czy bez tego nie mogli dowiedzieć się, który z kataryniarzy InterDaty, konkretnie, był tak ciekawy? Można to było wyjaśnić, jeśli jego ruchy w jakiś sposób zgrywały się z działaniami innych researcherów spółki i zostały uznane za fragment większej, koordynowanej przez nią pracy.

Uświadomił sobie, że się boi. Uświadomił to sobie w chwili, gdy minąwszy usłużnego, bysiorowatego blondasa dostrzegł przez otwarte drzwi swojego pokoju facetów grzebiących w trzewiach ich kataryniarskich komputerów.

To było nie w porządku. Nie potrafił nazwać tego uczucia, ale nie powinni wsadzać łap do ich sprzętu. Poczuł się, jak gdyby na jego oczach banda osiłków najbezczelniej w świecie obmacywała mu kobietę, drwiąc z jego bezsilności.

– Tak, mam tu o panu naprawdę sporo. – Siwawy przedstawił mu się jako major Wasiak. Mógł być równie dobrze porucznikiem Zielińskim albo generałem Shtetke, ale w końcu chodziło tylko o ułatwienie rozmowy. – Widzi pan, u nas nic nie ginie. Niech pan powie: domyśla się pan, kto wtedy na pana kapował?

– Powinien pan jeszcze powiedzieć, że wiecie o mnie wszystko i udowodnić to informacją, co robiłem w piątek trzynastego czerwca między siedemnastą a siedemnastą piętnaście. I w której toalecie. Niech mnie pan nie straszy, panie majorze. Ja już umieram ze strachu. Niech pan pyta, co pana interesuje.

Zastanawiał się przed wejściem, czy nie powinien zadzwonić do Wiktorii, ale to było właśnie to, czego nie wolno mu było robić. Jeśli się wydarzy coś złego, jego żona dowie się o tym i tak. Jeśli nie, po co ma się niepokoić.

Jeśli zdarzy się coś złego. Nie chciał, żeby zdarzyło się coś złego.

Potwornie tego nie chciał.

– O co ja mam pana pytać? My wszystko wiemy. Nie po to daliśmy panu okazję tej rozmowy, żeby pana o coś pytać.

– Okazję do rozmowy?

– Oczywiście. Przecież mogliśmy pana wyjąć rano z domu, prawda? Zawieźć na Fabrykę, przesłuchać jak należy, z protokołem. Potrzymać na dołku, gdyby było trzeba. No, niech się pan zastanowi: co nam szkodziło tak zrobić?

– Niech pan mówi. Słucham.

– Niech pan zgadnie. Spróbuje przynajmniej.

– Nie wiem. Może jesteście tacy delikatni, chcieliście oszczędzić stresu mojej żonie.

– Pańską żonę mogą spotkać w najbliższym czasie silniejsze stresy. Nie. To by się zaraz rozniosło. Zamknęli kataryniarza, patrzcie, coś nowego, ciekawe, o co jest oskarżony. A nuż by się okazało, że uznamy pana za rozsądnego człowieka i wypuścimy. To jeszcze gorzej, zamknęli to zamknęli, ale dlaczego wypuścili?! Domysły, plotki, kwasy w środowisku, potrafi pan to sobie wyobrazić? Więc cóż, zwinęliśmy tylko prezesa, każdy pomyśli, a, narobił przekrętów, żadna sensacja. Coś tam zapłaci i wyjdzie. Może przy okazji wyjdą jakieś jego powiązania, o których nie wiedzieliśmy. Zawsze się przyda. A przy okazji przeszukanie, przesłuchania pracowników… rutyna. Spyta pana ktoś, o czym rozmawialiśmy, a, o niczym, powie pan. Formalności.

– Czuję się zobowiązany. Naprawdę.

– Pan nie rozumie swojej sytuacji – Siwawy pokręcił z żalem głową. – Zupełnie pan jej nie rozumie.

– Tak, to prawda. – Krzesło stawało się coraz bardziej niewygodne. – Nie rozumiem. Proszę mi wreszcie wyjaśnić, o co chodzi.

Siwawy przyglądał mu się smutnym wzrokiem.

– Pan by mógł być moim synem – rzucił ni z tego, ni z owego, po czym, nie dając mu ani chwili na skomentowanie tego stwierdzenia, powrócił do urzędowego tonu. -Chodzi o to, że dotąd się pan jeszcze z nami nie zetknął. Nie wie pan, kim jesteśmy naprawdę ani czego chcemy. Ani dlaczego dotąd pan ze mną nie rozmawiał. Nie zastanawia to pana? Proszę – jednym ruchem ręki obrócił stojący na biurku notebook, ekranem w jego stronę. – Wszystko, ile sztuk, kiedy, od kogo, komu dostarczone. Co do dnia. Państwowe wydawnictwa nie potrafiłyby się tak dobrze wyliczyć z każdego egzemplarza, jak my mogliśmy was wtedy wyliczyć. No, niechże pan spojrzy, proszę!

Wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Nie wolno mu nawet raz zerknąć na ekran, bo na pewno było właśnie tak, jak Siwawy mówił.

– Wierzę panu – odrzekł, starannie omijając ekran wzrokiem.

– Nie. Nie wierzy pan. Oczywiście, że pan nie wierzy. Ale przekona się pan, w najbardziej niespodziewanej chwili.

Nie odwracał notebooka z powrotem. Robert bronił się rozpaczliwie przed tą myślą, ale z wolna opanowywała go irracjonalna

pewność, że tej nocy Wiktoria będzie zasypiać sama w pustym łóżku.

– No więc, jak to jest, dlaczego wtedy się nie spotkaliśmy? Dlaczego dopiero dzisiaj, po tylu latach?

– Niech pan da spokój z tymi zagadkami. Nie wiem. Proszę mówić.

– Nie chce pan zgadywać. Szkoda. Byłem ciekaw. Może by pan powiedział tak: "Gdybyśmy rozmawiali wtedy, i tak nic by do mnie nie docierało". Prawda, byłoby tak? Pan wtedy wierzył, jak wszyscy tacy chłopcy. Za swoich idoli dałby się pan pokroić i ugotować żywcem. Oni byli święci i walczyli o Polskę. A ja byłem sługus sowieckiego imperium, które pana niewoliło. A Polska była – rozłożył szeroko ręce, wznosząc wzrok ku górze – a Polska była, Boże mój, jaka wspaniała. Dla tej Polski był pan gotów zrobić wszystko, całym swoim gorącym serduszkiem.

Wytrzymał spojrzenie Siwawego przez kilka sekund, a potem opuścił oczy, by go nie zdradziły. Wzrok Roberta zabłądził na wyświetlacz notebooka i zanim zdążył go odwrócić, pochwycił charakterystyczny układ graficzny interfejsu bazy danych i kilka nazwisk, splątanych z życiem Tamtego Roberta.

– A teraz, nawet nie muszę zgadywać. Już pan to przecież odkrył, że to nie byli herosi. Że nie kochali się w Polsce, tak jak pan. Teraz jest pan bezbronny, jak ślimak wyłuskany ze skorupki. I teraz możemy rozmawiać.

Siwawy sięgnął po szklankę.

– Gdybyśmy się wtedy spotkali, to wtedy mógłbym panu powiedzieć tylko dokładnie to samo, co dziś. Że świat jest wypadkową ludzkich interesów i nie ma go co idealizować. Mnie zawsze tacy ludzie jak pan fascynowali. Tak, naprawdę. A miałem możliwość się wam naprzyglądać, jak mało kto. Może mi pan wierzyć. Fascynowało mnie, dlaczego ludzie chcą iść pod prąd historii, pod prąd społecznych napięć. Skąd się bierze ten samobójczy instynkt? I wie pan – Siwiawy ożywił się, nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby dosiadł swego ulubionego konika i w ogóle zapomniał, o czym i po co jest ta cała rozmowa. – Okazało się, że to jest bardzo proste. Jesteście ludźmi, którymi rządzi pierwsze uczucie. Pierwsze prawdziwe wzruszenie, jakiego doznaliście w życiu. Ten moment, kiedy człowiek nagle poczuje w sobie tę… jak to nazwać? Wzniosłość? Sprawę? Coś mu drgnie w duszy i na całe życie jest już niewolnikiem tej chwili. Pan to musiał poczuć w jakimś kościele. 11 listopada? 3 maj? Pamięci ofiar Katynia, Powstania Warszawskiego czy czegoś tam jeszcze. ZOMO pod kościołem, Boże coś Polskę i sam Wszechmogący osobiście pomiędzy ludem swym. I już, jeszcze jeden wpadł po uszy. Trafiony, zatopiony. Ja to sobie potrafię wyobrazić, uwierzy pan? A niech pan tak pomyśli: inne czasy, inna rodzina, jakieś małe, zawszone miasteczko. I nie

kościół, nie Katyń, tylko czerwone szturmówki, gdy naród do boju, walka o postęp i szczęście ludzkości, pierdoły…

Siwawy westchnął i znowu przez długą chwilę wiercił wzrokiem w jego twarzy, podziwiając swą robotę.

– Dla mnie to to samo, dokładnie. Wszystko zależy, gdzie się pierwszy raz w życiu naprawdę wzruszycie. Jesteście tacy sami idioci, identyczni. Pożyteczni w sumie, ale idioci. Tacy, co zawsze robią rewolucje i potem pierwsi padają ich ofiarą. – Odczekał chwilę. – A czasem gorzej. Czasem pewnego dnia uświadamiają sobie, że zmarnowali życie. Zamiast obracać dziwki i robić kasę, walczyli za sprawę, a okazało się, że tylko napchali forsą różnych cwaniaczków. Już pan to sobie uświadomił, czy musimy jeszcze z tą rozmową poczekać? Postanowił pan milczeć, prawda?

Tak. Robert postanowił milczeć.

– Może ja się mylę? Niech pan się w wolnej chwili zastanowi: dlaczego pan nie może się uwolnić od tego swojego pierwszego wzruszenia? Dlaczego pan musiał odejść z Belwederu, wcale nie wiedząc, że trafi tutaj, zrezygnować z kataryniarstwa, z pieniędzy?

– Pani prezydent nie jest w moim typie. Po prostu.

– Och, jakie słodkie kłamstewko – uśmiechnął się Siwawy, wydymając usta, jakby przekomarzał się z dzieckiem. – A tamten był w pańskim typie? Sam pan mówił, że temu człowiekowi o nic w życiu innego nie chodziło, tylko żeby grać. Grać sobie ludźmi w klipy. Podrzucać ich i podrzucać, napuszczać na siebie, raz wesprzeć tego, raz tamtego… Powinien pan go znienawidzić. Właśnie jego. A nie czepiać się tej biednej kobiety.

– Za co bym go miał nienawidzić? – spytał ciężkim głosem Robert. – Chcieli go ograć, on się nie dawał. Nauczył się, że każdy, kto jest w pobliżu, chce go oszukać, załatwić, podjechać na jego grzbiecie i kopnąć w tyłek. Bo zawsze wszyscy go mieli za robola, którego można użyć. To jest cała tajemnica, jeśli jeszcze kogoś ona interesuje. Wpędzili go w paranoję, po prostu.

A jednak Siwawy się mylił, myślał jednocześnie. Do Belwederu trafił nie z żadnej innej przyczyny, tylko dlatego, że był tam jego kumpel. To znaczy: dlatego, że on, Robert, był w notesie tego kumpla. Tak w Polsce było. Wakuje stanowisko, trzeba ułożyć listę wyborczą, obsadzić bank, ministerstwo, Kancelarię, wysłać kogoś na zagraniczne stypendium – patrzymy w notes. Spółki, partie, departamenty, wszystko powyrastało z notesów. Dlatego się znalazł w monitoringu; to, co myślał o panu prezydencie, nie miało żadnego znaczenia. I dlatego został kataryniarzem: Stefek, Rysiu, Zdzisiu, jest tu taki kurs, nie macie jakiegoś naszego człowieka ze smykała do komputerów?

– Poprawka – Siwawy uniósł w górę palec. – To ich pan powinien nienawidzić. Prawda? Pan wie, o kim myślę. Dałby się pan za nich

pokroić. Wyniósł ich pan, z całą kupą podobnych sobie idiotów, do władzy. A co oni wtedy? A oni wtedy wam pokazali wała. Powiedzieli: dość. W tym miejscu tramwaj się zatrzymuje. Dołączamy do sitwy i od tej pory to już jest także nasza sitwa. A wy albo przyjmujecie reguły gry, albo stajecie się od dziś naszymi wrogami.

– Tak, ma pan rację. Powinienem ich nienawidzić. Kiedyś nienawidziłem. Ale potem doszedłem do wniosku, że właściwie nie mogę mieć pretensji. To myśmy sobie wymyślili, że to bohaterowie. Znaliśmy tylko ich nazwiska i to, że komuniści wsadzali ich do więzień i opluwali w "Trybunie". Resztę już sobie wymarzyliśmy sami.

– A to byli tylko tatusiowi synkowie – uśmiechnął się szeroko major. – Zbuntowani przeciwko tatusiom, ale przecież nie aż tak, żeby chcieć ich skrzywdzić.

Siwawy odsunął się na oparcie fotela, w którym na co-dzień zasiadał prezes InterDaty i przez dłuższą chwilę bawił się w milczeniu szklanką. Niedługo. Tylko tyle, żeby dać Robertowi czas na uświadomienie sobie, że jednak zdołał go wciągnąć w rozmowę.

*

Po odpowiedź na pytanie Siwawego, dlaczego Robert nie potrafił zapomnieć o swych pierwszych wzruszeniach, najprościej było pojechać do małej miejscowości nad błotnistym brzegiem Wisły. Bliskość tego brzegu widać było po rysach, przeszywających ściany starszych domów, po pochyleniu stodół i magazynów. Podmokły, stale osiadający grunt wykoślawiał każde dzieło ludzkich rąk, wykrzywiał i przyginał ku ziemi stawiane z mozołem budowle, jakby na wszystkim chciał zaznaczyć upływ czasu.

Udało mu się to zwłaszcza na miejscowym cmentarzu, gdzie chyba żaden z krzyży, porastających schodzący łagodnie ku Wiśle stok, nie zdołał zachować pionu. Nawet te drogie, kamienne, wsparte na zeszlifowanej tablicy, grubej płycie i cementowym postumencie prędzej czy później musiały pochylić się w hołdzie dla mijających nieubłaganie dni i lat.

Pod takim właśnie pochylonym przez czas kamiennym krzyżem spoczywał Ojciec Kataryniarza.

Ale choć minęło już wiele lat, odkąd został zamknięty w dębowej skrzyni i nakryty marmurową płytą, władza, jaką sprawował nad swym synem, nie zmniejszała się. Przeciwnie. Rosła. Z martwym ojcem nie można już dyskutować, pozostaje niezmienny w swych wyrokach, dokładnie co do słowa takich, jakimi zapadły w pamięci,

gdzie przychodziło szukać ich rozpaczliwie w ciężkich chwilach.

Jeśli Robert mógł mieć do kogoś pretensje, to powinien mieć je właśnie do ojca. Że zmusił go, by taki właśnie był, że od małego nabijał mu głowę Somossierami i klasztornymi górami, że kazał mu wychowywać się wśród Wołodyjowskich i Chrobrych, palić świeczki wpuszczonym w kanał powstańcom i mordowanym strzałami w potylicę akowcom, klękać na rocznicowych nabożeństwach, przechowywać legionowe odznaki dziadka i pamięć o jego więzieniu, o rozkułaczaniu i ruskich rządach w czterdziestym piątym – słowem, że wszczepił mu najgłębszą, niewypowiedzianą i wstydliwie ukrywaną miłość do tego wszystkiego, co Szczepana Mirka, Literata, podrywało dreszczem furii. Powinien mu wyrzucać, że pchnął go na tę drogę, że nauczył go tysiąca przeszkadzających w życiu rzeczy i tylko nie powiedział jednego: po co. Po co to wszystko, co z tego przyjdzie jemu, światu, czy, jak to powszechnie mawiano, "temu krajowi".

Ale nie potrafił mieć o to żalu. Poza wszystkim, najbardziej niezwykłe nawet dla niego samego było to, że Ojciec nigdy niczego mu nie nakazał. Nigdy go do niczego nie zmusił. Nie dał mu szansy na bunt, którego pewnie miał w duszy pod dostatkiem, by, jeżeli inaczej by się ułożyło, stanąć staremu okoniem i pójść swoją drogą. Ale jego stary, tak zdawałoby się poczciwy i niewprawny w międzyludzkich rozgrywkach, wiecznie okpiwany i oszukiwany przez całą tą bandę biurew i partyjniaków, z którą musiał się co dnia użerać i która skróciła mu życie -ten jego poczciwy stary okazał się tak przebiegły, że nie dał synowi najmniejszego ruchu, podporządkował go sobie bez reszty, całkowicie. Nie krzykiem ani biciem, choć, oczywiście, zdarzyło mu się sięgać po pas i Robert musiał potem przyznać, że zawsze słusznie. Ale nie. Podporządkował go sobie tym niepowtarzalnym, niezwykłym uczuciem, na które ludzka mowa nie zna nazwy, a które istnieć może tylko pomiędzy ojcem a synem.

W każdej sprawie, w każdej sytuacji zdawał się tylko powtarzać mu samym spojrzeniem: synu, pozwól mi być z ciebie dumnym.

Nie ma większego szczęścia na świecie niż duma własnego ojca. Niż jego zmęczone, poczciwe oczy i te słowa: mój syn, mój syn. Nie było rzeczy, której Robert nie potrafiłby zrobić, gdyby w zamian jeszcze choć raz mógł poczuć dłoń Ojca na ramieniu i usłyszeć te słowa.

Nie narzucał mu wielkich zadań. Nie stawiał wymagań, które mogłyby przerazić i załamać. Był tylko z niego dumny, jeśli zrobił coś dobrego, i tym zdobył sobie na syna większy wpływ, niż jakimikolwiek rozkazami. Kiedy Robert wydrukował swój pierwszy tekst, Ojciec wykupił gazetę ze wszystkich okolicznych kiosków. Kiedy opowiadał o swoim dniu, kiedy zdawał egzaminy, i kiedy przynosił do domu pochwały w dzienniczku, kiedy zarobił pierwsze pieniądze i

kiedy z radia sami zgłosili się go namawiać do pracy, i kiedy po raz pierwszy przyprowadził do domu Wiktorię – zawsze mógł liczyć na ten błysk aprobaty w szarych, zmęczonych oczach, na znak ojcowskiej dumy. Nic na świecie nie było ważniejsze. Jeśli w którymś momencie ojcowskiej aprobaty zabrakło, albo wydawała mu się mniejsza, wiedział już sam, że trzeba się wysilić, postarać, szukał sposobu, rzucał się do pracy, byle tylko zasłużyć na jeszcze więcej, byle tylko dać Ojcu satysfakcję z syna, a sobie to poczucie spełnienia oczekiwań. Pierwsza rzecz, o której myślał rzucając się w wir wydarzeń, to było, jak Ojciec to odbierze, czy mu się spodoba, czy będzie z tego dumny – och, jak ten stary poczciwiec mógł być aż tak przebiegły, że tak go przenicował, ugniótł w palcach jak wosk na swą wierną, młodszą o trzydzieści parę lat kopię! Nie mógł być aż tak sprytny, musiał to po prostu mieć we krwi, zresztą co to ma za znaczenie -ważne, że Robertowi wystarczyło do dziś pomyśleć o Ojcu, a znów stawał się bezbronnym, zdanym na niego małym chłopcem i choć minęło tyle lat, natychmiast czuł jak pod krawędzią powieki wzbierają ciężkie, gorzkie łzy, bo ponad te szczęśliwe chwile przebijał w pamięci moment, gdy nagle to stare, poczciwe serce eksplodowało mu w piersiach i Ojciec opuścił go w jednej chwili, tak nagle, że Robertowi nigdy nie udało się do końca otrząsnąć z szoku.

Zdawało się, że Ojciec nie miał w sobie żadnej z tych cech, które mogą człowieka uczynić w oczach syna bohaterem. Nie był ani wodzem, ani wojownikiem, nie zdobył sławy, nie zrobił kariery, nie dorobił się pieniędzy. Wiedział, że dla ludzi, którzy wierzą w to, w co on wierzył święcie, dla ludzi, którzy brzydzą się kłamstwem, lizusostwem, podłością, wszystkie stanowiska powyżej kierownika budowy będą w “tym kraju” na zawsze zamknięte -i godził się zapłacić tę cenę za swoją wiarę i swoje obrzydzenie.

Potem, kiedyś, Robert spotkał człowieka, który studiował razem z Ojcem i dowiedział się, jak to wyglądało: Ojciec wkuwał wszystko na pamięć, z chłopską zawziętością i uporem. Nie był specjalnie zdolny. Był uparty i niezmożony jak wół, i takie miał życie: sześćdziesiąt lat nieustannej orki, twardego, mozolnego wspinania się do celu. Syn rozkułaczonego, sanacyjnego sołtysa, rzucony we wrogi świat, za cel postawił sobie tyle, żeby wywalczyć swoje miejsce w życiu, mieć żonę i wielu synów, zarobić na nich, posłać ich na studia i patrzeć z dumą, jak rosną. I osiągnął to, kosztem codziennej, twardej orki, ciągnął ten wózek, coraz bardziej zmęczony, i kiedy przychodził po pracy, zasypiał zaraz na fotelu, głowa opadała mu do tyłu, męczył się, ale nie chciał się położyć, nie chciał się przyznać, że jest już aż tak zmęczony. I jeszcze miał tylko tyle siły, żeby uczyć Roberta tej staroświeckiej, zapomnianej już wiedzy, co to jest Ojczyzna. A kiedy Jaruzelski wyprowadził przeciwko tej Ojczyźnie czołgi na ulice, przejął się tak,

że w końcu musiał iść do lekarza. Schował wyniki badań, i wtedy, i potem, nie chciał za nic iść do szpitala, nie godził się na bezradność, na zniedołężnienie, nie przyznawał się do niczego, tylko ciągnął, ciągnął pod górę, z tą swoją niezmożoną, chłopską zawziętością, aż biedne stare serce nie wytrzymało tego wysiłku i pękło niczym stara dętka – i odszedł w jednej chwili jak ścięte drzewo, jak pewnie chciał umrzeć, skoro już było trzeba. I pozostała tylko ta marmurowa płyta i pochyły krzyż, gdzie Robert z rzadka, gdy mógł sobie pozwolić na wyjazd z miasta, tkwił nie potrafiąc zrozumieć, że Ojca już nie ma. Jakby to było wczoraj.

Ogarniała go zimna furia, ilekroć pomyślał, że gdyby to się stało gdziekolwiek indziej, w jakimkolwiek cywilizowanym kraju, Ojciec w najlepsze żyłby do dziś. Zrobiliby mu bypass, usunęli tętniaka, zaszyli, to nie była trudna operacja. Tylko nie tu, nie dla bezpłatnej i powszechnej służby zdrowia, największej ze zdobyczy socjalizmu. I Robert wiedział, że tak naprawdę jego Ojciec nie umarł na serce, tak naprawdę umarł na socjalizm.

I to była pierwsza pozycja w długim, długim rachunku, który miał czerwonym do wystawienia Tamten Robert, przed wszystkim innym. Gdyby Ojciec miał naprawdę być z niego dumny, i jeszcze raz kiedyś tam, gdy już się spotkają, położyć mu rękę na ramieniu, musiałby umieć ten rachunek zamknąć i wyrównać.

Nie potrafił tego. Nie umiał znaleźć winnych. Wszystko jakoś się rozpłynęło, cały świat, cegiełka po cegiełce, obrócił się przed jego oczami, pokazując tę drugą, oślizłą od gówna stronę, wszyscy naraz pozamieniali się czapkami, zginęło dobro i zło, a jego gniew zatonął w tym gnojowisku i zgasł z sykiem. Zrozumiał, że po prostu inaczej być nie mogło, że taki był wyrok ślepych bogów, którzy rządzą losami narodów. Zabrakło mu siły, zabrakło wiary, pozostał tylko żal, ból, rozpaczliwe powtarzanie sobie, że przecież, co on może, co on może zrobić sam, i gorzka świadomość, że nie dał rady wyrównać tego rachunku, że zawiódł i na pewno nie zasłużył na ojcowską dumę.

*

– Widzi pan? – ciągnął Siwawy. – Na świat nie ma się co gniewać. A na ludzi tym bardziej. Tak naprawdę robią tylko to, co logicznie wynika z ich położenia, sytuacji, lepiej lub gorzej uświadamianego grupowego interesu. Ubierają to w różne słowa, dopisują do swych zachowań różne wzniosłe ideologie, ale co tak naprawdę pod nimi tkwi? Instynkty. Idealiści są tolerowani, kiedy dostarczają komuś alibi,

pozwalają myśleć, że nie, wcale nie jest tak, że my chcemy dogodzić sobie kosztem innych, my to wszystko tak w imię dobra i szczęścia, proszę, nasz prorok to potwierdza. Aż prorok zacznie marudzić i naprzykrzać się, wtedy go w łeb i pod buty.

Przerwał na dłuższą chwilę, może czekając na sprzeciw, a może dla zaznaczenia, że wątek został wyczerpany.

– No, ale wróćmy do naszej sprawy – podjął po chwili. – Dlaczego się spotykamy teraz, po tylu latach? Można jeszcze inaczej. Proszę pomyśleć. Wtedy, przed laty, byłby pan do mnie jeszcze bardziej uprzedzony niż teraz. Bo uważałby pan, że służę komunistom. Że my wszyscy służymy komunizmowi.

– Anie?

– Nie. Komunizm, demokracja, ten prezydent czy tamte… a my jesteśmy. Prawda o Firmie jest taka: Firma służy sobie samej. Dlatego ja i moi przyjaciele jesteśmy lepsi od głupców, jakim był pan w młodości, i dlatego stoimy wyżej niż motłoch, który nigdy nie zrozumie, o co w życiu chodzi. Dzięki takim jak pan, ten motłoch wierzy, że wybiera sobie władzę, że panuje nad sytuacją, że rozumie świat, i doskonale, niech sobie wierzy. Niech dureń, któremu dla picu dano w szkole jakiś papierek, myśli sobie, że może kontrolować ludzi, którzy zarządzają bankami, sieciami komputerowymi, administracją, gospodarką. Ale pan nie jest durniem i pan wie, że to opium dla mas. Zawsze byli i będą ci lepsi, wtajemniczeni. I oni zawsze będą wygrywać. Firma zawsze będzie wygrywać.

– Jakoś wtedy wam się nie udało. Siwawy zaśmiał się, szczerze ubawiony.

– Niech pan zajrzy do swego ulubionego pisarza. Zwycięzcę bitwy poznaje się po tym, komu się po niej lepiej wiedzie. Komu się po tym waszym zwycięstwie lepiej wiodło? Wam? Czy może jednak Firmie?

Siwawy podniósł się i Robert uświadomił sobie, że właściwie od początku rozmowy czekał, aż major wstanie i zacznie się przechadzać.

– Nic z pana nie wyduszę, widzę. Może jest pan za bardzo zestresowany. Więc dobrze, wyjaśnię panu, dlaczego nie rozmawialiśmy nigdy wcześniej: bo nie było z panem o czym rozmawiać. Bo kim pan był? Nikim. Taką tam mróweczką, jedną z tysięcy podobnych, dźwigającą na sobie ciężar konspiry. Mieliśmy takich mróweczek w aktach od metra. My się zajmowaliśmy tymi, których na sobie nieśliście. Z nimi rozmawialiśmy. I skutecznie. A pan? Pan korzystał przez całe życie z jedynej metody, by się uchronić przed Firmą: nic nie znaczyć. Jesteś nikim, nic od ciebie nie zależy, ani władza, ani pieniądze – to sobie żyj, nie obchodzisz nas.

Ale nagle coś się zmieniło. Pan przestał być nikim. Po całym życiu, którym nie chciało się nam zajmować, pan się nagle zrobił kimś. Kataryniarzem. To elitarny zawód. A na przynależność do elity

trzeba zasługiwać. Czy pan mnie rozumie?

– Nie.

Siwawy wrócił na fotel.

– Pomyśli pan, to pan zrozumie. Pan jest inteligentnym człowiekiem. Ja zawsze potrafię to poznać. Ludzie tak sobie myślą: ubek, ot, taki kapuś, nikt specjalny. A ja prowadzałem w swoim życiu takich ludzi, samą śmietankę. Profesorów, publicystów, aktorów. Sławnych pisarzy.

Nie uwierzyłby pan, jakie nazwiska. I jak oni wszyscy gorliwie starali się mi usłużyć – uśmiechnął się. – To niezłe życie, w Firmie. Nie muszę go żałować, a nie każdy to może o sobie szczerze powiedzieć. No – w jednej chwili uśmiech zniknął Siwawemu z twarzy, usta zmieniły się w wąską kreskę. Pochylił się ku Robertowi nad blatem biurka. – Wie pan, w naszej mowie jest takie określenie: zajebać figuranta. To nie znaczy koniecznie zabić. Czasem, jeśli uznamy, że tak najlepiej. Czasem ktoś umrze nagle na atak serca. Albo wpadnie pod samochód, albo przydarzy mu się inny wypadek. Tak jest z tymi najlepszymi, którzy nam przysparzają najwięcej kłopotu. Ale częściej zajebać znaczy: zgnoić. Skompromitować. Złamać życie. Jest szeroka gama możliwości. Co pan wie o swoim prezesie? Nie, nie chcę, żeby pan mówił, to retoryczne pytanie. Nic pan 0 nim nie wie. O jego przekrętach, jego udziałach w międzynarodowych układach, powiązaniach. On też, jak każdy, robi to, co umie i do czego został stworzony. Ale może się tak poukładać, że robiąc to nadepnie komuś na odcisk

I ktoś będzie musiał za to beknąć. Ktoś, uważa pan? Może on. Może jakiś kataryniarz. Za czytanie zastrzeżonych zbiorów można dostać cztery lata. Za zakłócenie pracy systemu dwa.

– Ja nie…

– Bądź pan cicho! Dla nas to jak splunąć. Niezbite dowody, proces, wyrok, żona we łzach… koniec rodzinnej sielanki. A można i inaczej. Musi pan to zrozumieć: kiedy my do kogoś przychodzimy, to nie ma na nas siły. Trzeba się grzecznie zgodzić na wszystko albo ponieść konsekwencje. Jest pan gotów je ponieść?

Wzrok Siwawego był w tej chwili potwornie zimny. Łatwo było uwierzyć, że ten człowiek nie miewa żadnych skrupułów.

Robert stał nad przepaścią. Na wąskiej, ostrej grani, otoczonej z obu stron otchłanią. Bał się.

Nie zaznał takiego strachu od lat. Może nigdy. Nie miał okazji. Tamten był zbyt młody, żeby zdawać sobie sprawę z tego, czym jest życie. Tamten się jeszcze nie umiał bać. To jest umiejętność, która przychodzi z wiekiem.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał, siląc się na zachowanie spokoju.

Siwawy opadł na oparcie fotela i przeciągał się przez chwilę.

– Pobawił się pan komputerem, nauczył tego i owego… Teraz przyszedł czas się zdecydować, kogo się lubi, a kogo nie. – Potrząsnął głową. – Nie, nic od pana nie chcę. Niech pan o tym sobie pomyśli i będzie gotowy. Kiedy przyjdzie czas podjęcia decyzji, nawet króciutka zwłoka może się okazać za długa. Więc po prostu wolałem pana uprzedzić. Może pan już iść. Pańska własność jest do odebrania w sąsiednim pokoju. Ale będzie pan ją musiał zabrać sam, transportu nie zapewniamy.

– Moja własność?

– Pański hardware. Zamykamy firmę, a zgodnie z przepisami, sprzęt, który jest czyjąś prywatną własnością i nie stanowi przedmiotu dochodzenia, jest w takiej sytuacji zwracany właścicielowi. Pokwituje pan u mojego pracownika.

Teraz Siwawy wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie. Uśmiechał się do niego dobrotliwie, odprowadzając wzrokiem do drzwi. Potem, co Robert zdążył dostrzec domykając drzwi, sięgnął z zadowoloną miną do klawiatury notebooka.

– A, tak – oznajmił grubawy ubek, jeden z kilku, którzy zadomowili się już w najlepsze w pokoju kataryniarzy, kiedy Robert przedstawił się i oznajmił, że major kazał mu odebrać swój sprzęt. – To tutaj, tak?

Grubszy wskazał głową leżący na stole komputer, obłożony kostkami peryferiów.

– Tak, to moje – oświadczył Robert. Opanowanie głosu i drżenia nóg przychodziło mu z największym trudem.

To był jego sterownik. Jego w tym sensie, że on go używał, że mozolnie dostrajał go do siebie i bez przestrojenia nikt inny nie mógłby na nim pracować. Ale stanowił on, tak jak wszystko w tym pomieszczeniu, własność spółki. Przynajmniej tak mu dotąd mówiono.

– Niech pan pokwituje – rzucił tylko Grubszy, podając mu wypełniony już druk z połyskującym tęczowo hologramem. Robert podpisał drżącą ręką. Nic się nie stało. Pozostali mężczyźni w pokoju zajęci byli rozmową o niczym. Grubszy wziął od niego podpisany papier i dołączył do rozmowy, pokazując Robertowi gestem, żeby zabierał co jego.

Po jakimś czasie odwrócił się. Robert bezradnie próbował zabrać się z ciężkim pudłem sterownika i wysypującymi mu się spomiędzy rąk peryferiami. Odkładał wtedy sterownik na stół, schylał się, podnosił to, co upadło, znowu kładł na wierzchu sterownika, podnosił, gubił, schylał się i tak dalej. Grubszy przyglądał się temu chwilę, wreszcie pokręcił z niesmakiem głową.

– Jeti! – zawołał do drzwi. – Choć tu, pomóż człowiekowi to zanieść do samochodu.

– Zaraz – uświadomił sobie. – Ja stoję na placu, muszę tu podjechać. Tylko moment, dobrze? Za chwilę wrócę. W porządku?

– Dobrze, dobrze – Grubszy nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. – Nie zginie panu.

I jakby chciał to potwierdzić, położył podpisane przez Roberta pokwitowanie na szczycie ułożonej na sterowniku sterty.

*

Być na wydanym przez generała-gubernatora koktajlu nie oznaczało jeszcze wcale móc się spotkać z nim samym. Tym bardziej nie oznaczało tego dzisiaj, kiedy bohaterami dnia byli przywódcy zjednoczonych przez Sicińskiego central związkowych. Dyrektorowi sekretariatu pani prezydent nie wypadało w takiej sytuacji prosić o rozmowę, aby nie spotkać się z odmową; z drugiej strony, na rozmowie z generałem-gubernatorem zależało mu tego właśnie dnia jak rzadko kiedy.

Nie mógł zrobić nic lepszego, niż zdać sprawę na swojego osobistego sekretarza, a samemu zatrzymać się w trzeciej z połączonych w amfiladę sal i tam, popijając z kieliszka i zagryzając tartinkami, wymieniać starannie obrane z niepożądanych znaczeń uwagi z innymi gośćmi. Właściwie po to tylko wybierał się na ten koktajl, aby zamanifestować swą obecność i ewentualnie powyczuwać nastroje wśród bawiącego u generała-gubernatora towarzystwa. Dopiero telefon Waldiego zburzył te plany.

Jak na złość z obecności Gudrynia postanowił skorzystać wiceprezes Izby Handlowo-Przemysłowej, będącym zarazem jednym z głównych prywatnych udziałowców Centralnej Agencji Obrotu Produktami Rolnymi CAPRO GmbH, spółki, której pakiet kontrolny pozostawał w ręku Ministerstwa Rolnictwa. Gudryń wysłuchiwał uprzejmie żalów staruszka, kiwając swą łysą, piłkowatą głową, porośniętą wytartą siwizną i przystrojoną w druciane okulary. Jednocześnie wodził wzrokiem za swym sekretarzem. W końcu dostrzegł, że zdołał on zatrzymać w przejściu na chwilę rozmowy jednego z bardzo eleganckich i bardzo *charmant* przybocznych generała-gubernatora.

– To jest zachwianie równowagi – nudził wiceprzewodniczący. – Ja oczywiście nie mam nic przeciwko naszym kolegom ze związków, ale Izba Samorządowa ze swej zasady opiera się na trójstronnej równowadze. Skoro uprawnienia związkowców zostały rozszerzone, to głos pracodawców także musi być mocniejszy.

– Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości – zapewniał dyrektor. – Szczerze mówiąc, właśnie szykujemy projekt idący w tym kierunku. Jak tam poszło polowanie? Słyszałem, że goście zachwyceni, u nich już nigdzie nie da się postrzelać, bo od razu protesty i pikiety zielonych.

– Jest lojalny, mam całkowitą pewność, przez ostatnie miesiące nic nie próbował kręcić na własną rękę – meldował sekretarz. – Będzie teraz spór o nominację szefa biura administracyjnego, Pazdyk idzie na emeryturę i Awramowicz chce tam koniecznie wsadzić swojego człowieka, Galewskiego. Wtedy miałby już pięciu szefów biur, a my tylko trzech.

– Czterech po siedem minut plus ten poseł – liczył przyboczny. – Da się wykroić jakieś dwie-trzy minuty pomiędzy tym gościem a następnym. Tylko bez ostentacji.

Sekretarz przecisnął się do dyrektora, który do tego czasu zdołał się już szczęśliwie uwolnić od marudnego samorządowca i prawił komplementy prezesicy Ligi "Katolicy Przeciw Klerykalizacji Życia".

– Będą trzy minuty, ale cichcem – szepnął mu w ucho i obaj, rozpływając się w uśmiechach i ukłonach, wycofali się chyłkiem z towarzystwa.

Trzy połączone w amfiladę sale w siedzibie generała-gubernatora, przez które ciągnął się szwedzki stół, obfitowały w boczne wahadłowe drzwi, przez które wchodzili na salę i za którymi znikali dbający o stoły kelnerzy. Za tymi drzwiami, pilnowanymi przez dyskretnych porządkowych, rozciągał się długi, równie nowocześnie urządzony hali, wiodący ku windom i ubikacjom z jednej strony, a z drugiej do wyłożonej kryształowymi lustrami wielkiej poczekalni na wprost głównego wejścia, będącej zarazem palarnią. W owym równoległym do sal bankietowych hallu porządkowy otworzył im jedne z drzwi przeznaczonych dla personelu. Za nimi czekał przyboczny, który przed chwilą rozmawiał z sekretarzem. Poprowadził ich obu krętym korytarzem, do którego wdzierały się kuchenne odgłosy i zapachy, w pewnym momencie kazał im gestem zatrzymać się przed zakrętem. Sam wyszedł o krok przed załom muru i obróciwszy się, czekał. Dopiero kiedy drugi przyboczny, stojący przed wejściem do sali generała-gubernatora, dał mu znak, pokazał Gudryniowi drogę do drzwi. Dyrektor ruszył przed siebie, pozostawiając sekretarzowi swój telefon komórkowy.

Zazwyczaj Gudryń dochodził do tych drzwi od przeciwnej strony, tak że wszyscy mogli go dostrzec i zanotować sobie w pamięci fakt jego zaproszenia na krótką rozmowę. W przeciwieństwie do sal bankietowych, urządzonych nowocześnie, gabinet generała-gubernatora stylizowany był na empirową świątynię dumania. Meble z giętego drzewa harmonizowały z obiciami ścian, jak się Gudryń

domyślał, niezbędnymi, by ukryć oplatające pokój obwody antypodsłuchowego tempestu.

Paskudników był niziutkim, jowialnym człowieczkiem o pulchnej, uśmiechniętej twarzy. Siedział na empirowej kanapce, mając po bokach dwóch swoich sekretarzy.

– Nu, dorogoj, szto u tiebia, kak pożiwajesz? – uniósł się lekko na jego przywitanie.

Gudryń odpowiedział na wylewne powitania skłonieniem głowy, odwzajemnił uścisk ręki generała-gubernatora i najzwięźlej, jak potrafił, wyjaśnił mu sprawę rosyjskiego konsorcjum TravRuss i parafarmaceutyków sprowadzanych do Polski, które tutaj zmieniały nazwę i opakowanie, by korzystając z niejasności w umowach pomiędzy Wszechrusią a Unią i Unią a Polską przekroczyć granicę Europy już jako jeden z atestowanych wyrobów farmaceutycznych państwa aspirującego, w ramach jego kontyngentu importowego, i natychmiast po przekroczeniu tejże granicy rozpłynąć się bez śladu na potężnym, światowym rynku.

Drugą minutę zajęło Gudryniowi wyjaśnienie sprawy InterDaty i związków jej prezesa ze spółkami dokonującymi obrotu rosyjskim towarem i późniejszym przetworzeniem go w polski kontyngent importowy.

– Mądrze – podsumował Paskudników. – Ty się nie niepokój, z nimi się da rozmawiać. Gdyby chcieli sprawę uciąć, uderzyliby w punkt zasadniczy. A zaczęli od właściwej osoby, ale w innym miejscu, to co znaczy, Wasilij? -odwrócił się do sekretarza po swojej prawej stronie.

– To znaczy, że ktoś mówi: chcę z wami negocjować.

– Ot, co – uśmiechnął się Paskudników. – Drobna sprawa, ale i dobrze, po drugiej stronie granicy też trzeba mieć przyjaciół.

– Chciałbym bronić prezesa – pozwolił sobie powiedzieć Gudryń. – To lojalny człowiek i utalentowany menadżer.

– No – skinął głową Paskudników. – Wasilij, ty się spotkasz z naszymi przyjaciółmi z tamtej strony i wszystko wyjaśnisz, a potem powiesz i mnie, i naszemu drogiemu dyrektorowi. Dobrze, że ty z tym do mnie przyszedł – zwrócił się do Gudrynia. – A przy okazji, u mnie jest taki człowiek, Stapkowskij. Młody, bardzo zdolny. Jak to u was mawiają: perspektywiczny. Szkoda go tam, gdzie teraz pracuje. Ty jemu znajdź jakieś dobre stanowisko, tak, żeby nabrał doświadczenia, ale i żeby ludziom się pokazał, żeby go lubili i żeby był do was w opozycji. Ja cię znam, na pewno coś wymyślisz.

– Biuro rzecznika praw obywatelskich – zasugerował Gudryń. – Albo Najwyższa Izba Kontroli?

– Może… Nu, dorogoj, ale tobie już czas uciekać, bądź zdrów. Wasilij da wam wszystkie szczegóły.

Dyrektor opuścił gabinet i zaraz za drzwiami skręcił w boczny korytarz, którym wcześniej przyszedł. Kiedy w nim zniknął, udając się z powrotem ku gwarowi sal bankietowych, przyboczny przy drzwiach dał znak koledze prowadzącemu następnego gościa.

*

Zatrzymał samochód o kilkadziesiąt centymetrów przed szlabanem i wysiadł. Podchodząc do budki strażnika wyciągnął z kieszeni zadrukowaną w jaskrawe kolory, plastikową kartę. Przeciągnął nią przez szczelinę przytwierdzonego do stróżówki czytnika; rozległ się krótki, przenikliwy pisk, pomalowane w żółto-czarne paski ramię szlabanu poszło do góry, a wyszczerzone pod nim stalowe zęby położyły się na płask, znikając w przegradzającym wjazd progu z czarnej blachy.

Dopiero w tym momencie przypatrujący się Robertowi strażnik skinął głową, jak gdyby i on był częścią uruchamianej elektronicznym impulsem maszynerii.

– Dzień dobry! – odezwał się z głębi swego blaszano-szklanego akwarium. – Wcześnie dzisiaj, co?

– Dobry – odmruknął Robert i wrócił do samochodu. Wcale nie było wcześnie. Stracił kupę czasu, usiłując się przebić przez zakorkowane centrum, by w końcu ugrzęznąć na dobre na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej. Od strony Dworca Centralnego pchała się całą szerokością prawego pasa spóźniona grupa związkowych manifestantów.

Dokładnie tego właśnie było jeszcze Robertowi trzeba, żeby go ostatecznie dobić.

Ruch został zatrzymany. Ludzie w zablokowanych samochodach przeklinali hanysów, święte krowy i chamstwo zbuntowane; od sprasowanego w korku tłumu biła skumulowana, bezsilna nienawiść. Przechodzący wyczuwali ją. Skandowali coś, krzyczeli z twarzami czerwonymi od wódki, wymachiwali kukłami, transparentami pełnymi bluzgów i ściskanymi w garściach trzonkami od motyk, z każdą minutą coraz bardziej naładowani samonakręcającą się agresją. Byli wystarczająco wściekli, że wynajęty przez związek pociąg przetrzymano parę godzin pod semaforami (w końcu związki kolejarzy też musiały jakoś uczcić Gwarancje), co stanowiło dla nich kolejny niezbity dowód prześladowania bojowników o robotniczą sprawę. Teraz drażniły ich jeszcze pomruki i nieprzyjazne twarze warszawiaków.

Posuwający się równolegle do manifestacji dziennikarze wypatrywali wzrokiem transparentów, na których niewprawne ręce nakreśliły przy czyimś nazwisku słowa: “Do Izraela” albo “Do gazu”, zapisywali, czasem wskazywali je kamerzystom. Sami kamerzyści rozglądali się raczej za gwiazdami Dawida na niesionych kukłach lub innymi tego rodzaju graficznymi, łatwo zrozumiałymi dla obcokrajowców przejawami odwiecznego polskiego antysemityzmu. Wiedzieli doskonale, że takie zdjęcia światowe stacje biorą zawsze, płacąc jak za zboże.

W którymś momencie jeden z manifestantów nie wytrzymał, wychylił się z przechodzącej przez rondo kolumny i rąbnął trzonkiem od motyki w maskę najbliższego samochodu. Zanim zdążyli do niego podbiec policjanci z otaczającego manifestację przerzedzonego kordonu, to samo zrobił drugi i trzeci. Właściciel zaatakowanego samochodu wyskoczył ku napastnikowi, niemal natychmiast zjawili się obok niego inni kierowcy. Świadomość, że za chwilę także ich lakier może się znaleźć w niebezpieczeństwie, na moment spięła ludzi więzami rzadkiej solidarności. W obie strony posypał się gęstniejący z każdą chwilą grad jobów, tylne szeregi manifestantów zaczęły przystawać, kupić się przy wykrzykującym z furią i wywijającym drągiem mścicielu krzywd klasy robotniczej. Wzięci w dwa ognie policjanci naturalną koleją rzeczy zwrócili się przeciwko tej stronie, która napierała słabiej i zaczęli spychać kierowców pomiędzy samochody, ściągając w ten sposób na siebie ich furię.

Atmosfera gęstniała, przesypujące się nad głowami stróżów porządku obelgi przestały już wymieniającym je wystarczać, zaczęli ponad i pod ramionami policjantów wystawiać ręce, popychając i szarpiąc za ubrania przeciwników. Wtedy do środka wydarzeń dopchał się wysoki mężczyzna o donośnym głosie wprawnego, wiecowego mówcy. Robotnicy cichli na jego widok i ustępowali posłusznie, patrząc tylko gniewnie spode łba. Mężczyzna krzyczał, że będą potrzebni pod URM, że tam siedzą prawdziwi wrogowie i żeby nie dali się prowokować policji. Te argumenty znalazły posłuch. Zawichrowanie w ruchu marszowej kolumny zaczęło się wyprostowywać, zanikać, zgęstniały tłumek rozproszył się. Sprawca całego zajścia dał się, z oporami, odciągnąć kolegom. Mamrotał coś po nosem, wreszcie, na pożegnanie, potrząsnął trzonkiem motyki w stronę kierowców i ryknął:

– My wam, jeszcze, kurwa, pokażemy! Pierdoleni… -zaniósł się na chwilę, nie mogąc znaleźć w pamięci stosownego epitetu. – Pierdoleni… posiadacze!!!

Robert widział to wszystko i słyszał, jego umysł zapisał wydarzenia w pamięci – ale w momencie, kiedy się rozgrywały, nie był w stanie o nich myśleć.

Siedział w swoim wozie i bał się. Jego strach sięgnął szczytu. Czuł się bezradny, porzucony przez wszystkich, zniszczony i potrafił myśleć tylko o jednym, że Wiktoria tego nie zniesie, a on nawet nie będzie jej umiał powiedzieć.

A potem strach przesilił się i zmalał do rozmiarów niepokoju, poważnego, ale nie porażającego. Zanim korek zaczął się rozładowywać, Robert poczuł, że znowu jest w stanie myśleć.

Tamten prędzej by się śmierci spodziewał – oczywiście bohaterskiej i oczywiście za Ojczyznę – niż tego, że za dwadzieścia parę lat będzie gotów stanąć całą duszą po stronie policji pałującej "Solidarność". Nie miał racji, siwy skurwysyn? Nie ma racji Brzozowski? Nie byłeś po prostu głupim gówniarzem?

Zajechał pod swoją klatkę schodową. Sterownik i peryferia leżały na tylnym siedzeniu samochodu. Otworzył drzwiczki. Pociągnął ciężkie pudło komputera ku sobie i trzymając w lewej ręce wyjęte z kieszeni, spięte platikowym brelokiem klucze, ruszył ku drzwiom klatki.

Zanim cały świat, jego świat, zaczął się obracać cegiełka po cegiełce, Tamten potrafił sobie doskonale wyobrazić, jak to powinno być. Wszyscy powinni dostać po kawałku Polski, jakby na nowo rozdano karty, i dalej niech już w uczciwej grze decyduje pracowitość, zdolności i los. Ale oprócz Tamtego mało kto chciał tak iść na niepewne. Po cholerę im jeszcze jakieś gwarancje, myślał, targając ciężki sterownik. Mało im jeszcze gwarancji? Wszyscy tu już przecież mają wszystko zagwarantowane. Robole -minimalną płacę i to, że żaden z nich nie okaże się cwaniaczkiem, nie zrobi nagle pieniędzy i nie będzie nimi kłuł w oczy byłych kompanów. Chłopi – minimalne ceny i kontyngenty. Biznesmeni – kredyt, zbyt, brak konkurencji i spokojny zysk za odpalenie komu trzeba. Inteligenci – że póki się nie wychylą z jaką ciemnotą, nikt im nie wytknie słomy w butach. Dzieci sitwy – dobre posady po markowych studiach, dzieci roboli – zasiłek i bramę, żeby w niej przekiwać życie. A oni, rozdawcy łask, szafarze koncesji, zamówień, kontyngentów i karier – oni, nade wszystko, mieli zagwarantowane, że nic ich nigdy nie ruszy. I wszyscy byli, generalnie, zadowoleni. Jeśli robole rozrabiali, to przecież nie przeciwko zasadzie. Nie użerali się o jakieś wielkie sprawy, nie myśleli poprawiać świata. Im chodziło tylko o "bolączki". To słówko zrobiło za pamięci Roberta niezwykłą karierę, proporcjonalną do kariery poglądu, że polityka jest wstrętna i brudna, wszyscy politycy kłamią i porządny człowiek winien omijać ją z dala, ograniczając się tylko do ucapienia, co jego. Bolączki to było to, co akurat fabryczna siła robocza potrafiła zrozumieć. Właściwie siła robocza miała tylko jedną bolączkę: żeby z tego tortu trochę więcej się dostawało im. Bo dlaczego nie, skoro jak się tak zbiorą w kupę, to każdemu mogą dać w

mordę, zatrzymać każdy zakład, zablokować każdą drogę?

Proszę bardzo, byleście się nie ważyli na jakieś idee, jakieś większe prawdy. Ale nie ma obawy, my są apolityczne ludzie, po stówce na łeb i fertig. My się już przyuczyli nie wdawać się w żadne tam, bo zaraz ktoś nas, prostaczków, wydudka jak leszczy. W końcu, tak źle im było? -wściekał się bezgłośnie; źle im było pod czułą opieką szafarzy łask i fabrycznych hersztów, z gwarancją, że nikt nie zmieni swego losu, chyba że będzie taki sprytny, by ze związku przeskoczyć w ministerialne układy. Tak ogólnie, to wszystkim ten świat odpowiadał, a sfrustrowani wariaci, jak Tamten, po prostu musieli odejść.

Wcisnął przycisk na pudełku klucza; cichy pisk, szczęk odsuwanych rygli. Schody. Drzwi do mieszkania, drugi klucz.

– To nieprawda – powiedział na głos.

Kurwa mać, to nie mogła być prawda. Siwy ubek zgrywał się przed nim. Odstawiał nie wiedzieć kogo, a dał się nabrać na jakiś prymitywny, podatkowy kruczek, zastosowany przez InterDatę, która zaksięgowała kupę kosztownego sprzętu jako znajdującą się w depozycie własność pracowników.

Siwy ubek zgrywał się. Nie powinien mu wierzyć. Byli ludzie, wciąż byli ludzie tacy jak on. Musieli być. Tylko byli rozproszeni, rozpaczliwie samotni, bezsilni, nie mieli nikogo, komu mogliby zaufać, bo jakieś wiszące nad nimi fatum dbało, by każdy, kto do tej roli aspirował, okazywał się prędzej czy później albo błaznem, albo durniem, albo w najlepszym wypadku beznadziejną dupą wołową. Demokracji chcieliście? Ależ proszę bardzo. Szanowny pan życzy Partię Liberalną, Socjaldemokratyczną czy Zjednoczony Obóz Katolicko-Patriotyczny?

Z westchnieniem podrzucił w ramionach sterownik, wziął między palce płaskie, plastikowe pudełko klucza, przytknął je do drzwi na wysokości oczu, a potem, kiedy elektroniczne miauknięcie zasygnalizowało ich otwarcie, pchnął kolanem.

Z lustra naprzeciwko drzwi spojrzał na niego Kataryniarz. Ponad dźwiganą z wysiłkiem bryłą sterownika, w poszarzałej, wykrzywionej bezsilną wściekłością twarzy, lśniły oczy.

Oczy, które skądś znał.

Nie mógł sobie przypomnieć, skąd.

Uświadomił sobie wreszcie, zamykając drzwi piętą. To znowu były oczy Tamtego Roberta.

*

W chwili, gdy Robert otwierał kolanem drzwi swojego domu, Wiktoria nagle przypomniała sobie pytanie, które zadała mu sennym głosem tuż przed zaśnięciem, w dniu, od którego zaczęło się jego przygnębienie.

Te słowa wychynęły nagle z zakamarków jej pamięci, kiedy niechętnym przyciśnięciem trackballa odsyłała w obieg sieci wydawnictwa przekład kolejnego bzdurnego tekścidła do kolorowych pisemek dla garkotłuków. Tekścidło było reportażem o jakiejś parze śródziemnomorskich archeologów, którzy nocami migdalą się w turystycznych plenerach pierwszej kategorii, a za dnia wygrzebują z ziemi skorupy po Etruskach.

O to go właśnie wtedy zapytała. O Etrusków.

Przyszła do domu po jakiejś paskudnej nasiadówce, naprawdę późno, jej powitanie przepadło gdzieś bez odpowiedzi w zalegającym mieszkanie półmroku. Potem zobaczyła go, siedział w kuchni, z podciągniętymi pod brodę kolanami, zwinięty jak embrion, oparty ramieniem o deski boazerii. I już widziała, że jest źle. Kuchnia była jego ostatnim azylem, miejscem, gdzie przesiadywał, kiedy życie naprawdę mu dojadło do żywego. Nie widziała go takiego od czasu, kiedy walczył ze sobą, czy odejść z Kancelarii, czy jednak zostać. Dla Wiktorii to było proste: nie możemy zaradzić, trudno, ale nie przykładaj do draństwa ręki. Pieniędzy, chwalić Boga, wystarczy, a choćby nie -nie powinieneś. Ale Robert gryzł się wtedy przez dłuższy czas.

Zostawiła płaszcz i buty, podeszła i dotknęła delikatnie jego policzka, powiedziała łagodnie:

– Co z tobą, kochanie? – A on ożył pod jej dłonią, uniósł twarz, miał coś takiego umęczonego w oczach, tak, widziała, że jest naprawdę źle.

– Nic. Nic – powiedział, wstał i poszedł chwiejnym krokiem do łazienki.

– Nie ma pani gdzieś WIG-u z zeszłego tygodnia, pani Aniu? – dopytywał się zza ramienia Wacek. Nie, nie miała. Uświadomiła sobie, że patrzy w atakujące ją z ekranu szeregi liter, ale zupełnie nie byłaby w stanie powiedzieć, co to za tekst.

Zdjęła okulary i przez chwilę masowała palcami kąciki oczu. Miała straszną chęć, żeby do niego zadzwonić, sprawdzić, czy może już jest w domu. Po prostu żeby usłyszeć jego głos.

– Co z tobą, kochanie? – powtórzyła później, tego samego wieczora, gładząc palcami jego tors. Leżał koło niej jak strącony z cokołu posąg, wpatrzony w sufit, otępiały.

– Nic – odparł po długiej chwili. – Naprawdę, nie chcę cię zanudzać.

– Powiedz. Proszę.

– Martwię się. Po prostu.

– Czym?

Pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa, szukał go długo, wreszcie westchnął:

– Wszystkim. Wiesz, człowiek zbiera te dane, raz o bankach, raz o energetyce, raz o czymś jeszcze… I gdyby to brać na rozum, to powinien tylko stąd wiać, gdzie pieprz rośnie. Wszystko, czego tylko się tkniesz: bardak, złodziejstwo, układy. Dno. Jak w jakimś Kongo. Boże, ten kraj się musi rozlecieć, po prostu nie ma żadnej siły, która go może uratować. Niczego. Nikogo. Do widzenia, gasimy światło i po klocach…

Mówił i mówił, płynął przez niego strumień żalu, skarg, bezradności, jak naprawdę rzadko, chyba nigdy mu się to nie zdarzało, może ostatni raz w dniu śmierci teścia. A ona nie mogła mu pomóc. Nie mogła mu nic powiedzieć, niczym go pocieszyć.

Mogła tylko gładzić czule jego tors, całować go i pieścić, aż niepostrzeżenie, w którymś momencie ich ciała splotły się ze sobą i Robert z westchnieniem wtulił się w nią, jakby szukał ucieczki – i przyjęła go z całą czułością, na jaką potrafiła się zdobyć. I nie istniało nic, poza dotykiem, ciepłem i przygniatającym jej ciało ciężarem.

Potem milczeli długo, ale wiedziała, że i to nic nie pomogło, że on wciąż o tym myśli, w każdej sekundzie, nie potrafiła mu pomóc, czuła, że już zapada się w sen, więc cichym głosem odezwała się tylko:

– Przecież nic nie możesz poradzić. Nic nie poradzisz.

– Tak mi żal, kochanie. Nie mogę o tym nie myśleć. Tak mi żal tego wszystkiego. Tylu ludzi sobie zmarnowało życie, tyle pracy, poświęceń, i to wszystko zmarnowane, przetrwonione, wszystko na nic…

– Tak już jest – westchnęła sennie. I po chwili dodała: – Etrusków też ci żal?

Zaraz potem zasnęła.

Ocknęła się z zamyślenia, czując, jak od wspomnienia ramion i ciężaru męża obrzmiewają jej piersi i twardnieje podbrzusze. Odetchnęła głęboko. Wstała od biurka i poszła nalać sobie wody – nie chciało jej się pić, po prostu potrzebowała się przejść.

Wróciła z jednorazowym, styropianowym kubkiem, postawiła go obok odłożonych na skraj biurka gogli i rękawic, potem sięgnęła po telefon i wystukała numer do domu. Odczekała cztery sygnały i odłożyła słuchawkę, zanim odezwie się automat. Potem spróbowała jeszcze raz. Roberta nie było.

Oczywiście, że nie ma go w domu. Jeszcze za wcześnie. Daj spokój, stara, masz dziś tyle pracy – omal nie powiedziała tego na głos.

Wiktoria nie mogła wiedzieć, że zadzwoniła dokładnie w momencie, kiedy jej mąż zostawiwszy sterownik wrócił do samochodu po drugą partię swojego cudem odzyskanego hardware'u.

*

Sucha, żylasta sylwetka Gumy nie zdradzała w najmniejszym stopniu, iż jedną z jego życiowych namiętności było jedzenie. Nie znaczyło to, aby był smakoszem. Wymyślne kombinacje smaków krwistej pieczeni, egzotycznych owoców i miętowego sosu w najmniejszym stopniu go nie nęciły, a cudaczne potrawy, wymagające sześciu rodzajów sztućców i chirurgicznej sprawności w operowaniu nimi, wręcz przerażały. Guma po prostu lubił solidnie zjeść, przy czym jego upodobania stanowiły dokładne przeciwieństwo propagowanych przez Zjednoczone Redakcje zasad zdrowego i nowoczesnego żywienia. Uważał, że potrawy są tym smaczniejsze, im bardziej niezdrowe – i odwrotnie. Uważał także, iż życie człowieka jest zbyt krótkie, aby marnować je na zapychanie się czymś, co nie jest smażone, podlane obficie sosem, nie spływa tłuszczem po brodzie i czego nie uzupełniają tłuczone ziemniaki, zasmażana cebula, w ostateczności kapusta.

Dzięki niewytłumaczalnemu zrządzeniu Niebios, Guma mógł sobie na zaspokajanie tych kulinarnych pasji pozwolić. Apetyt mu dopisywał i wszystko, co pożarł, znikało w nim bez śladu. Pozostawał suchy i żylasty, bez grama tłuszczu na mięśniach, sprawiających wrażenie, jakby ukręcono je ze stalowego drutu. Mógł jeszcze czerpać dodatkową radość z dręczenia opowieściami o swych ucztach kolegów, którzy, sterroryzowani przez lejącą się z mediów propagandę fitnesu, a bardziej jeszcze przez ulegające tej propagandzie żony, walczyli w ponurej desperacji z nieubłagalnymi postępami otyłości i gryźli się wyrzutami sumienia po każdym wchłoniętym ukradkiem piwie.

– Pana to żarcie zgubi – krakał ich wydziałowy lekarz. – Niech pan nie myśli, że tak można bez końca, o nie. Pali pan paczkę dziennie, odżywia się jak jaskiniowiec, nie ma pan pojęcia, co się dzieje z pańskim sercem i wątrobą.

Guma traktował go z dobrotliwą pobłażliwością.

– Mnie, panie doktorze, jeśli kiedy co zgubi, to baby -zwykł odpowiadać.

Jak się miało tego dnia okazać, obaj mieli w pewnym stopniu rację, choć obaj myśleli o czymś zupełnie innym.

Gumie chodziło raczej o “księżniczki” z pigalaka, na które wydawał sporą część zarobków, i różne mniej lub bardziej znajome panie, pragnące to lub owo załatwić czy tylko zobowiązać go sobie drobną przysługą. W żadnym wypadku nie myślał o wciśniętej do resortu w ramach wymuszonej przez Unię Europejską afirmatywki pani wiceminister spraw wewnętrznych. Jedno z cudownych odkryć pani prezydent, zachwyciła ona prasę i telewizję gruntowną reformą żywienia w resortowych stołówkach.

Praktycznym skutkiem tej reformy było zmuszenie Gumy do odżywiania się na mieście. Codziennie w porze lunchu opuszczał zwalisty gmach Firmy i omijając główny dziedziniec kierował się ku bocznej furtce. Stamtąd, przeciągnąwszy swą kartą przez szczelinę czytnika, przechodził wąską ścieżką pomiędzy dwoma rzędami stalowych sztachet do Rakowieckiej, przecinał ulicę i w niewielkim, dość obskurnym, ale też dzięki temu uodpornionym na bzdurne mody barze pałaszował obfity, tłusty i bardzo niezdrowy posiłek.

Lekarz miał na myśli raczej negatywne skutki, jakie spożywanie takich posiłków – wierzył uparcie, wbrew oczywistym faktom – wywierać musiało na organizm Gumy. W żadnym wypadku nie chodziło mu o to, iż jego pacjent, dogadzając swemu apetytowi, znajdzie się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu.

Tego dnia Guma, zajęty dokumentacją SO Kuromaku, opuścił biuro nieco później niż zwykle. Za dwadzieścia trzecia minął kiwającą się na chodniku pod barem śniadą łachmaniarę, zawodzącą przeciągle, ze śmiesznym akcentem:

– Daaaaj, pane, penąąądza, daaaaj, pane…

Guma, zbliżając się do drzwi baru, obrzucił żebraczkę pełnym zainteresowania spojrzeniem. Był ciekaw, co za idioci dają takim pieniądze, ale poza tym uważał, że dopóki biedota z Bangladeszu przyjeżdża żebrać do Polski, a nie odwrotnie, to wszystko jest z grubsza w porządku.

– Uszanowanie – powitał go mężczyzna stojący przy kasie. Widywał Gumę od lat, nie wiedział jednak nic o nim samym ani o jego miejscu pracy i w najmniejszym stopniu nie był tym zainteresowany. – Co dzisiaj będzie?

– Goloneczka – zdecydował Guma po chwili namysłu. – I żywczyk.

Zapłacił i z chłodną butelką w jednym ręku oraz wydrukowanym przez kasę kwitem w drugim skierował się do okienka.

Kilkanaście minut później, kiedy kończył już przy stoliku w kącie posiłek, rozkoszując się wypełniającym go błogim rozleniwieniem, jego uwagę zwróciły podniesione głosy.

– Wy oszukujetie – mówił powoli, z silnym wschodnim akcentem mężczyzna stojący na wprost kasjera. – Tutaj nie jest' sto gram. Tutaj

jest' mało. Ja chcę moje pieniądze z powrotem.

– Panie, panie, odwal się pan – machał rękami zirytowany kasjer. – Zeżarł połowę, a teraz by chciał pieniądze, akurat. Zwracać można tylko nie tkniętą porcję!

– Wy oszukujetie, tu jest' mało – upierał się mężczyzna.

– Stefan, tylko nic mu nie płać! – wydarła się, niepotrzebnie, kobieta z okienka. – Następny się znalazł! Złodzieje cholerne, zaraza!

– No, patrz pan, jaki cwaniaczek – oznajmił teatralnie któryś z konsumentów.

– Pogonić kacapa – zgodził się z nim inny.

Klient, który chwilę wcześniej przysiadł się do sąsiedniego stolika, potrząsnął kilkakrotnie nad swym daniem solniczką, syknął z niezadowoleniem, po czym, rozejrzawszy się, wstał i ruszył do stolika Gumy. Ten ostatni odsunął się nieznacznie, ponieważ zbliżający się nieznajomy zasłonił mu widok na nabierającą rozpędu awanturę. Nieznajomy wyciągnął lewą dłoń, ale nie sięgnął solniczek, tylko mocno przytrzymał Gumę za ramię. W prawym ręku ukrywał osadzony w drewnianym trzonku trójkątny pilnik, zaostrzony w sposób, który zmienił poczciwe narzędzie w kilkunastocentymetrowej długości sztylet. Błyskawicznym, wytrenowanym ruchem wbił go Gumie w pierś.

Guma poczuł tylko tępy ból, jakby ktoś bardzo mocno szturchnął go kijem między żebra. Nie zdołał już na to zareagować; rozchylił tylko wargi i jęknął, głucho i bardzo cicho. Nieznajomy delikatnie ujął go za ramiona i ułożył głębiej na krześle, zesztywniałego w gwałtownym, śmiertelnym spazmie wszystkich mięśni. Nie popłynęła ani kropla krwi. Potem nieznajomy, ukrywając pilnik w rękawie marynarki, najspokojniej w świecie wyszedł z baru. Nikt za nim nie spojrzał. Wszyscy zajęci byli awanturującym się Rosjaninem. Kiedy wreszcie, czując wzbierającą przeciwko niemu determinację, Rosjanin zniknął za drzwiami, odcinając się coraz słabiej rzucanym nań obelgom, rozpoczęło się długotrwałe komentowanie wydarzenia.

Dopiero po kilku minutach pomagająca przy kuchni dziewczyna podeszła zebrać z wolnego stołu naczynia. Pokręciła z dezaprobatą głową, widząc, że potrawa jest nawet nie napoczęta. Potem zauważyła, że gość przy sąsiednim stoliku siedzi jakoś dziwnie. Zbliżyła się:

– Halo? Proszę pana? Nic panu nie jest? – dotknęła delikatnie ramienia siedzącego, a ten zwalił się sztywno na podłogę jak podcięty manekin. Narobiła krzyku. Dookoła natychmiast zacisnął się pierścień przypadkowych świadków zdarzenia, którzy wszyscy jeden w drugiego okazali się nagle kwalifikowanymi doradcami z dziedziny reanimacji pozawałowej.

Właściciel baru wezwał pogotowie. Pojawiło się po piętnastu

minutach. Lekarzowi wystarczyło kilka sekund na stwierdzenie zgonu. Zgodnie z przepisami kazał kierowcy przywołać patrol policji. Patrol ten, składający się z trzech funkcjonariuszy Batalionu Zabezpieczenia Miasta, pojawił się w sześć minut później. Jeden z funkcjonariuszy przystąpił do obszukiwania zwłok. Podczas tej czynności zauważył niewielką dziurę w koszuli zmarłego; w chwilę później znalazł w klatce piersiowej martwego mężczyzny przeoczony przez lekarza, trójkątny krater, w którym lśniła rubinowo pojedyncza kropla skrzepłej krwi.

Funkcjonariusze, którzy przedtem próbowali bezskutecznie rozpędzić gapiów, teraz zażądali od wszystkich pozostania na miejscu. Bar został zamknięty. Kilka minut później pojawiły się pod nim dwa następne patrole i ogrodziły jego drzwi żółtą taśmą.

Tymczasem w zwalistym gmachu Firmy, w kilkanaście minut po wyjściu Gumy jego sekretarka odebrała telefon z sekretariatu pułkownika Skowery, znanego w Firmie jako Żyła. Skowera, jako zastępca szefa zarządu drugiego nie był bezpośrednim przełożonym Gumy, miał jednak prawo żądać z nim rozmowy, Guma zaś zobowiązany był życzeniu temu zadośćuczynić, a później sporządzić o tej rozmowie notatkę służbową dla swoich przełożonych.

Sekretarka wyjaśniła Żyle, że major wyszedł na lunch i skontaktuje się niezwłocznie po powrocie.

Pół godziny później sekretariat pułkownika Skowery odezwał się ponownie, przynaglając sekretarkę Gumy stwierdzeniem, iż sprawa jest pilna. W tej sytuacji sekretarka zadzwoniła przez wewnętrzny interkom do wartowni przy głównym wejściu i poprosiła o posłanie do baru, w którym zwykł jadać major, jednego z funkcjonariuszy przydzielonych na ten dzień do służby wewnętrznej.

Funkcjonariusz zjawił się w barze w trzy minuty po tym, jak zaparkował przed nim samochód z Komendy Miasta. Pokazał pilnującym żółtej taśmy policjantom swoją blachę, poczekał, aż sprawdzą ją w przenośnym czytniku i wszedł do środka. Zorientowawszy się w sytuacji, zapytał o najstarszego stopniem i pokazawszy blachę raz jeszcze nakazał mu natychmiast zabrać się z baru razem ze swoimi ludźmi i o wszystkim zapomnieć. Wychodząc w tak błahej sprawie nie wziął ze sobą komunikatora, musiał więc skorzystać z telefonu w barze, by zawiadomić o fakcie komendanturę. Przysłani przez nią ludzie pojawili się w barze po dwóch minutach i zaczęli od początku wypytywanie właściciela, pracujących w kuchni kobiet i zatrzymanych gości o przebieg wydarzeń.

Dwie godziny później do garderoby generała-gubernatora Paskudnikowa, przygotowującego się właśnie w towarzystwie dwojga pomocników do uroczystości podpisania Gwarancji, wkroczył jeden z jego przybocznych. Bez słowa podał generałowi-gubernatorowi

wydruk. Paskudników gestem kazał odsunąć się garderobianej, przeczytał meldunek o zamordowaniu Gumy wraz z wyciągiem danych na jego temat, jakim dysponowała ambasada Wszechrosji. Twarz wyraźnie mu stężała. Wydał z siebie krótkie sapnięcie, parę razy nerwowo przejechał dłonią po twarzy, wreszcie nakazał otaczającym go ludziom:

– Łączcie natychmiast z żółtą centralą. Szczegółowy raport dla ministerstwa. Uprzedźcie Polaków, że się spóźnię.

Milczał przez chwilę, zamyślony, kiedy pomocnicy pomknęli wypełnić polecenia.

– No, i co sądzisz? – zapytał przybocznego, który przyniósł mu wiadomość. Wiedział doskonale, co usłyszy.

– Birłukin zaczął wojnę z Dąsaj ewem.

– Taaa – pokiwał głową Paskudników. – Zaczął wojnę, dureń. No to będzie tego, swołocz, strasznie żałował.

Przyboczny miał na ten temat odmienne zdanie. Zachował je jednak dla siebie.

*

Kiedy uświadomił sobie, że prorocy jego młodości byli głupcami? Nie pamiętał, jaki to był dzień, miesiąc i rok, ale w każdym razie musiała to być jedna z tych chwil, gdy odpoczywał po ciężkim dniu, skulony na krześle w kuchni, opierając się barkiem i głową o sosnową boazerię. Lubił tak odpoczywać, siedząc w swoim domu, w domu Kataryniarza, pełnym rzeczy i Miłości.

Tamten Robert nie lubił rzeczy. W balladach, których potrafił słuchać do rana, z ogniem w duszy, przy butelce, gitarze i rozmowach o życiu, jego prorocy szydzili z rzeczy. Judzili, że być, a nie mieć, śmiali się z takich, co to marzą o telewizorze, meblach i małym fiacie i wyśpiewywali dziesiątki podobnych bzdur, a Tamten wierzył w to głęboko. Wierzył, że jeśli chce płonąć wysokim ogniem i nie porastać mchem, musi odrzucić wszystko, co swym ciężarem ciągnie w dół i nie pozwala poszybować wprost ku niebu.

Ale potem w życiu Tamtego pojawiła się Miłość i stopniowo przerastała go całego, aż zmieniła wszystko. Nigdy nie zauważył tej zmiany, choć była daleko większa niż zwiotczała skóra czy pierwsze nitki siwizny. Nigdy nie dowiedział się, że nie można być kochanym bezkarnie.

Można zaznać Miłości, zgubić ją i pozostać takim samym. Ale nie można pozostać takim samym, jeśli chce się Miłość zachować, zakląć

w swym codziennym życiu jak w krysztale, by płonęła miarowym, jasnym światłem, dzień po dniu, aż do końca.

Te wszystkie rzeczy, którymi otoczyli się z Wiktorią, podtrzymywały ich płomień. Jeśli można czegoś nie utracić, nie zagubić w tym ciągłym wirowym ruchu obijających się o siebie atomów, w ciągłym pędzie i jazgocie, to tylko wtedy, gdy nada się każdej ulotnej chwili gęstość i ciężar przedmiotu.

Każda deska w tym domu, którą układał i przybijał własnymi rękami, każdy mebel, wybierany starannie wspólnie z żoną, każdy skrawek tkaniny, zdobiącej okno lub stół, nasiąknięty był jedną z tych chwil, które miały być teraz z każdym dniem coraz bardziej nieodżałowane. W każdej ścianie, każdym zdobiącym ją obrazku, w każdym drobiazgu rzuconym na półki tleniły się czułe szepty, miłosne zaklęcia, muśnięcia niecierpliwych palców. Gdy wieczorem Robert siadał przy kuchennym stole do swego spóźnionego obiadu, opierał się ramieniem o zatopione w miodowozłocistym lakierze słoje boazerii, budziły się w nich z uśpienia powierzone im chwile. I niezauważalnie, podczas codziennych rozmów o pracy, o kretynkach ze Zjednoczonych Redakcji, o cieknącej chłodnicy i wściekle wysokich rachunkach z węzła Sieci – sączył się do jego żył ożywczy balsam dawnych pocałunków. Płynął porami ciała przez umęczone codziennym natłokiem elektrycznych impulsów nerwy, do roztrzęsionego serca i obolałego mózgu, z wolna napełniając ciało Kataryniarza spokojem i żywiczną ulgą. Potem przechodził na swój fotel, opierał o zagłówek podgolony wysoko kark, jeszcze swędzący i poznaczony czerwonymi ukłuciami stabilizatorów powierzchniowego napięcia skóry, rozsiadał się niczym pradawny czarownik pośród magicznego kręgu menhirów. A wtedy te wszystkie rzeczy zebrane wokół, drogocenne naczynia z życiodajnym płynem, ulewały miłosiernie odrobinę ze swego niewyczerpalnego zapasu, tłoczyły kropla po kropli leczniczą miksturę do żył, dopóki nie wypełniła go całkowicie, nie ukoiła bólu, nie zabliźniła delikatną błoną przyniesionych z Tamtego Świata ran.

Nie mógłby żyć bez tego. Oszalałby już dawno, umarł, spłonął i wysypał się czarnym próchnem ze skorupy ciała. Jakimiż głupcami byli prorocy Tamtego, jakimż głupcem był on sam, że wierzył im głęboko i z przejęciem. Czym byłby bez tego miejsca na Ziemi, czym byłby bez tych wszystkich rzeczy, przechowujących w sobie minione chwile? Tym, czym tylko może być człowiek odarty z rzeczy: śmieciem, rzucanym przez wiatr, zmiętym nieszczęściem, myślącą i cierpiącą trzciną. W najlepszym wypadku błędną iskrą. Prorocy Tamtego okłamywali go, śmiejąc się z rzeczy. Dopóki te rzeczy istniały, dopóki otoczona nimi Miłość mogła być jak spokojne, świecące jasno ognisko, a nie jak księżycowe błyski na szczytach poderwanych zachceniem wiatru fal, dopóty nic, nic nie mogło go

zniszczyć. Nie wiedział o tym, ale może właśnie o tym wiedzieli prorocy Tamtego lub ktoś, kto nimi poruszał.

A potem, kiedy tak siedzieli z Wiktorią wieczorami, pośród swoich rzeczy, nadchodził czas słów. Czas rozmów. Czas bycia ze sobą. I to też był jeden z tych rytuałów, w których starali się uwięzić i zakląć uciekające chwile, tak, że zdawało się wtedy, iż ten szaleńczy, wirowy ruch świata pozostał gdzie indziej i że tutaj, w domu Kataryniarza czas nie płynie.

*

A teraz wnosił do tego domu skrzynie elektronicznej plątaniny i czuł się jak świętokradca. Oto bezcześcił spokój swojej świątyni draństwami zewnętrznego świata. Bezsilnością, z jaką patrzył na mapy Stref, bezkarnością złodziei i głupotą katolickich patriotów. Strachem, jakim napełniły go butne słowa Siwawego. Gniewem, rodzącym się pod sercem. Zatrzasnął za sobą drzwi, ale wiedział, że to na nic.

– Przepraszam – powiedział na głos do mebli, ścian i wszystkich tych rzeczy, którymi otoczyli się z Wiktorią. -Naprawdę nie mam wyjścia. Naprawdę nie miał wyjścia.

To też masz zagwarantowane: w końcu do ciebie przyjdą, powiedziała twarz z lustra. Jeśli próbujesz wyżyć z własnej firmy, przyjdą zażądać rekietu. Jeżeli próbujesz coś w życiu osiągnąć, wzbić się wyżej, przyjdą zażądać posłuszeństwa. A jeśli nie chcesz już niczego, tylko spokoju, przyjdą także. Nie uciekniesz.

Przebrał się, umył ręce i zaczął przenosić sprzęt do pokoju. Odepchnął biurko pod ścianę, aby zrobić miejsce dla sterownika. Sięgnął po kable i zaczął starannie przebierać pomiędzy nimi, segregując je według wtyczek. Potem zaczaj: spinać ze sobą poszczególne jednostki, włączać je, uruchamiać programy testujące.

Uspokajało go to. Nie musiał zastanawiać się nad swoimi uczuciami, nazywać ich. Miał się na czym skupić; przygotowywał sprzęt do pracy. Włączył sterownik i odczekał, aż skończą się testy RAM-u, potem połączył go skręconym kablem, zakończonym trzydziestodwuigłową wtyczką, z jednostką centralną. Ekran komputera ożył.

Robert podniósł się z podłogi, ściągnął z klawiatury plastikową, zakurzoną osłonę i wszedłszy trackballem w okno systemu operacyjnego na głównym panelu, zaczął wstukiwać wywołania driverów współpracujących ze sterownikiem. Dostał cztery komunikaty o błędzie, zanim zdołał przypomnieć sobie właściwą

komendę i zainicjować procedurę konfigurowania zestawu.

– Nie powinieneś mnie straszyć – powiedział do Siwawego i choć w głębi duszy wiedział, że to tylko puste odgrażanie się, przyniosło mu ono ulgę. – Nie trzeba było mnie straszyć, skurwysynu – powtórzył na głos.

Komputer przetestował kompatybilność programów i zaakceptował połączenie. Ekran podzielił się na dwa panele, lewy dla jednostki centralnej i prawy dla sterownika. Oba sygnalizowały gotowość dalszych połączeń.

Teraz przyszła kolej na spooler. Wpiął w gniazda sterownika dwa cienkie kable wychodzące z czarno-srebrnego prostopadłościanu; prawy panel ożył. Samoczynne kalibrowanie, system kompresji/dekompresji bieżącej, korekcja. Ready. Ready.

Multiinterfejs. Kolejna samoczynna jednostka, wyspecjalizowana w rozpoznawaniu i konwersji systemów operacyjnych i środowisk, zdolna emulować kilkaset układów terminali, z wbudowanym dodatkowo kompilatorem dla pięciu języków wysokiego poziomu, gdyby w trakcie pracy zapragnął doprogramować jakiś mostek, przyjaznym interfejsem graficznym dla ułatwienia ich obsługi i prostym językiem typu FFG na wypadek, gdyby mimo wszystko okazało się to dla niego zbyt trudne.

Trak, komputer śledzący wirtualne połączenie, modelujący płynne przejścia w czas rzeczywisty, rozpinający elektroniczną nić Ariadny pomiędzy macierzystą jednostką a kolejnymi, przejmującymi kataryniarza serwerami i mainframami. Tak zresztą potocznie mieli zwyczaj nazywać linię wirtualnego połączenia – Nicią.

Dodatkowy UPS. Stacja pamięci stałej.

Ready. Ready. Ready – sygnalizował niestrudzenie ekran zaskakiwanie kolejnych ogniw zestawu.

Ready. Ready – migotały sygnalizacyjne lampki na płytach czołowych sterownika i peryferiów. Zapamiętał się w pracy.

Aż nagle uświadomił sobie, że sprzęt jest gotowy. Wyprostował się. W zgiętym od dobrej pół godziny grzbiecie zdążył narodzić się ból. Założył ręce na głowę i oddychając miarowo, powoli, zrobił dziesięć skłonów, po każdym wyprostowując się aż do bólu pomiędzy łopatkami. Dziesięć przysiadów. I jeszcze raz skłony. Potem przez chwilę podskakiwał na palcach, żeby rozluźnić mięśnie.

Zgarnął z brzegu biurka kartkę z wydrukowanym listem Brzozowskiego. Po drodze zmiął ją w dłoni. Zajrzał do kuchni, tylko przechylił się górną połową ciała przez futrynę, żeby cisnąć papierową kulką do kosza na śmieci. Może się mylił; może to miało znaczyć tylko tyle, że Brzozowski ma informację o nowej pracy, zamiast tej w Inter-Dacie. On, tak świetnie ustawiony, mający tylu zobowiązanych tym lub owym znajomych, lubiący okazywać wielkopańskie masz-to-u-

mnie. Może tyle. Ale nie chciał z nim rozmawiać, póki nie sprawdzi swych podejrzeń.

Nie trafił. Musiał podejść, podnieść papier i umieścić go w koszu. Potem wszedł do ubikacji, opróżnić przed sesją pęcherz i jelita. Nie czuł głodu, choć od rana nic nie jadł; ale to dobrze, z pustym żołądkiem lepiej się pracuje. Długo, starannie mył ręce, jakby chciał zyskać na czasie. Usiadł w fotelu, położył sobie przylgę na kolanach; przez chwilę starannie poprawiał swoje ubranie. Niefortunnie umiejscowiona fałdka, tak drobna, że w pierwszej chwili nie dawało się jej poczuć, mogła w czasie godzin bezruchu zostawić na ciele bolesne, długo nie schodzące odgniecenie. Wygładził palcami materiał na udach, pośladkach i plecach, odciągając jego nadmiar na boki. Poruszył się jeszcze kilkakrotnie, wciskając swe ciało w fotel i moszcząc się w nim.

Kiedy już siedział wygodnie, nie odrywając pleców od oparcia, pochylił głowę do przodu, dotykając brodą piersi, i prawą ręką umieścił sobie wysoko na karku przylgę. Ukryta w gumowych kieszeniach brunatna maź wydostała się na jego skórę i rozpełzła cienką warstwą pod stykami biołącza jak jakaś żywa galareta, zimna, aż po kręgosłupie przeszedł go dreszcz. Delikatnymi ruchami przesuwał przylgę w lewo i w prawo, podczas gdy seria wolniejszych lub szybszych dźwięków dobywających się z komputera sygnalizowała jej zbliżanie się lub oddalanie od właściwego punktu. Wreszcie trafił; dźwięk komputera zamienił się w ciągły, kilkusekundowy buczek, zakończony pięciodźwiękową, wesołą melodyjką, gumowa powierzchnia pod jego palcami zassała się i napięła z ledwie dosłyszalnym westchnieniem.

Wyprostował głowę i oparł ją o zagłówek fotela, przylga spłaszczyła się obło, nie przeszkadzając temu. Sięgnął po hełm z goglami i starannie, długo układał je na swojej twarzy. Na razie świeciły mu w oczy jednostajną, błękitną poświatą, w której lewitowała klawiatura, wiedział, że gdyby po nią sięgnął, jego palce trafiłyby na plastikową pokrywę. Opuścił na uszy umocowane do kabłąka hełmu sferyczne słuchawki. Nad kącikiem ust zawisł mikrofon, ziarno grochu z metalowej siatki na cienkim jak struna gitary włosie. Oparł dłonie – jeszcze prawdziwe, jego dłonie – na kolanach i czekał. Mógł wystukać komendę startu na klawiaturze, ale nie było takiej potrzeby. Od momentu zainicjowania biołącza procedura uruchamiała się sama.

Od karku powoli rozchodził się po ciele chłód. Wspomagający biosynapsę emiter zaczął wytwarzanie pola tłumiącego do minimum impulsy przewodzone przez rdzeń kręgowy poniżej punktu połączenia. Jego ciało powoli przestawało istnieć. Najpierw zanikły bodźce dotykowe; kilkanaście sekund zabawnego uczucia, kiedy ciało wciąż

istnieje, ale nie ma już ściśle określonej granicy, nie czuje się już żadnej konkretnej powierzchni, do której byłoby się jeszcze sobą, a nie otaczającym światem. Potem wytłumieniu uległo także czucie głębokie.

Przed oczami Roberta zaczęły przetaczać się geometryczne figury, wzory kolorowych pasków, tańczące filary światła i mroku; uszy zostały zaatakowane seriami rytmicznych dźwięków, przebiegających po skali od basu do raniącego uszy pisku. Ostatnie testy. Dopóki trwały, wystarczyło, żeby poruszył gwałtownie rękami, klasnął lub zrobił cokolwiek takiego, a system przeładowałby się automatycznie i otworzył panel konfigurowania terminalu. Ale konfiguracja była sprawdzana wielokrotnie i wszystko działało bez zarzutu.

Za parenaście, może tylko parę lat, uproszczą to wszystko do maksimum, wystarczy kilka sekund i już będziesz w VR. Może zdołają wreszcie dopracować seryjny implant do rdzenia kręgowego i zdobyć dla niego aprobatę biurokratów ze Światowej Organizacji Zdrowia, może wymyślą coś innego. Naciśnie człowiek jeden guzik i wio – już siedzi głęboko w Studni.

Testy skończyły się i przed oczami Roberta wychynęły z nicości linie tworzące główny panel. W górę, w dół, na boki, rozciągała się nie kończąca nigdzie ściana okien. Na którymkolwiek z nich spoczął jego wzrok, animowane ikony ożywały, poruszały się zachęcająco, wyświetlały wideo-klipy, grały melodyjki.

Nie tracił na nie czasu.

Wyciągnął przed siebie prawą rękę – teraz widział ją przed sobą, utkaną z błękitnej, widmowej materii, tak jak sterownik odwzorowywał jego własne ciało ze zbieranych przez rdzeń impulsów – i delikatnym, ale zdecydowanym ruchem sięgnął ku największemu oknu, ustawionemu na wprost jego oczu. Wszedł w nie i na moment roztopił się w odgradzającej go od Tamtego Świata smudze ciemności.

II

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, gdzie jest.

Ze wszystkich stron otaczał go gęsty kisiel, spowalniający nieznośnie ruchy, mętniejący przy każdym gwałtowniejszym geście. Przygaszona barwa starych cegieł zmieniła się w banalną czerwień z podstawowego zestawu, to samo stało się z trawą na zboczach przykopu. Wszystko było rozmyte, wygładzone, jak nieostre zdjęcie. Poznikały wypracowane pieczołowicie faktury murów i pancernej stali.

Obrócił się. Widmowe ciało słuchało go z opóźnieniem, nie był w stanie przyspieszyć jego ruchów. Zmętniały kisiel ustępował bardzo opornie i potrzebował kilku sekund bezruchu, by odzyskać przejrzystość.

Dopiero ten obrót uświadomił mu, że stał się barczystym żołnierzem w błękitnym mundurze, ze złotym emblematem na lewej piersi. W ręku trzymał długi jak nieszczęście karabin, wraz z bagnetem sięgający prawie ramienia. Nadgarstki miał sztywne, palce prawie pozbawione czucia. W Tamtym Świecie człowiek zawsze czuje się mniej lub bardziej jak manekin, przynajmniej przez pierwsze minuty, nim przyzwyczai się, że sterownik przyjmuje do wiadomości tylko impulsy kontrolujące główne mięśnie. Ale teraz był wręcz drewnianą kukłą, ledwie zdolną w zgęstniałej przestrzeni do sześciu podstawowych ruchów.

Mainframe Fortecy potraktował go jako obcego, uświadomił sobie, widząc karabin, którego konstrukcję zgrywał parę miesięcy temu z sieciowej ekspozytury muzeum broni w Hofburgu. A to znaczyło, iż znajdował się przy głównej bramie. Półkaponiera, w stoku której kryły się pancerne drzwi jego osobistego gniazda, musiała więc być na lewo, za trzecim załomem muru i wiodącego wzdłuż niego przykopu. Zatrzymując się w pół obrotowego ruchu, ruszył w jej stronę.

Sunął, odbijając się sztywnymi nogami od zmienionej w jednostajną, zieloną masę trawy, starając się powstrzymać przed jakimkolwiek zbędnym ruchem, który opóźniłby go jeszcze bardziej. Ta beznadziejnie powolna podróż mogła wyprowadzić człowieka z równowagi, ale nie miał wyjścia; mógł tylko czekać, aż wreszcie dotrze na miejsce. W końcu stanął przed swoim gniazdem i przemagając bezwładność przestrzeni, wyciągnął prawą rękę ku masywnemu, stalowemu pokrętłu, zamykającemu je jak drzwi kasy pancernej lub właz okrętu podwodnego. Starczyło mu go dotknąć i tylko zamarkować ruch, jakby zabrał się do odkręcania; drzwi ustąpiły, otworzyły się szeroko, odsłaniając panele sterowania Studni.

Przywołał swoje ID i ściągnął ku sobie okno kontroli teleportu. Złote litery w lewym dolnym rogu jego pola widzenia potwierdziły zidentyfikowanie i przyjęcie kodu osobistego. Zdrewniałą dłonią, zrośniętą, jakby upchnięto ją w rękawiczce z jednym palcem, było mu trudno operować po panelu. Na szczęście pokrywające go przyciski stały się teraz równie toporne i zgrubne, wystarczało ich tylko dotknąć.

Uzyskał potwierdzenie łączenia i zakręcił prawą ręką, jakby obracał korbą. Poczuł przechodzący od kręgosłupa dreszcz. W ułamku sekundy sztywność ciała i toporność pejzażu zniknęły, przestrzeń przestała być spowalniającym ruchy żelem. Powierzchnie ścian, stali i muru, trawa, kolory, układ cieni – wszystko wróciło do stanu, jaki pamiętał i do jakiego przywykł. Nie był już manekinem żołnierza, przybrał zwykłą, używaną w tamtym świecie postać swego widmowego sobowtóra z błękitnej mgły. Ciszę w uszach zastąpiła ściszona, rytmiczna muzyka, którą dawno temu ściągnął sobie z serwera miłośników muzyki elektronicznej. Na jej tle odzywały się normalne dźwięki środowiska pracy – pobrzękiwania, świergoty i alarmowe piski wydawane przez panele kontrolne studni.

Zarządzanie jego pobytem w Tamtym Świecie, dotąd z konieczności utrzymywane przez ledwie zdolny podołać takiemu obciążeniu domowy komputer Roberta, teraz przejął potężny mainframe Fortecy. Odczuł fizyczną ulgę.

Za uchylonymi drzwiami jego gniazdo wyglądało jak czekająca na pasażera kabina windy; a może raczej jak ustawiona pionowo komora grobu, zważywszy na marmurkową fakturę jej upstrzonych wielobarwnymi, rozmaitej wielkości prostokątami ścian. Pozostając w sieci lokalnej, mógł teraz jedną, zaklętą w ruch dłoni komendą przenieść się do miejsca, gdzie pożółkła tablica z trupią czachą i gotyckimi literami strzegła dostępu do kontrolera systemów operacyjnych mainframu Fortecy.

Szykował się jednak do szybkiego zejścia dalej, w sieć miejską i Skorupę. Wszedł do Studni i zaciśnięciem pięści potwierdził sprzężenie, od tego momentu otaczające go i dostarczające oparcia ściany stały się środkiem wszechświata. Tkwił w nieruchomej Studni, a pejzaż zewnętrznego świata poruszał się w odsłaniających go oknach, posłuszny wydawanym komendom.

Dopiero teraz przesunął względem siebie Fortecę i dobrał się do jej centrali. Przednia ściana Studni zniknęła, zastąpiona ogromnym oknem dialogowym.

Sprawdził aktualny stan sieci. Wszystkie główne jednostki pozostawały w niej, gotowe do pracy, ale w tej chwili nie używane. System zasygnalizował odłączenie kilku mniej istotnych peryferiów, jednocześnie zgłaszając gotowość ich natychmiastowego emulowania.

Nie było aktywnego operatora systemu – na mocy nominacji kierownika firmy oficjalnie pełnił tę funkcję Strzeżewski, ale żeby uczynić pracę wygodniejszą, sieciowe uprawnienia SysOpa przysługiwały całej szóstce.

Oprócz Roberta mainframe nie obsługiwał w tej chwili żadnego innego kataryniarza. Wchodząc do sieci miał zamiar przywołać współpracowników na on-line i naradzić się nad powstałą sytuacją; spodziewał się zacząć od poinformowania ich o sprawie.

Być może było jeszcze za wcześnie. Robert wiedział, że w swoim porannym wstawaniu i kończeniu pracy wczesnym przedpołudniem jest raczej odosobniony. Większość kataryniarzy, także tych z InterDaty, pracowała wieczorami i nocą do świtu. Przede wszystkim ze względu na daleko mniejsze w tych godzinach obciążenie sieci. Dla Roberta dzienny ścisk na łączach nie stanowił problemu; zawsze jakoś udawało mu się obchodzić spowalniające węzły.

A może któryś z nich przyszedł zasiąść do sprzętu, ale zatrzymany przez bezpieczniaków przy wejściu zmuszony był teraz do wysłuchiwania przechwałek Siwawego?

To było istotne – czy zostaną potraktowani tak samo jak on, czy im także wydadzą sprzęt? Przywołał klawiaturę i wypisawszy krótki list oraz opatrzywszy go atrybutem: “Pilne” rozesłał go po domowych adresach całej piątki. Prosił o odpowiedź na węzeł Fortecy. Przywołał segmentowy FFG i kilkoma ruchami zmontował z jego modułów mały program poszukujący, który zostawiony w węźle miał mu dostarczyć każdy wysłany do niego list, gdziekolwiek Robert będzie się w danej chwili znajdować. Nie zrobił nic więcej, by nawiązać kontakt z pozostałymi. Nie użył programu telefonicznego, choć obdzwonić mieszkania researcherów InterDaty wydawało się w tej sytuacji rzeczą najoczywistszą.

Nigdy nie miał z pozostałymi pracownikami InterDaty dobrego kontaktu. Wszyscy byli o całe pokolenie od niego młodsi i bez reszty zajęci robieniem pieniędzy oraz nawiązywaniem korzystnych znajomości. Na pewno byli zdolniejsi, pilniejsi i lepiej wykształceni niż przytłaczająca większość ich rówieśników, ale nie czyniło ich to wcale wolnymi od typowego dla ich generacji zimnego pragmatyzmu, przechodzącego w krańcowy cynizm. To, co nie miało praktycznego znaczenia, co nie przekładało się na konkretne zyski, po prostu dla nich nie istniało. Był pewien, że gdyby dla kontynuowania raz obranej drogi potrzebowali uczestniczyć w jakimś łajdactwie, zrobiliby to bez wahania i nawet bez świadomości, że robią coś złego – układy, wymiany przysług, to, że elita władzy i biznesu istnieje, aby dzielić między siebie podatki ciemnoty, uważali za oczywisty i naturalny porządek świata. Wzorem popularnych osobistości nazywali ten porządek kapitalizmem i święcie wierzyli, że jakkolwiek by on był

brutalny czy niemoralny, po prostu nie ma alternatywy.

Gdyby Robert zaczął im się zwierzać ze swego żalu, że wszystko poszło na marne, wymordowane pokolenia, życiorysy złamane przez uczciwość, porywy serca, już o jego młodości nie wspominając, nie powiedzieliby nic, po prostu przyjęliby do wiadomości i na przyszłość starali się omijać nudziarza.

Kazał systemowi podać historię ostatnich podłączeń. Na wyświetlonym schemacie kilka punktów podświetlonych zostało krwistą czerwienią. W dziewiątym porcie od kilku godzin pracował dodatkowy, pozasieciowy terminal. Robert przywołał backup i sprawdził historię jego pracy. Terminal połączony był ze streamerem i większość jego podłączenia zajęło zgrywanie zawartości głównego archiwum Fortecy.

Operator terminalu dysponował pełnym zestawem haseł i kodów, a po sposobie, w jaki połączył się z głównym archiwum, znać było także, iż doskonale orientował się w architekturze sieci.

Tak czy owak, nie był tym, kogo Robert szukał. To, czego szukał, znalazł chwilę później, przybliżając do oczu kolejny z podświetlonych na czerwono fragmentów sieci. Była to ruchoma stacja sieciowa klasy podstawowej, włączona biernie do sieci krótko przed dziewiątą rano i pozostająca w niej nadal, cały czas bez próby uaktywnienia. Od kilku lat producenci i dystrybutorzy hardware'u umieszczali w standardowym zestawie sieci lokalnej współpracującą z mainframem stację połączeń bezprzewodowych; ułatwiało to posługiwanie się notebookami, uwalniało od plątania się w kablach dla każdego byle drobiazgu, a przy drobnych wydatkach na abonament radiolinii umożliwiało bezpośredni kontakt ze swoją siecią lokalną wprost z podróży, narady w biurze biznespartnera czy negocjacji. Przepustowość takiego łącza była jak na potrzeby kataryniarza śmiesznie mała, spowolniała ją dodatkowo konieczność korekcji błędów na wejściu/wyjściu, tym bardziej licznych, im większa odległość dzieliła połączone bezprzewodowo jednostki. Ale dla skorzystania z lokalnej bazy danych, modyfikacji dokumentu zapisanego w głównym stosie pamięci i odebrania lub nadania poczty wystarczało ono w zupełności.

Standardowa stacja bezprzewodowa w węźle sieci lokalnej miała wśród swoich funkcji i taką, iż automatycznie nawiązywała kontakt z fabrycznym chipem łączenia bezprzewodowego każdej jednostki, jaka znalazła się w jej zasięgu. Kontakt ten, dopóki użytkownik nie zapragnął go uaktywnić, ograniczał się do rozpoznania rodzaju stacji i obsługującego ją programu komunikacyjnego. Przypomniał sobie o tym, gdy Siwawy podtykał mu pod nos ekran swojego notebooka.

Jeżeli w studni zaistniała potrzeba napisania krótkiego tekstu w ASCII, można to było zrobić na kilka sposobów. Początkujący

zazwyczaj wywoływali przed sobą klawiaturę. Robert wolał używać alfabetu głuchoniemych. Składanie palców w kombinacje oznaczające poszczególne litery trwałoby chwilę, ale ponieważ wystarczała sama myśl o ich układaniu w ten lub inny sposób, napisanie tym sposobem kilku zdań w oknie dialogowym zajmowało dosłownie sekundę.

Ułożył krótki komunikat sieciowy, przypominający, iż zbliża się kolejny termin czyszczenia i kompresjonowania wspólnych obszarów pamięci, w związku z czym wszyscy użytkownicy systemu, którzy nie opisali dotąd swoich danych dla programu czyszczącego proszeni są o dokonanie tego w ciągu najbliższych dwóch dni, inaczej mogą bezpowrotnie.utracić swoje zapisy.

Ostatnim ruchem dłoni zaadresował list: ALL USERS i odesłał go do programu nadzorującego systemy operacyjne. Ponieważ list wyszedł od jednego z uprawnionych operatorów sieci lokalnej, system nie miał żadnego powodu zwlekać z jego rozesłaniem do wszystkich ogniw sieci. Próba uaktywnienia połączenia z notebookiem i przekazania mu danych wywołała w oknie dialogowym przed Robertem obraz nie kończącego się tunelu, wypełnionego mnóstwem wychodzących jedna z drugiej aplikacji. Obraz ten przesłonięty był na całą szerokość paskiem komend, żądającym podania w ciągu czterdziestu sekund hasła. Zadziałały procedury wewnętrzne troubleshootera systemu, centrala powiadomiona została o konflikcie w sieci i zamiast hasła podała stanowiący standardową procedurę środowiska sieciowego kod błędu. System Firmy zadowolił się nim, połączenie zostało zdezaktywowane.

Równolegle do tego zadziałała inna automatyczna procedura; gniazdo bezprzewodowe notebooka zidentyfikowało się numerem ID sprzętu i jego parametrami, niezbędnymi podejmującemu kontakt serwerowi sieci do samokonfiguracji.

Robert przesunął te dane do kosza Szybkiej Pamięci i wlogował się do sieci miejskiej.

To było tak, jakby winda, w której stał, obsunęła się o jedno piętro niżej. Teraz zdezaktywował także boczne ściany, zamieniając je w zaznaczające swą obecność delikatną, choć wyraźną refrakcją szkło. Stał w komorze wybierania, głównym węźle interfejsu sieci miejskiej. W mowie kataryniarzy słowo “komora” znaczyło to samo, co dla techników sieci “węzeł”.

Złote litery w lewym dolnym rogu jego pola widzenia informowały o stopniu obciążenia sieci. Mógł się nimi nie przejmować; jego przywilej sieciowy był daleko wyższy niż u zwykłych użytkowników, jeśli centrala publiczna będzie zmuszona zmniejszać przepustowość łączy, nie uczyni tego jego kosztem. Problemem mogły być konkretne serwery, w które zdarzało się wkleić podczas pracy, ale i z tym potrafił sobie radzić.

Komora zasygnalizowała gotowość rozwinięcia paneli informacyjnych, wyszczególniających dostępne przez sieć miejską usługi i połączenia, pytała o tryb wyszukiwania, jakim jest zainteresowany. Tego także nie potrzebował. Nie wybierał się dokonywać zakupów, zwiedzać wystawionych na sprzedaż nieruchomości, przeglądać katalogów dostępnych przez sieć coraz to nowych usług ani grać. Wszystkie te obszary, absorbujące większość aktywności użytkowników Netu, nie wymagały sprzętu, jakim w tej chwili dysponował. Kiedy zastanawiał się nad wakacjami lub ściągał sobie program telewizyjny na wieczór, wystarczały w zupełności standardowe gogle i domowy desktop. Poruszył ręką, wybierając zakodowany w sterowniku jako makro adres przeglądarki serwera informacji miejskiej. Zażądał adresu Ewidencji Ministerstwa Handlu i od razu przerzucił go do trasera z poleceniem znalezienia optymalnego dojścia.

W sieciach krajowych nawigowało się znacznie łatwiej niż na międzyrządowych magistralach G-7, stanowiących fundament WorldNetu. Wynikało to z faktu, iż polskie sieci miejskie wciąż jeszcze miały charakter kręgosłupowy. Wielkie stacje robocze przeważały w nich nad końcówkami domowymi. Pośród okablowanych budynków ponad połowę stanowiły siedziby urzędów i firm, a większość indywidualnych uczestników włączona była przez kable telewizyjne lub nawet modemy do lokalnych sieci gdzieś w centrum miasta – tak samo, jak to było z domowym komputerem Roberta. W Tamtym Świecie Warszawa składała się niemal tylko z centrum, a cała Polska tylko z większych miast – pozostałe były jeszcze tylko pojedynczymi punktami, dopiero zaczynającymi wypączkowywanie z głównych węzłów.

Dobrą stroną tego faktu był brak charakterystycznego dla Zachodu szaleństwa repeaterów, krossownic i generowanego przez nie ruchu, zmuszającego do ciągłych obejść i improwizacji.

Jego szklana winda znowu obsunęła się o piętro niżej, znalazł się w oznakowanym bielą i czerwienią hallu wejściowego interfejsu GOV-u, sieci rządowej. Program trasujący znalazł porozumienie z serwerem, którego potrzebował, programy nadzorujące serwer zbadały jego przywilej, stopień dostępu i oddały mu do dyspozycji część swojej mocy przeliczeniowej. Posunął się trzy komory do przodu, wnikając w bazę danych archiwum celnego. Wydobył z pudełka szybkiej pamięci numery notebooka, mogącego być tylko służbowym sprzętem Siwawego. Przywołał smart-skaner Fortecy i przerobiwszy w ciągu trzydziestu sekund półtora gigabajta starych kwitów dowiedział się, kto zaimportował tę jednostkę do Polski i którego dnia przekroczyła ona granicę.

Skopiował dane, zakończył połączenie z bazą i wylogował się z

GOV-u z powrotem do sieci miejskiej; wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł, ale teraz prowadziła one przez inne węzły, niż w tamtą stronę. Wstąpił znowu o piętro wyżej, ale nie znalazł się przez to na tym samym poziomie, na którym był, zanim zstąpił do GOV-u.

Firma, której potrzebował, przyłączała się do sieci miejskiej przez lokalną sieć Publicznych Zakładów Optycznych. Znowu oznaczało to przebycie kilku pięter i kilku korytarzy wirtualnego labiryntu. W chwili, gdy wejście poszukiwanej firmy zwizualizowało się w Studni, błysnęły mu w oczy zielone litery: CAUTION! THIS ENYIRON-MENT IS NOT FRIENDLY FOR INDIRECT CONTROL-LERS.

Tu wirtualny labirynt kończył się ślepą ścianą. Nie pozostawało nic innego, niż emulować terminal i podejść do serwera tradycyjną metodą. Wystąpił ze szklano-marmurowej komory i zagłębił się w otchłań lokalnej sieci spółki importowo-eksportowej, jednej z setek, jeśli nie tysięcy podobnych jej drobnych importerów sprzętu komputerowego.

Teraz ciężar wizualizowania przetwarzanych danych i przekazywanie ich w formie dostępnej jego podłączonym do komputera zmysłom spadł całkowicie na prowadzący go mainframe Fortecy. Pustka skurczyła się na ułamek sekundy i zaraz rozkwitła widmowym panelem okien.

Sieć składała się z dwunastu jednostek, korzystających ze wspólnego stosu. Ponieważ zidentyfikował się w niej jako gość, serwer powitał go standardowo katalogiem oferowanych przez firmę usług wraz z cenami i warunkami. Przywołał z szybkiej pamięci typ notebooka, jakim posługiwał się Siwawy.

Serwer odpowiedział, iż tym sprzętem nie prowadzi się obrotu i zaproponował zakończenie połączenia.

Zapytał o bazę danych firmy, bez większych nadziei.

Była zastrzeżona. Serwer zaproponował zakończenie połączenia.

Przez dłuższy czas usiłował wydobyć z serwera jakiekolwiek dane na temat firmy, jej udziałowców, pracowników, znaleźć jakikolwiek punkt zahaczenia, ale ten z mechaniczną cierpliwością odmawiał mu dostępu i proponował zakończenie połączenia.

Wylogował się z powrotem do swojej Studni i nawet nie bardzo zważając na drogę, którą się posuwał, zebrał po rejestrach miejskich informacje o lokalnej sieci, z której nie mógł wydobyć potrzebnych mu danych.

Jeśli nie możesz uzyskać jakiejś informacji, to znaczy tylko tyle, że podszedłeś od złej strony – powtarzał sobie jedną z podstawowych zasad swego zawodu. Był znowu w tym niezwykłym transie, znanym jedynie tym, którzy choć na moment zanurzyli się w przestrzeniach Tamtego Świata. Czas przestawał istnieć, przestawało się liczyć, po co i dlaczego tu przyszedł. Omal nawet zapomniał o swojej sytuacji.

Pozostawała tylko trzymająca z nieludzką siłą komputerowa gra; trzeba było znaleźć rozwiązanie i w nagrodę dotrzeć do kolejnego poziomu, którego jeszcze się nie widziało.

Po kilkunastu minutach – coraz mniej to znaczyło -gorliwej krzątaniny w sieci miejskiej wiedział już o firmie wszystko. Z kwitariuszy czynszów Urzędu Dzielnicowego poznał jej numer statystyczny. Sięgnął do rejestrów Izby Gospodarczej i wyłowił z nich dane o koncesji na obrót sprzętem komputerowym, z informacjami o właścicielach, kapitale założycielskim i aportach. Z Urzędu Skarbowego, gdzie teoretycznie wstęp dozwolony był tylko z ustawowymi ograniczeniami, ale oznaczało to w praktyce tyle, że zdobyta tą drogą wiedza nie mogła być upubliczniana w mediach, wydobył listy podatków od wypłacanych wynagrodzeń.

Gdy powtórnie stanął przed nieużytym serwerem, wpisał jako hasło wejścia jedno z nazwisk, wymienionych w koncesji. Serwer odrzucił je, odrzucał też następne. Przeszedł do nazwisk powtarzających się na zgłaszanych do podatku listach płac. Któreś kolejne zostało wreszcie zaakceptowane, oszczędzając Robertowi szukania imion dzieci, żon i kochanek stałych użytkowników sieci lokalnej.

Serwer udzielił mu dostępu do swej pamięci jako Zygmuntowi Sygusiowi, ale w osobistym katalogu Zygmunta Sygusia Robert nie znalazł niczego ciekawego. Zabrał się za przeszukiwanie innych.

Kiedy wreszcie dopisało mu szczęście, nie pomyślał nawet o sprawdzeniu, jak długo już pracuje. Okazało się, że firma, w sieci której się znalazł, nie tylko sprowadza sprzęt, ale także zapewnia mu pełny serwis.

Po pewnym czasie miał w ręku specyfikację notebooka, którego szukał, oraz trzykrotne zapisy z rutynowych przeglądów. Podczas ostatniego z nich w sprzęcie wymieniana była karta sieciowa; dokumentacja zawierała dane nowej karty. W brudnopisie montera znalazł zanotowane robocze hasło, otwierające techniczną bramkę do pakietu zintegrowanego na notebooku.

To już było coś.

Wylogował się.

Każdy ze zmysłów miał swoje zastosowanie w przekazywaniu danych poprzez impulsy rdzenia kręgowego. Także zmysł równowagi statycznej. Błędniki, powodowane impulsami wydawanymi przez obejmujący głowę kabłąk gogli, ustawiały kataryniarza zawsze w taki sposób, żeby miał nad głową swój macierzysty mainframe. Podczas poszukiwań w światowych sieciach, gdy wirtualne połączenie ustalało się przez satelitarne infostrady, a praca przypominała drążenie lochów gdzieś u samych korzeni ziemi, tak ustawione poczucie pionu doskonale ułatwiało nawigację – choć, oczywiście, rzadko kiedy

dawało się wychodzić prosto do góry.

Nie wracał jednak wprost do Fortecy. W interfejsie miejskim zgłosił żądanie wyjścia do Skorupy. Jak nigdy musiał czekać całych kilka sekund na zezwolenie połączenia. Wybrał linię przez Kraków, Sztokholm i dopiero stanąwszy w komorze tamtejszego interfejsu, wlogował się przez zawieszonego nad biegunem północnym satelitę do Ontario i Seattle. Dlaczego tak? Nie potrafiłby powiedzieć. Nauczył się wybierać drogę intuicyjnie, wiedziony jakimś szczególnym przeczuciem, gdzie grozi wklejenie się w kisiel, a gdzie nie.

Dwa kolejne poziomy w głąb i znalazł się w wewnętrznej sieci Uniwersytetu Berkeley. Większość sieci akademickich wręcz obezwładniała zmysły swymi przeładowanymi pejzażami, ale Berkeley zdawał się bić pod tym względem wszelkie rekordy. Sieć szkoły urządzona była w pejzażu ponurych, średniowiecznych lochów, oświetlonych migotliwym płomieniem pochodni. Od głównego korytarza odchodziły dziesiątki ginących w mroku chodników, z panelami informacyjnymi ucharakteryzowanymi na wydrapane w zmurszałych deskach lub cegle runy. Skądś, z dala dobiegało obłąkańcze wycie torturowanych, w każdym miejscu, na które padł wzrok, występowali z murów lub wprost z pustki Przewodnicy sieci lokalnych lub serwerów pod postaciami zakapturzonych mnichów, kościotrupów albo umięśnionych blondynek, których skąpe stroje składały się w większym stopniu z blachy niż z materiału. Powstrzymał się od gwizdnięcia przez zęby.

– Tak to jest, kiedy studenci mają dziesięć godzin na tydzień i trzy egzaminy w sesji – mruknął tylko do siebie i natychmiast otworzyło się przed nim okno z informacją o błędzie i prośbą o ponowienie komunikatu.

Skasował je. Kiedy indziej mógłby stracić dłuższą chwilę na podziwianie efektów sprytu i fantazji uniwersyteckich programistów, ale teraz szukał konkretnego, przyłączonego przez tę sieć systemu, którego adres wydobył z głębin wspólnej pamięci Fortecy. Przywołał odnajdujący go kod, złożył razem stopy, podciągając kolana do góry, pochylił się do przodu i przemknął przez labirynt podziemi aż do ciężkich, okutych drzwi z napisem: “Powiedz «przyjacielu» i wejdź”.

– Friend – mruknął. Drzwi ustąpiły. Znowu poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa; dwa mainframy dogadały się co do środowiska, Cerber Netu sprawdził ID i przywilej Roberta, upewnił się co do jego niekaralności, pełnoletniości i wypłacalności, sterownik zmodyfikował parametry, dostosowując się do konfiguracji nowego połączenia – i Robert stał się aktywnym użytkownikiem sieci Cypher Devils Club.

CDC należał do kategorii użytkowników, których amerykańskie prawo, narzucone trzem czwartym świata, definiowało jako “pozbawionych pełnego dostępu” – tej samej kategorii, do której

należały wirtualne sex shopy. Limited Accessibility oznaczała zakaz umieszczania danych wejściowych w ogólnodostępnych przeglądarkach Skorupy i sieci publicznej oraz obwarowywało korzystanie z poddanych restrykcji obszarów szeregiem warunków dotyczących wieku i sieciowego statusu użytkownika.

Robert dowiedział się o CDC podczas pracy w Kancelarii, ale nigdy wcześniej nie miał powodu z wiedzy tej korzystać. Słyszał o wielu podobnych obszarach, zazwyczaj powiązanych w ten lub inny sposób z sieciami akademickimi. W tej chwili wybrał właśnie ten, ponieważ w pamięci utkwiły mu nie pamiętał już czyje pochwały dla rozpowszechnianego przez CDC półdarmowego oprogramowania.

Pejzaż sieci lokalnej był jeszcze bardziej plastyczny niż podziemia, które do niej prowadziły – z ledwością powstrzymał chęć cofnięcia się o krok, ku wciąż obecnej za plecami ścianie własnej Studni, który to ruch niechybnie zostałby przez sterownik zinterpretowany jako zakończenie sesji. Znajdował się w mrocznej jaskini, wyrysowanej szaleńczym światłocieniem, jakby wziętym z grafik niemieckich ekspresjonistów. Nie była to prostopadłościenna klatka z barwnych linii, wyłożona płytami paneli i przeglądarek – jak większość dostępnych w sieci stacji. Była to zalana upiornym światłem, zagracona kolorami jaskinia, rozwinięte w trzy wymiary graffiti z kampusowego muru. On sam stał się przysadzistym, okrytym krótką szczeciną i łuskową zbroją wilkołakiem, o obrzydliwie upazurzonych łapach. Plączące się pod nogami, spiętrzone pod ścianami kształty sprawiały wrażenie usypanych bezwładnie stosów, dopiero wpatrzywszy się w ich układ, można było odróżnić tworzone przez nie warstwy. Większość dała się zidentyfikować jako interfejsy programów lub ciekawie zmodyfikowane panele świadczonych przez sieć usług; z niektórymi nie miałby ani śladu pomysłu, co zrobić. Na wszystkim odcisnęła się estetyka popularnych gier i komiksów. Jakieś potrzaskane skrzynie, zwoje lin, ożywających pod spojrzeniem w kłębowiska żmij i robaków, ogniłe czaszki, ogromne szczury. Na ścianach wykwitały pod spojrzeniem satanistyczne symbole. W uszy uderzyła go dzika, drażniąca muzyka, kojarząca się z rytmicznymi skrętami kiszek wampira.

Pomocnik interfejsu zjawił się po przepisowych pięciu sekundach i doskonale pasował do pejzażu sieci. Był to nadpieczony, częściowo zwęglony trup, w wypalonych dziurach pomiędzy żebrami pulsowały oślizłe flaki. Robert mógł sobie pogratulować, że jego zestaw nie umożliwiał odbioru wrażeń węchowych – był pewien, że Cyfrowe Diabły nie zapomniały i o tym.

Przypieczony trup rozdziawił osmalone, różowe dziąsła i wydał z siebie charkotliwy, odrażający głos.

– Hi bud, d'ya need? – tyle tylko udało mu się zrozumieć z

koszmarnego slangu gangsterskich przedmieść, którym posługiwał się Przewodnik. Złożył palce obu rąk, otwierając pomiędzy nimi okno dialogowe i zatrudniając do bieżącej konwersji program tłumaczący.

Witaj w jaskini Klubu Cyfrowych Diabłów. Jeśli nie jesteś [nie znane słowo] będziesz mógł tutaj znaleźć, kupić lub wymienić trochę oprogramowania, które na pewno nie spodoba się [nieznane słowo], a także [nieznane słowo]. Jeśli chcesz nam zaproponować transakcję, przywołaj Necrovore'a [sugestia: imię własne]. Jeśli chcesz poznać, co szykujemy na [nieznane słowo], skieruj się do głównego panelu. Jeśli masz ochotę się zabawić…

Nie mógł złapać orientacji w systemie operacyjnym, na którym opierała się sieć, ani w jej architekturze; wszystko tu było inne, poprzestrajane, cudaczne. Nie pozostało nic innego, niż stosować się do poleceń gospodarzy klubu. Zastanawiał się chwilę nad wyborem sposobu przeglądania zasobów, w końcu zdecydował się na zwykły hiper-tekst w oknie dialogowym. Nie miał czasu na podziwianie dorobku młodych talentów amerykańskiej informatyki.

Dokopał się do listy proponowanego software'u, bardzo porządnie zaopatrzonej w szczegółowe opisy wraz z programami demonstracyjnymi.

Te właśnie programy musiały być powodem, dla których władze zezwalały na półlegalne funkcjonowanie sieciowych klubów cyferów. Wiedziały przecież nie gorzej niż ich bywalcy, czemu kluby te służą. Wiedziały także coś, co nie wszyscy cyferzy potrafili sobie uświadomić – że są one doświadczalnym poligonem następnych pokoleń programistów i sprzętowców, wylęgarnią przyszłych specjalistów od zabezpieczeń i pożyteczną w komputerowej biocenozie, kontrolowaną populacją wilków, zmuszających koncerny do utrzymywania czujności.

Cyferskie programy, oprócz tego, że służyły rzeczom, których legalność można by kwestionować, były zwięzłe. To je różniło w sposób zasadniczy od “puszystych” produktów wielkich korporacji, pełnych łat, nakładek i poprawek, zbędnych funkcji, pożerających beztrosko ogromne obszary nośnika i pamięci operacyjnej użytkownika. Nawet taki rynkowy wstrząs, jak spektakularne wyłożenie się przed kilkoma laty architektury windowsów, nie oduczyło programistów wielkich firm nonszalanckiego zużywania RAM-u. Młodym, nawiedzonym chciało się babrać w asemblerze i konstruować programy z maksymalną ekonomią – li tylko dla cyferskiej sławy i uznania braci w szaleństwie. Dlatego potrafili zawrzeć w jednym megabajcie funkcje, na które komercyjny software zużyłby ich dziesięć.

Znalazł to, czego szukał. Program nazywał się CypherStalker.

– Za ten kawałek liczę tauzena, ale jeśli potrafisz mi udowodnić,

że jesteś prawdziwym żołnierzem Szatana, rzucę darmo i dołożę parę bajerów – oznajmiła z przeglądarki animowana fizjonomia młodego programisty. Robert nie zamierzał mu tego udowadniać. Wywołał i potwierdził przelew – tym łatwiej, że zrobił go z konta InterDaty. Jednym ruchem posłał czarną, połyskliwą kulę nowo nabytego programu ku ścianie swej studni, która połknęła go i rozpaliła komunikaty o rozpoczęciu procedury zgrywania konfiguracji.

– No, chłopcy, mam nadzieję, że to jest naprawdę coś warte – westchnął i machnięciem ręki starł z przestrzeni okno z komunikatem o błędzie.

Odbił się mocno nogami, z prawdziwą ulgą opuszczając siedzibę cyferów i, wróciwszy do podziemi Berkeley, rozpoczął mozolne wynurzanie się z głębin Tamtego Świata.

*

W chwili, gdy przed Robertem stanął upieczony miotaczem płomieni trup, Wiktoria z westchnieniem ulgi posłała w diabły ostatni z kretyńskich tekstów i zamknęła na ekranie okno katalogu Zjednoczonych Redakcji. Przeciągnęła się na fotelu, rozejrzała po pokoju, przez chwilę przyglądała się pracującym kolegom. Zerknęła na zegarek.

Dyżur dobiegał końca. Ale tego dnia, tak czy owak, musiała siedzieć tu nadal – tak długo, aż spłyną do nich wszystkie komentarze z ceremonii podpisania Gwarancji, przeznaczone na kolumny ekonomiczne pism koncernu, i aż zwolnią je wszystkie do druku.

Jakoś nie chciało jej się sięgać po telefon. Otworzyła kursorem panel komunikacji, wybrała z menu “voice” i numer telefonu w swoim domu.

Nie odpowiadał.

Spodziewała się tego. Wywołała adres sieciowy Roberta i jego kod. Czasami, w pilnych sprawach zdarzało się, że rozmawiała z nim, kiedy siedział głęboko w sieci. Śmiał się wtedy i nazywał ją “panienką z okienka”. Proponował nawet, żeby założyła gogle, to pokaże jej kawałek wirtualnego świata, ale jakoś nigdy jej to nie ciekawiło.

W tej chwili jestem poza zasięgiem połączenia on-line. Zostaw wiadomość lub skontaktuj się później – brzmiał komunikat na pasku komunikacji.

Wycofała się z połączenia.

*

Teraz Robert znajdował się w Ejlacie.

Dla sieci miejskiej, w którą wszedł poprzez centrum informatyczne miejscowego uniwersytetu, był Awi Zysmanem, studentem medycyny. Awi Zysman zginął przed kilkoma miesiącami w autobusie, który wybrał sobie za cel arabski kamikaze. Jego sprzęt został przez cyferów włączony do sieci jako szczególnego rodzaju serwer, udostępniający tylko jedną usługę: udzielał każdemu posiadaczowi odpowiedniego hasła swojego autentycznego, nie przerabianego w żaden sposób ID, nie mogącego obudzić podejrzeń CancelBotów.

Prawnicy nie byli zgodni, czy udzielanie innym użytkownikom swojego ID jest zgodne z konwencją i nie należało się spodziewać zbyt szybko rozstrzygającej wykładni. Z drugiej strony, Robert miał w pamięci, że nie jest obywatelem światowego supermocarstwa i może się tylko modlić, aby software CDC był wart krążących o nim opinii.

Tkwił w Tamtym Świecie głębiej niż kiedykolwiek, Nić jego połączenia splątała się i znowu odczuwał, jak kisiel na łączach spowalnia jego ruchy, czasem wręcz powodując na długie sekundy twardnienie otaczającej go przestrzeni.

Z Ejlatu połączył się znowu ze Skorupą, wszedł przez warszawską sieć miejską do Fortecy i już po raz drugi, pozbywszy się hasłem dostępu postaci Honveda, emulował wirtualny terminal, po czym uaktywnił połączenie notebooka.

CypherStalker zwizualizował się przy nim jako coś w rodzaju psa. Psa, w konkurencji z którym pieszczoszek Baskerville'ów byłby medalistą. Ruchliwy, nieostry cień, wychodzący co chwilę z pola widzenia, dawał się zauważyć przede wszystkim dzięki lśniącym upiornie ślepiom i pełnemu kłów, smoczemu pyskowi.

Wywołał notebook identyfikatorem serwisu. Natychmiast wpakował się w zakrzepłą żelatynę; zrezygnował z pełnej wizualizacji i poprzestał na wirtualnym terminalu z dwuwymiarową projekcją schematu oprogramowania.

Boczna furtka w systemie operacyjnym nie pozwalała przeglądać ani modyfikować danych; do tego celu musiałby uruchomić programy notebooka. Mógł jedynie zbadać pliki konfiguracyjne, określić możliwe konflikty między dostępnymi aplikacjami i poznać schemat wzajemnych relacji sieci macierzystej czytanej jednostki.

I to właśnie zrobił: wyświetlił przed sobą możliwe połączenia, zakodowane w pamięci nadzorcy programu komunikacyjnego.

Patrzył na trójwymiarowy, splątany schemat i przez chwilę zastanawiał się, co z nim zrobić. Właściwie jego plan ograniczał się do

tego, aby dostać się do notebooka i znaleźć w nim dane na swój temat. Jak na razie było to jedyne, o czym myślał i na czym skupiał wszystkie swoje siły.

Rasowy cyfer, na ile się na tym znał, zmontowałby teraz trudnego do wykrycia wirusa, uwiesił go na programie zapisującym węzła komunikacyjnego, a potem odczekał kilka dni. Dopiero wtedy wróciłby do notebooka i dzięki wirusowi, działającemu na przechodzące do back-upu dane, jakby wsadzał nogę w drzwi, uniemożliwiając ich należyte domknięcie, odczytał użyte podczas jego nieobecności hasła i kody. Odpadało.

Mógł próbować skopiować część danych z notebooka. Nadzorca systemu sygnalizował obecność w napędzie dyskietki. Sprawdził ją, na ile umożliwiał to przywilej serwisu; nie było na niej żadnych programów, tylko kilka obszernych plików w standaryzowanym formacie sieciowej bazy danych. Format pasował doskonale do tego, co Siwa-wy miał wyświetlone na ekranie notebooka i Robert dałby sobie obciąć rękę, że dane, którymi usiłował go wtedy zmiękczyć, pochodziły właśnie z tej dyskietki.

Miał więc to, czego szukał, w ręku. Pozostało tylko przejąć i odczytać odnalezione dane.

I tego właśnie, uświadomił sobie rozpaczliwie, nie dało się w żaden sposób zrobić.

Kopiować? To by było szaleństwo. Siwawy wyglądał na człowieka, który z trudem odróżnia klawiaturę od drukarki i może istniała jakaś szansa, że nagłe uruchomienie się napędu nie wzbudziłoby jego podejrzeń. Ale sądzić, że programiści Firmy nie zabezpieczali swoich danych przed próbami kopiowania, mógłby tylko idiota. Najpewniej sama próba uruchomienia którejkolwiek z procedur powielających dane zawiesiłaby system. Miał nadzieję, że poszukiwania sprawcy zakończyłyby się wtedy na nieboszczyku Awim Zysmanie, ale tak czy owak, cała robota poszłaby na marne.

Z drugiej strony, próba uruchomienia bazy danych i przejrzenia danych bezpośrednio z dyskietki byłaby szaleństwem jeszcze większym. CypherStalker był pakietem przeznaczonym do niszczenia danych. Na ile zdążył się zorientować, poza ochroną anonimowości użytkownika i kontratakowaniem w wypadku jego wyśledzenia miał rozbudowane procedury wynajdowania głębokiego centrum systemów; obejmowały one również otwieranie sobie drogi przez penetrowanie zabezpieczeń. Ale działo się to niejako na marginesie jego głównego celu; Stalker nie był programem przełamującym kody ochronne czy ułatwiającym podsłuch elektroniczny albo kradzież danych. Takie programy były przez prawo zakazane całkowicie jednoznacznie, bez żadnych nieostrych granic interpretacyjnych, na których mogliby balansować cyferzy.

Ogarnęła go fala zwątpienia. Nic z tego nie mogło wyjść. Nie nadawał się na hakera. Nigdy tego nie robił. Po rozmowie z Siwawym był nawet zbyt wzburzony, żeby dobrze pomyśleć. Cud, że jeszcze się coś do niego nie dobrało.

Powinien wycofać się ze Studni, zakończyć sesję i zastanowić się, jak oddać InterDacie pieniądze bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi na swą wyprawę do CDC.

Pomyślał o Wiktorii.

Na zajmującym przednią ścianę ekranie Studni wciąż jarzył się schemat przyłączeń sieci macierzystej Siwawe-go. Powiększył obraz i analizował go przez chwilę.

Wyciągnął lewą rękę ku obroży Stalkera, ukształtowanej w wysoki kabłąk, niczym u psa przewodnika dla niewidomych. Z pewnym trudem odnalazł na jej wewnętrznej powierzchni cieplejsze punkty – to było dobrze wymyślone, ciepło-zimno jako metoda podpowiadania kolejnych kroków procedury, w ogóle Cyfrowy Gwałciciel coraz bardziej wydawał mu się wart swojej ceny.

Ustawił go do penetracji kontrolera połączeń i wystartował lekkim potrąceniem goleni. Pies skwitował to krótkim ryknięciem brzmiącym, jakby plunął ogniem, skoczył w przód i rozpłynął się na niewidzialnej ścianie Studni. Nagle przestrzeń pociemniała i jakby skurczyła się -przez chwilę sądził, że to znowu jakaś blokada na łączach zwolniła transmisję danych do stopnia powodującego zaskorupienie wirtualnego środowiska pracy. Ale nie, tak pracował Stalker. Na wysokości oczu Roberta, z trzech czwartych na lewo od niego rozkwitło czarne jak kosmiczna pustka okno, po którym jakiś czas później zaczęły przebiegać szeregi białego pisma, informując o postępach w przegryzaniu się przez program.

Sam do końca nie rozumiał, jak działa CypherStalker. Domyślał się, że dzięki swej niezwykle spoistej formie był w stanie wtopić się pomiędzy sekwencje tradycyjnego, “puszytego” programu, kompilowanego z języków wysokiego poziomu. Chodził bezpośrednio w warstwie kodu maszynowego, niewidzialny i niewyczuwalny dla większości tradycyjnych systemów strażniczych; przeczesywał software moduł po module, pętla po pętli, odsyłając zdekompilowane do poziomu asemblera partie programu do swojej części bazowej, która rekonstruowała z nich jego przybliżone odwzorowanie.

Czekał. Żeby zminimalizować nieprzyjemne skutki powtarzających się zgęstnień na łączach rozciągniętej teraz i zwężonej do niemożliwości Nici stopniowo rezygnował z wizualizacji coraz to kolejnych obszarów i w końcu tkwił bezczynnie w niemal zupełnej pustce, mając przed sobą tylko białe litery.

Stalker, wciąż nie zauważony, wdzierał się stopniowo do oprogramowania notebooka, opis na wirtualnym ekranie nabierał

sensu, aż Robert zdecydował się przywołać program interpretujący.

W dwadzieścia minut po spuszczeniu Stalkera ze smyczy miał w ręku algorytm swoisty, wykorzystywany przez notebook do standardowego chipu kryptograficznego oraz hasła, za pomocą których Siwawy wchodził do sieci Firmy – jedno i drugie odczytane bezpośrednio z programu nadzorującego bramkę i odtworzonego w rekompilatorze Stalkera.

Cyfrowy Gwałciciel zwrócił się o opcjonalne potwierdzenie decyzji: uaktywnienie procesu dekompozycji atakowanego programu lub dalsza penetracja systemu – z przejściem przez bramkę sieci.

Odwołał go i przywróciwszy wizualizację Studni, zaczął montować dalszy ciąg połączenia. Miał szczerą nadzieję, że Siwawy nie zdoła zauważyć czasowego spowolnienia pracy swojego notebooka. Jeszcze raz uaktywnił główne połączenie przez port bezprzewodowy Fortecy. Na zagradzającym drogę pasku wpisał hasło “Dzida”, notebook porównał je z kodami blachy Siwawego, która wciąż tkwiła w kieszeni czytnika – bez czego zresztą jakiekolwiek użytkowanie przenośnego komputera nie byłoby możliwe. Już jako Dzida odwrócił łącze i wszedł do Fortecy, całkowicie przechodząc pod sterowanie jej mainframu. Korzystając z danych Stalkera zrekonstruował w jego obszarach pamięci wirtualną kopię tej części oprogramowania notebooka, która podtrzymywała jego Nić. Od tej chwili Dzida mógł wyłączyć swój sprzęt i zabrać go z InterDaty, dla programów strażniczych nadal pozostając użytkownikiem Netu.

Problemy zaczęłyby się dopiero wtedy, gdyby Siwawy sam zapragnął się teraz połączyć z macierzystą Siecią.

Węzły komunikacyjne Firmy okazały się być dostępne w kilku mniej i bardziej ruchliwych punktach. Zdecydował się nie korzystać z komory interfejsu miejskiego. Wybrał wejście w warszawskim węźle sieci bankowej. Kody wyszarpane z notebooka przez Stalkera zaprowadziły go do wejścia w ułamku sekundy. Zidentyfikował się jako Dzida i został wpuszczony.

Teraz poruszał się już z największym trudem, cały w gęstym, mętnym żelu. Stał przed zwalistą, szarą ścianą, zwężającą się perspektywicznie ku górze, niczym wierzchołek piramidy. Gdy skupiał na którymś jej miejscu wzrok, obraz wyostrzał się i wtedy mógł dostrzec, że ściana w rzeczywistości przypomina plaster miodu, porowata od upakowanych ciasno jedno przy drugim wejść tuneli.

Nabrał głęboko powietrza i wkroczył w szary, aseptyczny korytarz, ciągnący się w dal na wprost przed nim, wypełniony zawieszonymi w przestrzeni, rozwiniętymi jedno z drugiego oknami menu.

Przyglądał im się przez dłuższą chwilę, potem ściągnął ku sobie panel indeksowania. Metodą prób i błędów odnalazł funkcję indeksu

bazy danych i wpisał jako hasło poszukiwania swoje nazwisko.

Dostał komunikat o błędzie i żądanie uściślenia rodzaju spraw, którymi jest zainteresowany.

Po kolejnej serii prób i błędów zdołał rozwinąć stosowną część panelu. Zastanowił się chwilę i wybrał na nim Sprawy Operacyjnego Rozpracowania.

W tym momencie stało się kilka rzeczy naraz.

Cyfrowy pies przy jego nodze zaryczał ostrzegawczo, szarpiąc go do tyłu.

Panele dostępu zniknęły jak zdmuchnięte, pozostawiając tylko perspektywę szarego, nie kończącego się korytarza.

Programy rezydentne jego Studni zaczęły sygnalizować kolejne fazy połączenia z programami nadzorczymi kolejnego mainframu, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł charakterystyczny dreszcz, którym objawiało się zawsze przejście pod nadzór następnej jednostki.

Nim ze zgęstniałej przestrzeni zdołał wydać komendę odwrotu, Stalker, którego szybkości nie ograniczała przepustowość łączy, uruchomił procedurę obrony przed przejęciem kontroli. Z przeraźliwym rykiem runął ku ścianie studni, aby wtopić się w program przejmujący dozór nad jego użytkownikiem i rozsadzić jego procedury logiczne. Przestrzeń na ułamek sekundy zadrgała w rozpaczliwym spazmie i Stalker znikł. Po prostu znikł, bez jednego komunikatu, jak gdyby nigdy go nie było. Robert szarpnął się, usiłując rozpaczliwie przywołać jego łącza, ale Studnia odpowiedziała lakonicznym komunikatem o błędzie. Ten komunikat był przedostatnim, jaki dotarł do świadomości Roberta.

Ostatnim była informacja od Traka, informująca o restartowaniu automatycznej procedury skrócenia Nici.

Była to jedna ze standardowych procedur pracy researchera. Podczas gdy główne prowadzące kataryniarza jednostki zajęte były przetwarzaniem i wizualizowaniem danych jego środowiska, Trak i wspomagające go programy stacji sieciowych sprawdzały, czy gdzieś po drodze pomiędzy macierzystą stacją kataryniarza a przejmującymi go kolejno komputerami nie otworzyła się krótsza, bardziej przepustowa droga. Jeżeli się tak zdarzało, synchronizował ze sterownikiem przeskok na nowo wytyczoną Nić. Funkcja ta z zasady działała autonomicznie i Robert przed wejściem na uniwersytet w Ejlacie po prostu ją odłączył.

Teraz przejmujący go mainframe uaktywnił ją ponownie. Odczytał taki właśnie komunikat, ale nie zdążył już nic zrobić. Potężny, niespodziewany program, który poradził sobie ze Stalkerem jak z dziecinną zabawką, nie dał się ani przez chwilę nabrać ani na kody Dzidy, ani na ID Awiego Zysmana i skomplikowane manewry w Skorupie; po prostu natychmiast po przejęciu kontroli nad Robertem

wymusił skrócenie Nici do najwydolniejszej, bezpośredniej linii pomiędzy jego domowym terminalem, Fortecą i Piramidą, wyrywając Roberta z morza twardniejącego okresowo kisielu, z szarego, nie kończącego się korytarza wiodącego w głąb piramidy i w ułamku sekundy wtrącając go w bezdenną, czarną i nieprzeniknioną pustkę.

*

Przez chwilę Robert nie istniał. Istniała tylko ciemność.

Potem w tej ciemności rozjarzył się świetlisty punkt, urósł do wielkości płomienia, roztoczył dookoła krąg blasku.

W tym kręgu dostrzegł najpierw woskową świecę i trzymającą ozdobny świecznik rękę w granatowym, szamerowanym złotem mundurze. Zdał sobie sprawę, że to jego ręka. Szedł po biało-czarnej szachownicy marmurowej posadzki, poprzez pałacowe wnętrza, właściwie nie szedł, a skradał się, trzymając w drugiej ręce sztylet. Słaby podmuch powietrza, dobywający się skądś, z ciemności, krzywił płomień świecy. Czuł chłodny powiew na policzku.

Nie było mowy o kisielu, o sztywności ruchów. Kilka gestów wystarczyło mu, by stwierdzić, że tym razem symulacja rzeczywistości jest absolutnie doskonała. Tkwił we własnym ciele, mógł poruszyć każdym jego mięśniem. Czuł zapach rozgrzanego wosku, ciepło bijące od płomienia, słyszał delikatne poskrzypywanie skóry, z której uszyto jego wysokie buty.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się doświadczać czegoś podobnego. Jeszcze nigdy w Tamtym Świecie doznania wszystkich zmysłów nie były tak czyste i intensywne, a symulacja jego własnego ciała tak pełna.

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, było sprawdzenie Traka – jak przebiega jego Nić i gdzie w tej chwili znajduje się on sam.

Ale w miejscu, gdzie powinien znajdować się panel kontrolny Traka, nie było niczego. Poruszył ze zniecierpliwieniem ręką, przywołując go, potem energicznym wymachem przedramienia odwołał się bezpośrednio do sterownika – ale i to niczego nie dało. Obrócił się gwałtownie ku tylnej ścianie Studni. Ściany nie było.

W miejscu, które teraz znajdowało się nie wiadomo gdzie, serce spoczywającego bezwładnie na fotelu ciała przyspieszyło w spazmie przerażenia; w zwężających się gwałtownie żyłach wzrosło uderzeniowo ciśnienie krwi.

Jego Studnia przestała istnieć. Oprogramowanie, wiążące go z Tamtym Światem, oprogramowanie, nad którym potrafił panować,

znalazło się poza jego zasięgiem.

Rzucił ze złością o ziemię sztyletem, który potoczył się z brzękiem po posadzce. W takiej sytuacji, gdy coś działo się z Nicią, sterownik powinien automatycznie wylogować go z sieci, w jakimkolwiek jej miejscu akurat przebywał, i uruchomić program powrotny, który łagodnie ściągnie go do punktu wyjścia.

Przez przygnębiająco długi czas nic się nie działo.

– Tak. Straciłeś Nić i nie odzyskasz jej, dopóki nie zakończy się twoja próba – odezwał się wewnątrz jego głowy szczękliwy, metaliczny głos.

Rozejrzał się. Powietrze nad pobłyskującym sztyletem zgęstniało, wydęło się jak soczewka, potem zaczęło formować w kształt ludzki i nasycać się barwą, aż wystąpiła z niego postać, sprawiająca wrażenie, jakby ulano ją z płynnego, ciemnego żelaza.

– Wolno ci teraz pytać, ale na niektóre pytania nie otrzymasz odpowiedzi. Będą one przedmiotem oceny, tak jak wszystko, co zrobiłeś i powiedziałeś od chwili, kiedy po raz pierwszy zostałeś wprowadzony w rzeczywistość wirtualną i skorupę Netu. Decyzji, jaka na tej podstawie zapadnie, nie poznasz, ale jej skutki określą twoje dalsze życie.

Żelazny nie poruszał ustami, głos nadal rozlegał się bezpośrednio w głowie Roberta. Przewodnik skończył i złożył ręce na piersi, skinieniem głowy zaznaczając, iż teraz kolej na pytania.

– Gdzie jestem?

– W miejscu sieci, które nazywamy Corbenicem.

– Co to za miejsce?

– Corbenic jest lokalną siecią sieci wirtualnych, opartą na stacjach istniejących w różnych krajach, których lokalizacja, ilość oraz architektura połączeń znana jest tylko najgłębiej wtajemniczonym użytkownikom Corbenicu.

Przełknął z trudem ślinę, ale nie był już w stanie zgadnąć, czy jego pozostawione nie wiadomo gdzie ciało powtórzyło ten gest, czy też symulacja komputerowa w Corbenicu sięgała nawet tak drobnych szczegółów.

– Po co – zapytał – istnieje Corbenic?

– Aby udzielać pomocy kataryniarzom, którzy jej potrzebują. A także by umożliwić im wspólne działanie i wywieranie na świat wpływu odpowiedniego do naszego znaczenia.

Robert cofnął się kilka kroków. Miejsce, które wyławiał z ciemności krąg świecy, sprawiało wrażenie jakiejś królewskiej garderoby, może przedsionka sypialni. Podszedł do stojącego o kilka kroków empirowego krzesła i przysiadł na nim, wciąż bezskutecznie starając się znaleźć jakąś skazę na doskonałości symulowanego świata.

– Więc znalazłem się tutaj, bo potrzebuję pomocy?

– Znalazłeś się tutaj z innej przyczyny, ale to fakt, że jej potrzebujesz – głos wydawał się pozbawiony intonacji. Żelazna głowa poruszyła się kilkakrotnie powoli w górę i w dół. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo. Podczas ostatnich stu dziewięciu minut popełniłeś wiele błędów, w tym co najmniej trzy dużego kalibru. Wydostałem cię z Piramidy na sekundę przed wzbudzeniem jej systemu antywłamaniowego. Zapomniałeś zupełnie o bekapowaniu przebić sieciowych. Nie wiedziałeś o kontrodzewie dezaktywującym program ścigający, który należy wprowadzić w ciągu pierwszych czterdziestu sekund po wlogowaniu się do Piramidy; system nie podaje otwartego wezwania właśnie po to, by w ten najprostszy z możliwych sposobów wyłapać od razu na wejściu próbujących włamania żółtodziobów. No i w końcu, złamałeś wewnętrzną instrukcję pracy z bazą danych Piramidy. Od użytkowników o tak niskim przywileju sieciowym jak ten, którym się posłużyłeś, wymaga ona przeszukiwania zasobów poprzez wejście z menu do jednego z istniejących indeksów, a nie poprzez samodzielne ich tworzenie, jak to zazwyczaj robią w obcych sieciach researcherzy. Każdy z tych trzech błędów, wzięty z osobna, wystarczałby do ściągnięcia debbugerów. Gdybym odesłał cię teraz dokładnie w to samo miejsce, z którego zostałeś zabrany, Piramida natychmiast zamrozi ci połączenie, a za kilkanaście minut przed twoim domem pojawi się samochód Firmy.

– Nie jestem… nigdy nie sądziłem, że będę próbował włamywać się do systemów – powiedział. – To było głupie.

– To było głupie – potwierdził Żelazny. – Przypuszczam, że zdawałeś sobie z tego sprawę. Atak na notebook, obsługiwany przez człowieka, który z największym trudem opanował kilka podstawowcyh komend, nie był złym pomysłem. Ale próba wejścia do Piramidy, bez elementarnej wiedzy o jej procedurach, to rzeczywiście kretyńskie zagranie.

– Powiedzmy: rozpaczliwe – poprawił rozmówcę.

– Powiedzmy jednak: kretyńskie. Jak każda decyzja, którą podejmuje się pod wrażeniem chwili.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego ją podjąłem. Musiałbym się zastanowić.

– To akurat mogę ci powiedzieć: tak ładnie ci poszło, że straciłeś rozwagę. Poważny minus. Przede wszystkim, za bardzo ci się spodobał CypherStalker w działaniu. Bardzo chciałeś uwierzyć, że on może tego dokonać. Poprowadzi cię przez ubeckie archiwa jak po sznurku do twojej teczki, ty nachachmęcisz śledczemu w papierach i wszystko zakończy się pięknie jak na filmie. Chyba naprawdę tak myślałeś. Jestem zdumiony. Takie zachowanie nie pasuje do twojego profilu psychologicznego, jakim dysponujemy w Corbenicu.

– Miewam dni, kiedy zaskakuję nawet samego siebie. – Czuł się

zmęczony i obity. – Ale rzeczywiście, Stalker zrobił na mnie duże wrażenie. Rozumiem, że mogę go już skreślić?

Żelazny tylko na pierwszy rzut oka stał wciąż nieruchomo jak posąg, z rękami założonymi na piersi. W istocie ledwie dostrzegalnie kołysał się w przód i w tył. Człowiek nie jest w stanie wytrzymać długo w absolutnym bezruchu. Nawyk przemaga nawet wtedy, gdy steruje się wirtualnym odwzorowaniem swego ciała, którego ruchy nie mają żadnego wpływu na drętwienie mięśni.

– Nie masz powodu o nim myśleć. Jeżeli zostaniesz zakceptowany przez Corbenic, będziesz mógł używać do swoich zadań programów zupełnie niepowtarzalnych, istniejących tylko tutaj i dystansujących wszystko, co kiedykolwiek widziałeś. W przeciwnym razie żadne oprogramowanie sieciowe nie będzie ci już potrzebne.

Zapadła długa chwila ciszy.

– W pierwszej chwili myślałem… Nie jesteś Przewodnikiem – powiedział wreszcie Robert. – To on-line. Ilu jest takich, jak ty? Ilu z nich znam?

– Tego nie dowiesz się nigdy. Będziesz spotykał ich tylko tutaj, tylko wtedy, gdy zostanie to uznane za konieczne, zawsze zwizualizowanych w takie same, żelazne postaci jak ta, w której oglądasz teraz mnie. Otrzymasz swoją stałą ścieżkę dostępu do Corbenicu i będziesz zajmował się przydzieloną ci dziedziną. Nigdy nie będziesz wiedział, kto śledzi i sprawdza twoje zachowanie. Jeśli jednak zostanie ono oceniono dobrze, z czasem możesz zostać uznanym za godnego, by dostąpić kolejnego wtajemniczenia. Z czasem być może ty będziesz kontrolował i opiniował pracę innych. Być może w którymś momencie zostaniesz dokooptowany do Kolorowych, tych, którzy zbierają informacje od Żelaznych, ogarniają całość sytuacji, podejmują decyzje i przekazują je do realizacji. Wszystko będzie zależeć od tego, jak zostaniesz oceniony przez swoich śledzących.

– A jeśli źle?

– Jeśli nie wyróżnisz się na plus, po prostu zostaniesz na zawsze wśród Żelaznych. Tak się zapewne stanie z większością kataryniarzy. To wcale nie jest zły wariant. Corbenic dostarczy ci pomocy w dalszej karierze zawodowej. Jeśli tak zdecydujemy, możesz zostać wycofany z sieci, ale nie przestaniesz przez to należeć do układu. Będziesz pozyskiwać nowych ludzi dla Corbenicu i sprawować pieczę nad wskazanymi osobami, nigdy nie wiedząc, czy masz do czynienia z wtajemniczonymi, a jeśli tak, to na którym stopniu wtajemniczenia. Być może zapadnie decyzja, by umieścić cię na jakimś potrzebnym Corbenicowi stanowisku. Być może dostaniesz polecenie, by pomóc w zajęciu stanowiska komuś innemu. A może przeciwnie, może dostaniesz polecenie, aby kogoś usunąć. Jakiekolwiek by to polecenie było, musisz wykonać je z całym oddaniem i pomysłowością, na jakie

cię stać. Nieudolność grozi przeniesieniem w hierarchii; nielojalność jest karana.

– Nielojalność?

– Jeśli spróbujesz zdradzić przed kimś istnienie Corbenicu, czeka cię natychmiastowa i bolesna śmierć. Jeśli sprzeciwisz się poleceniu, które otrzymasz od swojego zwierzchnika, musisz być świadomy, że wydałeś na siebie wyrok. Może wyda ci się to okrutne, w takim razie muszę powiedzieć od razu: tak, to jest okrutne. Okrucieństwo jest konieczne i usprawiedliwione stawką, o jaką toczy się gra.

Kręcił z niedowierzaniem głową.

Kątem oka dostrzegł, że pomiędzy palcami jego prawej dłoni tli się papieros. Rzeczywiście; uświadomił sobie, że potwornie chciało mu się palić. Minęło już wiele lat, odkąd to rzucił, ale wciąż jeszcze zdarzało mu się czasami odczuwać tę przemożną chęć zaciągnięcia się głęboko wonnym dymem.

– Powiedziałbym, że to niemożliwe – strzepnął z niechęcią ręką, rzucając papierosa na kamienną posadzkę. -Że to jakiś głupi żart, sam nie wiem. Ale nie wyobrażam sobie mainframu, który w tej chwili prowadzi moją wizualizację, ani zaangażowanego do tego oprogramowania.

Na rynku nie ma software'u, który by umożliwiał tak realistyczną projekcję.

– To nie jest głupi żart – skinął głową Żelazny. – To jest gra o największą stawkę.

– Co jest największą stawką?

– Przyszłość ludzkości. – Żelazny zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Widzisz – podjął po chwili -skoro Bóg umarł, a ludy okazały się do takiego zadania nie dorastać, ktoś musiał się zatroszczyć o przyszłość. Dlatego właśnie powstał Corbenic.

Miał ochotę zaśmiać się szyderczo.

– To jest dobre – oznajmił. – Opowiadasz mi tutaj o jakiejś… pieprzonej mafii, a na koniec słyszę, że to wszystko dla postępu i szczęścia ludzkości.

– Postęp? Szczęście ludzkości? Ludzkość będzie miała wielkie szczęście, jeżeli przetrwa następne stulecie. O to się gra – oznajmił Żelazny swym niewruszonym, szczękliwym głosem. – Musimy robić to, co robimy, po prostu nie mamy wyjścia. Tysiąc, pięćset, trzysta lat temu ludzkość mogła sobie pozwolić na to, by pozostawić wydarzenia przypadkowi. To królestwo lub inne, ta czy inna dynastia… ale poza tym nic się nie zmieniało. Ale potem ludzie nauczyli się, jak zmieniać podstawowe parametry środowiska, w którym żyją, pozmieniali je i od tego czasu nie mogą już machnąć ręką i powiedzieć sobie, że jakoś to będzie. Zaczęli używać nawozów sztucznych i ziemska populacja wzrosła wielokrotnie ponad liczbę, którą mógłby wyżywić naturalny

ekosystem. Dopuść do załamania rynku chemicznego, a połowa ludzkości umrze z głodu; dopuść do swobodnego obrotu jego technologiami, a wkrótce rozmaici szaleńcy nasycą powietrze i wodę truciznami bojowymi. Odkryliśmy reakcję jądrową, bez której ludzkość zginie z braku energii, a która wypuszczona z ręki stanie się bronią równie powszechną, jak teraz karabiny. Stworzone zostały międzynarodowe systemy finansowe, które powyradzały się, uległy paraliżowi i penetracji gangów, ale nie można z ich istnienia zrezygnować, bo spowodowany tym krach finansowy pociągnąłby cywilizację do dna.

Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Jako ludzkość zbudowaliśmy sobie wielki samochód, rozpędziliśmy go do obłędu i poniewczasie stwierdzamy, że nie ma w nim hamulców. I co teraz? Nie sądzisz, że ktoś powinien chwycić kierownicę?

– Ktoś ją przecież chyba trzyma?

– Kto? Politycy? Chyba już się zdążyłeś dowiedzieć, kim są. Zakochanymi w sobie głupcami, których jedynym talentem jest motanie personalnych intryg i podlizywanie się tłumom. I zresztą muszą tacy być, tylko będąc takimi, są zdolni wygrywać wybory. Czy ktoś jeszcze wierzy, że przypadkowe decyzje miliarda kretynów, żyjących tylko dla jedzenia, seksu i wydalania, poprowadzą ludzkość dokądś? Więc kto? Ludzie biznesu? Oni gonią za maksymalizacją swojego własnego zysku, bez oglądania się na jakikolwiek rachunek, który zapłaci ktoś inny… nawet, po przekroczeniu pewnego etapu, na straty przysporzone ich macierzystej firmie, jeśli stanowią one koszt uzyskania osobistego zysku. Czy też, może, ktoś rezerwuje rolę przewodników dla nauki? Ale naukowcy to przecież taka sama gromada nadętych, małych karierowiczów, podstawiających sobie nogi i wieszających się u klamki polityków i biznesmenów. Proszę, powiedz mi, kto trzyma kierownicę? Kto wie, dokąd jedziemy? Kto utrzyma pod kontrolą badania genetyczne i dziesiątki innych, zabójczych zabawek, które rodzą się każdego dnia? Czy myślałeś kiedyś o tym? Czy myślałeś, jak daleko zaszła cywilizacja, jak potężne moce wyzwoliła, a nie stworzyła żadnego systemu dobierania ludzi, którzy nią kierują poza głosowaniem masy, niezdolnej zrozumieć, na kogo i dlaczego głosuje?

– Tak – przyznał niechętnie. – Kiedyś mi się zdarzało o tym myśleć.

– I co?

– Przestałem. Miałem swoje własne zmartwienia. Wydawało mu się, że Żelazny westchnął.

*

– No, punktualny jesteś jak Luftwaffe – oznajmiła Ilona, oglądając się przez ramię na wchodzącego do wozu Andrzeja.

– A co? – obrzucił leniwym spojrzeniem zawieszony nad ścianą monitorów zegar. – Jeszcze od metra czasu.

Wóz transmisyjny, ozdobiony wielkimi znakami telewizji, stał obok kilku podobnych na otoczonym policją parkingu pod sejmem.

Wzrok Andrzeja ześlizgnął się na usiane pokrętłami, przyciskami i wskaźnikami pulpity, przy których siedział montażysta. Przywitał się z nim skinieniem głowy. Krzesło kierownika produkcji było w tej chwili puste.

Odłożył pod ścianę torbę i zapadł w jednym z foteli. Po rozmowie w prokuraturze przekonał się ostatecznie, że z InterDaty nie wyjdzie nic, co mógłby pokazać. Może kiedyś tam zrobi jakiś ogon z notatek o bezpieczeństwie sieci – ale tak czy owak, miał uczucie kompletnie zmarnowanego dnia. Ogarniała go melancholia i zwykłe po każdym niepowodzeniu poczucie, że nic się nigdy nie zmieni i że tak się już zestarzeje, zapychając informacyjnym kitem ludzi, którym każda kolejna pseudosensacja wyganiała z mózgów poprzednią. Na myśl, że musi jeszcze tego dnia pracować, z jakiegoś powodu było mu mdło.

– To co, główki mamy już wszystkie? – zapytał po chwili.

– Wiesz, możesz chwilę poczekać? Nie było cię i zaczęliśmy montować taki kawałek. Moment, dobrze?

Siedziała nachylona nad ramieniem montażysty, wpatrzona w ekrany, jakby można było na nich dostrzec coś nie wiadomo jak ważnego. Zerknął leniwie nad ich głowami.

– Z tego przejścia zostaw mi jakieś siedem, osiem sekund – poprosiła. Uniósł wzrok. Na ekranie Ilona stała z mikrofonem w ręku gdzieś na warszawskiej ulicy, z nowym, reklamowym bilbordem Mixa w tle. Mówiła coś, zbyt cicho, żeby dosłyszał.

– O, i tutaj – obraz zadrżał i znieruchomiał, pochwycony opartą na trackballu dłonią montażysty. – I tutaj mi włóż to zbliżenie na kołnierzyk, jakieś, ja wiem, dwie, trzy sekundy.

Na chwilę jego uwagę przykuli chłopcy wyobrażeni na bilbordzie – wychudzeni, jak na zdjęciach z kaukaskich obozów. Wątłe rączki, w których prezentowali publiczne

– O coś pytałeś?

– Główki – przypomniał.

– Tak, są. Tam masz listę.

Wskazała podbródkiem walającą się po pulpicie kartkę i znów odwróciła się do montażysty. Przebiegł wzrokiem listę autorytetów moralnych, nagranych od rana na okoliczność Gwarancji, z podanymi po prawej stronie nazwisk czasami.

– Co się stało? Mirek umarł? – zapytał, nie znalazłszy jego

nazwiska na liście.

– Przemawia na uroczystości. – Montażysta wypisywał właśnie jakieś skomplikowane sekwencje na ekranie pomocniczym, podniosła się więc i pochyliła w stronę Andrzeja. Opuścił skromnie wzrok na kartkę.

– O, tego dałam na początek – postukała paznokciem w listę. – Najgorzej z tym, duka i pieprzy niemożliwie.

– No, dobra, jego sobie można darować. – Wskazał kolejne nazwisko na liście. – A ten, będę zgadywał: Proszę państwa, kilka miesięcy temu minęło dwadzieścia lat, od tej mądrej, zbawiennej dla kraju ugody, kiedy potrafiliśmy się wznieść ponad podziały i nienawiść, i ta dzisiejsza uroczysta chwila pierdu-pierdu. Zgadłem?

– No, coś w tym rodzaju.

– Może to damy na początek.

– Ty tutaj rządzisz – powiedziała tonem, z którego zupełnie nie dało się wywnioskować, czy nie chciała przez to powiedzieć czegoś więcej.

Do wozu wpakował się wyraźnie podekscytowany czymś kierownik produkcji.

– Zasejfuj to, szybko, i dawaj panel – wysapał już od wejścia do montażysty.

– Co jest? Już?

– Jeszcze parę minut, ale muszę coś sprawdzić. Wpakował się za pulpit i zaczął stukać po klawiaturze końcówki sieciowej. Na jednym z ekranów pojawił się nagle prezydent USA, przemawiający pod pomnikiem ofiar AIDS w San Francisco, z wmiksowanymi w górnym rogu zdjęciami jakichś alpinistów; na innych czołgi miażdżyły coś gąsienicami albo płonęły, albo w obłoku dymu wystrzeliwały rakiety w stronę pobliskiej wsi.

Puszki z napojem, przypominały fujarki. Taki teraz panował design w reklamie, żeby młodzież, pędzona kolorowymi pigułkami z pochodnymi amfy, bardziej się utożsamiała. Akurat kiedy dochodził do wieku, w którym nie są już w stanie człowieka podniecić dziewczyny powyżej dwudziestki, apetyczne małolatki ustąpiły miejsca wysuszonym wiórkom, o które można by sobie tylko posiniaczyć klejnoty.

Przeniósł wzrok na plecy Ilony, na przecinający je pod materiałem sukienki wąski pasek stanika. Przesunął oczami po gibkiej talii, ku skrajowi majtek przecinającemu nieznaczną, wypukłą linią pośladki.

Świetnie. Zacznij jeszcze teraz o niej fantazjować.

– Co to będzie? – zapytał znudzonym głosem, po prostu żeby zająć czymś myśli.

– A, taki ogon, na jutro albo pojutrze. Była wolna chwila, to skręciliśmy na zapas.

– Tak?

– Widziałeś na mieście ten bilbord? Katoliccy patrioci będą zgłaszać w sejmie interpelację, że ten, co go kopią w tyłek, to niby ksiądz, i że to obraża wartości.

– A to niby nie jest ksiądz?

– No, niby. Bo nie ma tego… Jak to się nazywa, ten taki czarno-biały kołnierzyk?

– Koloratka.

– No, więc tego nie ma, tylko zwykłą, czarną koszulę. Po prostu, normalny facet w czarnej marynarce i koszuli. Nagrałam taki krótki komentarz, że skoro im samym każde potępienie nienawiści kojarzy się z atakiem na wartości, to wiesz, widać, uderz w stół, a nożyce się same… Takie tam.

– Aha. – Ona też miała pecha. Za czasów jego młodości z takim tyłkiem robiłaby karierę jak błyskawica. Ale teraz, dzięki działalności jej sejmowych obrończyń, już żaden szef nie waży się swojej podwładnej tknąć. Nikt rozsądny, kto robi karierę, nie tknie żadnej kobiety poza zawodówką. Nawet nie dopuści, jeśli ma trochę oleju w głowie, żeby zostać z podwładną sam na sam. Piękne czasy przyszły. Dla dziwek zwłaszcza. Niech ktoś powie, że one nie mają jakiegoś sejmowego lobby.

– A, co pieprzą – odetchnął z ulgą. – Wszystko gra. -Wcisnął taster i powiedział do mikrofonu łączącego wóz z reżyserem i jego ekipą. – Głupoty pieprzyli – oznajmił.

– Dobra – ucieszył się z głośnika reżyser.

– Co za panika? – zainteresował się Andrzej. Była to z jego strony tylko czysta ciekawość. Robota dziennikarzy zaczynała się dopiero w czasie nagrywania, kiedy trzeba było przygotowywać wersje na poszczególne wydania i dwudziestominutową relację do Raportu Dnia.

– Zawracanie głowy – parsknął kierownik. – Szwaby narobili rejwachu, że jest jakiś dżem na łączach i przy próbie transmisji stracili połowę pakietów z obrazem. Coś im się poprzestawiało.

Poprawił się na siedzeniu i rzucił do mikrofonu:

– Mietek? To pokaż mi teraz tę ręczną kamerę w westybulu.

*

– Na dziesięciu nowych, którzy się tutaj pojawiają, ośmiu mówi o mafii, tak jak ty – perswadował Żelazny. -To bzdura. O mafii możesz mówić tam, gdzie chodzi o pieniądze albo o jeszcze większe pieniądze. Mafia to pozostałość czasów feudalnych, poruszają nią tylko dwie siły:

plemienny honor, każący służyć swojemu władcy, i plemienna chciwość, każąca garnąć pod siebie najwięcej, jak tylko można. Mafia, tak jak większość społecznych organizmów, istnieje, aby rosnąć i niczego innego nie potrafi.

A Corbenic to nie relikt przeszłości, przeciwnie, to ziarno przyszłości. Budujemy coś wielkiego, czego jeszcze nie było w dziejach świata. Czegoś takiego nie można zbudować bez wielkiej idei. Musisz przyznać, że sprawy zaszły za daleko i jeżeli choć trochę zależy nam na przyszłości, musimy dyskretnie pokierować ludźmi. Dla ich własnego dobra.

Żelazny poruszył dłonią i pałacowy korytarz rozpłynął się. Pejzaż, który go zastąpił, przynajmniej nie pozostawiał wątpliwości, że jest kreacją graficzną komputerów. Znaleźli się w strzelistej katedrze, o ścianach zbudowanych z barwnego światła, pozwijanych w kształty niemożliwe w rzeczywistej przestrzeni. Robert znów stał się swoim błękitnym widmem, tak jak go standardowo wizualizował sterownik.

– To miejsce nazywamy Katedrą – rzekł Żelazny. -Pokazuję ci je z dwóch powodów. Po pierwsze, w Katedrze dzieją się rzeczy ważne. Tutaj możesz zostać wezwany przed oblicze Kolorowych i jeśli tak się stanie, to, co będą ci mieli do oznajmienia, będzie jedną z najbardziej istotnych rzeczy, jakie w życiu usłyszysz. Drugą przyczynę już ci ujawniłem na samym początku naszej rozmowy. Powiedziałem, że dzisiaj możesz zadawać pytania. Taki jest nasz rytuał: każdy, kto po raz pierwszy znajduje się w Corbenicu, zanim będzie musiał odpowiedzieć na jego pytanie, może najpierw zadawać swoje. A Katedra jest miejscem, w którym tkwią odpowiedzi na wszystkie pytania.

Zmieniłem swą postać – myślała gorączkowo jakaś cząstka jego mózgu. – A więc znowu jestem wizualizowany przez swój własny sterownik. Czy oznacza to również, że znowu zaczną działać makrodefmicje, podłączone pod poszczególne ruchy?

Podeszli do wykwitającej z wzorzystej posadzki kolumny, po której zdawały się bez ustanku przelewać plamy płynnego blasku.

– Dlaczego – rzekł Robert po chwili namysłu – akurat kataryniarze mają być tymi, którzy będą “dyskretnie kierować ludźmi”?

– Bo mogą to zrobić.

– Jak?

– Skutecznie. A co to znaczy działać skutecznie? To znaczy działać cudzymi rękami. – Zatrzymał się, uniósł żelazną dłoń ku górze, podkreślając wagę swych słów: -Posługiwanie się innymi, przyjacielu: królewska sztuka. Sprawić, aby miliony ludzi powtarzało z głęboką wiarą słowa, które im podpowiemy, i nie wiedziało wcale, że ktoś im je podpowiedział. Sprawić, aby dziesiątki, setki organizacji, w których

skupia się ludzka aktywność, w sposób ukryty przed przytłaczającą większością ich członków przykładały się systematycznie do realizacji jednego, postawionego przez nas celu. Oto sztuka, którą wtajemniczeni rozwijali od lat, a która dzisiaj, na progu nowej ery, osiągnęła możliwości, o jakich nikomu dawniej się nie śniło. Ludzie, którzy panują nad armiami, ropą naftową czy telewizją satelitarną, nie rządzą już światem, choć ta wiedza jeszcze do nich nie dotarła i nigdy nie dotrze. Nadeszła era, w której światem będą rządzić ci, którzy panują nad przepływem informacji. A nad nimi właśnie będzie panował Corbenic.

Robert wahał się przez chwilę.

– Brzozowski – powiedział wreszcie. – Ty jesteś Brzozowskim, prawda?

– Nigdy nie dowiesz się, kim jestem. Nigdy nie będziesz wiedział, kto jest kim, z wyjątkiem tych, których Corbenic każe ci kontrolować. I nigdy nie odważysz się zapytać drugiego kataryniarza o Corbenic ani nawet zrobić do niego aluzji, bo to będzie oznaczało twój koniec.

Może nie? Wydawało mu się, że słyszał kiedyś niemal identyczne słowa właśnie od Brozowskiego, ale mógł to być przypadek.

– Tak czy owak – oznajmił Robert – mówisz bzdury. Ta nowa era, która nadchodzi, sprawi właśnie coś przeciwnego: że nikt nie będzie mógł nikogo kontrolować. Te czasy się skończyły. Nikt nie będzie już mógł robić ludziom prania mózgów przez telewizję, bo każdy wchodzi do Skorupy i sam wybiera sobie, co ma ochotę obejrzeć. Nikt nie będzie kontrolować mediów, bo każdy może bez specjalnych inwestycji puszczać po sieci serwisy, filmy i programy, i konkurować na równych prawach z wielkimi korporacjami. Dzięki Sieci świat po raz pierwszy od kilkuset lat zrobił się przyjazny dla indywidualistów. Nikomu nie da się zamknąć ust.

– Możesz mi wierzyć, że nikomu nie trzeba będzie zamykać ust. Każdy będzie mógł gadać, co będzie chciał. Ale zaręczam ci, że niektórych nikt nie będzie słuchał, a jeśli nawet usłyszy, nie będzie ich traktować poważnie. Popatrz!

Żelazny musnął dłonią kolumnę, przy której stali. Pełzające po niej plamy światła znieruchomiały na chwilę, potem zamigotały i wypełzły poza jej kontury, rozlewając się w kulisty obłok, wewnątrz którego kolejny ruch Żelaznego rozpalił projekcję. Wewnątrz zamglonej kuli zaczęły się jarzyć świetlne punkty i linie, układając się w znajomy Robertowi obraz Stref na mapie Polski i Europy Środkowej.

– Widziałeś to przecież, naprowadziłem cię na ten trop – powiedział Żelazny. – Więc jak możesz mi teraz mówić, że nie jesteśmy w stanie kontrolować tego, co się dzieje na świecie?

Naprowadziłem cię na ten trop, powtórzył w myślach.

– Teraz domyślam się, że podrzuciliście mi jakieś sfałszowane dane. Nie można zrobić czegoś takiego w absolutnej tajemnicy.

– Mylisz się. Dzisiaj znowu wszystko można zrobić i zachować w tajemnicy. Jak podejmuje się dziś decyzje? Zasięgając opinii systemów eksperckich. Nie można inaczej. Najlepsi specjaliści są przecież specjalistami tylko w swoich wąskich dziedzinach i trzeba komputerów, aby te ich specjalizacje zsumować. Zmień odpowiednio jedno pole w bazie wiedzy, a wszyscy, którzy korzystają z jej wsparcia, zaczną w jednej sprawie podejmować decyzje idące po twojej myśli. Spraw, aby pośród kilkudziesięciu milionów instrukcji każdego wchodzącego na rynek systemu operacyjnego i każdej aplikacji znalazła się jedna, niewinna linijka kodu, pozwalająca wtajemniczonym w dowolnej chwili otworzyć sobie tylne drzwi w programie, a będziesz mógł zawsze w dowolnej chwili zmodyfikować dowolne dane, w każdym punkcie sieci. To nawet nie jest trudne. Taka furtka, pozostawiona przez jednego z członków fabrycznego zespołu programistów jest nie do wykrycia. A przecież osiemdziesiąt procent oprogramowania na światowym rynku pochodzi w tej chwili od pięciu producentów.

Robert machinalnie zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, brodząc w światłach posadzki.

– Rzecz w tym – odpowiedział Żelaznemu – że ludzie cholernie nie lubią, kiedy ktoś ich kontroluje. Bronią się. Obronią się i przed Corbenicem.

– Nikt nie może się bronić przed czymś, co dla niego nie istnieje.

– Prędzej czy później się o was dowiedzą.

– O nas? Mów jaśniej, o kim?

– O Corbenicu!

– Corbenic, Corbenic…? Podobno to jakieś miejsce w sieci, ale kto je widział, kto je znajdzie? A gdyby nawet, jak chcesz ludzi straszyć tym, że gdzieś tam w sieci istnieje jeszcze jeden mainframe?

– Nie chodzi o miejsce w sieci, chodzi o… O ten wasz układ.

– Nie ma żadnego układu. Nie ma żadnych nas. Nie nazywamy się tak ani owak, nie nazywamy się w ogóle, bo nas nie ma. Chciałbyś twierdzić coś innego? Biegać od jednego człowieka do drugiego i opowiadać mu o jakimś wszechświatowym spisku przyczajonym w cyberprzestrzeni? Powodzenia. Mogę ci nawet pomóc. Podrzucimy przywódcom obozu katolicko-patriotycznego taką myśl, żeby cię wsparli. Bądź co bądź zawsze mówili, że gnębi nas rozległy, perfidny spisek Żydów i masonów. Potwierdzisz ich wiarygodność, a oni twoją. Powodzenia, przyjacielu.

Ten jednostajny, brzękliwy i pozbawiony wyrazu głos mógł sam z siebie doprowadzić do furii. Robert zatrzymał się przed zatopioną w delikatnej poświacie projekcją, w ostatniej chwili powstrzymał się,

żeby głośno nie westchnąć.

– Tak, to prawda – przyznał. – Wiele można zrobić w tajemnicy. Przez ponad pół wieku ludzie śmiali się do łez, jeśli gdzieś jakiś zwariowany gliniarz występował z tezą, że istnieje tajny, potężny, przestępczy związek, mafia, która działa ponad granicami, przenika do władz, urzędów, korumpuje sędziów i morduje przeciwników. To prawda, gazety robiły z takich ludzi obłąkanych, wykpiwali ich politycy. Ludzie nie znoszą, kiedy odbiera im się poczucie bezpieczeństwa, mąci przejrzysty obraz świata. Nie cierpią, by straszyć ich jakimiś spiskami, których nie mogą zrozumieć i pokonać. No i poza tym zawsze odpychają od siebie złe wieści: śmiano się z tych, którzy donosili o obozach koncentracyjnych, nie wierzono w holocaust, w Gułag ani w głód na Ukrainie. Każdy, kto ma blade pojęcie o historii, doskonale to wie. Ale jednak w końcu, prędzej czy później, ludzie muszą uwierzyć faktom, pomyśleliście o tym? W końcu przecież tym samotnym, ośmieszanym gliniarzom udało się ludzi przekonać, że mafia jest, i w końcu ją zniszczono.

Żadne słowo Żelaznego ani żaden jego ruch nie usprawiedliwiał takiego przypuszczenia – a jednak Robert miał wrażenie, że wraz z metalicznym dźwiękiem dotarło do niego uczucie rozbawienia.

– Nie zapominaj, że nic nie stoi w miejscu – odparł jego rozmówca. – Gromadzone są doświadczenia. Te doświadczenia sumują się i pozwalają unikać popełnionych przez innych błędów. Corbenic nie powstał w pustce ani z niczego.

– A z czego powstał? Kto go stworzył?

– Tego, być może, kiedyś się dowiesz, jeśli Corbenic uzna cię za godnego wyższych wtajemniczeń. Twój czas na zadawanie pytań kończy się. Wykorzystaj go, dopóki możesz.

Skinął podbródkiem na wyświetloną przed nimi mapę.

– Chce wiedzieć, co się dzieje z Polską.

– Oczywiście. Spodziewałem się tego pytania. Ale czy ty wiesz, przyjacielu, że w naszych pamięciach nie ma osobnego obszaru dla Polski? Myślę, że najwięcej na ten temat znajdziemy w obszarze bazy poświęconym Rosji.

Znowu dotknął kolumny i poruszył palcami. W zawieszonej przed nimi kuli zaczęły się kłębić barwne mgławice.

Pomiędzy swymi błękitnymi, widmowymi palcami Robert ponownie zauważył tlącego się papierosa.

– Co to jest, do diabła? – zapytał, pokazując go Żelaznemu.

– To ty. Widocznie bardzo potrzebujesz nikotyny. Corbenic to czarodziejskie miejsce, potrafi materializować myśli – krótka pauza, chyba na śmiech, zagubiony przez wizualizację. – Mówiąc poważnie, w oprogramowaniu zastosowano krótkie sprzężenie sterownika, dzięki któremu sam tworzy on pejzaż, czerpiąc wprost z umysłu

użytkownika. W ten sposób można nadać Nici kilkakrotnie większą przepustowość. Ten korytarz, w którym się spotkaliśmy, powstał w taki właśnie sposób.

– Nigdy nie byłem w takim miejscu.

– Musiałeś być. Zapomniałeś. Nikt nie zdaje sobie sprawy, co nosi w głowie i co może z niej zostać wywleczone…

Żelazny poruszył rękami. Nagle jego oczy otworzyły się i Robert odniósł wrażenie, jakby odsłoniła się w nich panująca wewnątrz żelaznej skorupy kosmiczna pustka, w której źrenice tamtego płonęły niczym dwie zimne, okrutne gwiazdy.

– Spójrz – powiedział Żelazny, wskazując mu dłonią zawieszoną w projekcyjnej kuli niezwykłą, trójwymiarową konstrukcję. Gdyby było to bardziej regularne, mogłoby wyglądać na fragment ogromnego przęsła albo model strukturalny jakiegoś bardzo skomlikowanego, krystalicznego minerału: barwne punkty połączone plątaniną równie kolorowych nici.

– Co to jest?

– Rosja. W Corbenicu nazywamy ten sposób odwzorowywania mapą relacyjną. Jest bardzo przydatna i często stosowana, trzeba ją tylko umieć czytać – w miarę ledwie zauważalnych ruchów żelaznych palców projekcja ulegała stopniowemu uproszczeniu. – Masz tutaj kraj takim, jakim jest w rzeczywistości. Granice, konstytucje, oficjalne władze to sprawy gdzie jak gdzie, ale na tym obszarze zupełnie już drugorzędne. A tu masz zobrazowanie ośrodków faktycznej władzy, zarazem ukazujące układ sił. Nie staraj się na razie ogarniać szczegółów, na to być może przyjdzie czas. Patrz na sam układ nici, jak na figurę geometryczną. Potrafisz coś o nich powiedzieć?

Cały czas myślał gorączkowo nad swoją sytuacją. W jaki sposób jego sterownik jest podłączony do obcego mainframu? Nie chciał o to pytać, by nie wzbudzić podejrzeń.

– Wyglądają, jakby były w równowadze.

– Tak. Dobrze. Przypomina to średniowieczne sklepienie, prawda? Kamień położony w centrum nadaje równowagę całemu układowi. Ale tu analogia się kończy, bo mamy do czynienia z układem dynamicznym i naszym zadaniem jest wymodelowanie tej dynamiki. Widzisz ten punkt, tu? To, hasłowo mówiąc, niejaki Birłukin. Jeden z około trzydziestu podobnych mu książątek, rządzących różnymi kawałkami byłego i przyszłego imperium; nie w sensie terytorialnym, czy raczej nie tylko w sensie terytorialnym. Birłukin kontroluje spory kawałek energetyki, a przede wszystkim telekomunikację. Piątka starych współ-władców, których umowa decyduje o sprawach na Kremlu, lekceważy go. To ich błąd. Wiesz, dlaczego zwracam twoją uwagę na Birłukina? – zapytał i natychmiast odpowiedział sam sobie: – Ponieważ postawiliśmy na niego i pomożemy mu zostać jedynym

władcą Rosji.

– Co to ma wspólnego z moim pytaniem?

– To jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie. Pytałeś, co będzie z Polską. Corbenic odpowiada: białej cywilizacji potrzebna jest zapora – mocarstwo na Wschodzie, będące przeciwwagą dla Chin z jednej strony, a świata islamskiego z drugiej, dopóki nie dojrzeją one do przekształcenia. Dlatego celem nadrzędnym jest wyciągnąć Rosję z chaosu i dać jej silną władzę, która popchnie ją do forsownego rozwoju gospodarczego. To nie będzie przyjemna władza dla swych poddanych, ale taka właśnie jest konieczna. Nawet nie wyobrażasz sobie, co ludzkość będzie musiała w nadchodzących dziesięcioleciach znieść. Szczerze mówiąc, kto nie musi o tym myśleć, niech tego lepiej nie robi.

– A Polska?

Musiał sięgnąć pamięcią głęboko, do czasów, gdy chłonął podstawową wiedzę o kataryniarstwie. Przypomniał sobie Billa Ferna z Krzemowej Doliny i jego konwersatorium na temat sytuacji awaryjnych w sieci.

– Polska ma w tej grze swoje znaczenie. Jest bramą między Rosją a Zachodem. Birłukin to wie, dlatego uderza właśnie tutaj, i uderza w grupę Dasajewa, który rozmaitymi drogami kieruje polskimi służbami specjalnymi. Ale Dasajew, dzięki swoim interesom w Polsce, zaczął już zagrażać kremlowskiej piątce, więc ta nie udzieli mu pomocy, i to będzie jej kolejny błąd. Zresztą, nie będę ci podawał szczegółów. W każdym razie Polska będzie tu bardzo ważna, a wielu Polaków zajdzie w otoczeniu Birłukina niezwykle wysoko.

– Pytałem o państwo polskie. Co z nim będzie?

– To samo, co ze wszystkimi innymi: zaniknie i roztopi się w wielkiej rodzinie narodów. Może nieco wcześniej niż pozostałe, ale o to Polacy będą mogli mieć pretensje tylko do samych siebie.

“Pamiętajcie, że pod każdym oprogramowaniem, w jakim będziecie pracować, leży warstwa któregoś ze starych systemów operacyjnych – uczył ich wtedy Bili Fern. -Czasem jest to UNIK, czasem VAX, nie używa się ich już, zostały przywalone nowymi instrukcjami, ale zazwyczaj tam tkwią. Jeśli zdarzyłoby się wam wkleić w zawieszony system, przechodźcie do trybu pracy konwersacyjnej i spróbujcie się do nich odwołać”.

– Rozumiem – powiedział, otrząsając się z zamyślenia. – Krótko mówiąc: proponujecie mi współudział w czynieniu jakiegoś enigmatycznego dobra. Mam się w tym celu wznieść ponad swoje narodowe sentymenty i pomagać wam tak pokierować rodakami, aby ochoczo wsparli nowego batiuszkę, który przywróci ich okupantowi świetność z czasów Stalina. W zamian mogę liczyć na dostatnie, udane i długie życie, jako jeden z tych, którzy w ukryciu przed ludzką

mierzwą rządzą, światem. Czy tak?

– Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Będziesz tylko malutką mróweczką. Oczywiście, będziesz dostawał z Corbenicu wiadomości o pewnych generalnych planach, po prostu, aby wiedzieć, ale nie sądź, że od razu staniesz się kimś istotnym. Na to trzeba pracować latami, a ty bardzo późno zaczynasz.

– A jaki mam wybór?

– W istocie, nie masz żadnego. Jedyne, co możesz zrobić, to naprawdę postarać się, aby Corbenic uznał cię za godnego zaufania. Ostatnia wiadomość, jeśli jeszcze się tego nie domyśliłeś: twój sterownik, zanim ci go wydano, został trochę poprawiony. Znalazło się w nim kilka dodatkowych modułów, wspomagających połączenie z naszym oprogramowaniem. Corbenic zna w tej chwili każde drgnienie twoich mięśni. Nie sądź, że zdołasz go okłamać, i nie sądź, że zdołasz mu uciec.

Robert przez długą chwilę wpatrywał się Żelaznemu wprost w wypełnione otchłanią oczy. Milczał. Potem złożył ręce w gest przeładowania ostatniego połączenia. Szarpnął się. Nic. Szybko poruszając palcami, złożył wydobyte z pamięci hasło przywołania systemu operacyjnego – i dostał potwierdzenie. Komputer słuchał go.

Wciąż patrząc Żelaznemu w oczy, wypisał komendę wyjścia.

Świetlna katedra, projekcja, Żelazny – wszystko rozpłynęło się w mroku.

*

Spadał.

Leciał z zawrotną prędkością w nie kończącą się, czarną studnię, której dno wydawało się być z każdą chwilą dalej. Jak w koszmarnym śnie. Chciał poruszyć rękami i przelogować się do jakiegokolwiek systemu, ale nie miał rąk ani nóg, był bezcielesną myślą, opadającą bezradnie w otchłań.

Potem ciemność nasyciła się białym, pulsującym powoli światłem. Na utkanych ze splątanej materii ścianach studni migotały cienie, rozjarzały się i przygasały w jednostajnym rytmie.

Opadał ku migoczącemu miarowo słońcu, przez supły żył i arterii, w które pompowało ono porcje światła i cienia.

Światło. Cień. Światło. Cień.

Teraz kolor światła zaczął się zmieniać. Skłębiona materia skąpała się w czerwieni, jaśniejącej z każdym uderzeniem świetlnego serca, aż stała się barwą jaskrawej pomarańczy, potem żółtym, zielenią,

niebieskim, fioletem… Kiedy oślepiający blask nasycił barwą kardynalskiej purpury, Robert dostrzegł pod sobą rozjarzoną powierzchnię słońca, przybliżała się z niewiarygodną szybkością, Spadał na rozjarzoną tarczę, niezdolny się poruszyć, obronić, niezdolny nawet zasłonić oczy, przerażony.

Spadł na gorejące słońce; okazało się cienką jak bańka żarówki skorupką, która pod jego ciężarem rozprysła się na tysiące okruchów, rozsypała w kaskadę iskier, gasnących w bezkresie mroku.

PRZESKOK

Pędził w dół po kręconych schodach, najszybciej jak potrafił, z trudem chwytając w obolałe płuca powietrze.

Przed sobą miał studnię staroświeckiej klatki schodowej, mógł ponad balustradami dostrzec zamglonym z wysiłku wzrokiem posadzkę parteru.

Za nim otwierały się z trzaskiem mijane drzwi, a wy-pryskujące z nich ręce zamykały chwyt o milimetry od jego pleców i ramion.

Uszy wypełniał zwielokrotniony pogłosem studni chichot prześladowców, okrzyki – chwyć go, chwyć go, łap! Nie wiedział, skąd i dokąd, i dlaczego ma na sobie niebieski, niemodny garnitur z wielkimi, złotymi guzikami, szerokimi klapami, nogawkami jak dzwony i szerokim jak sztacheta krawatem w ukośne paski. Któraś ze ścigających go dłoni chwyciła za ten krawat, szarpnięcie zdusiło go, w oczach pociemniało, rozjarzyło się krwiście, ale zdołał się uwolnić, popędził dalej na dół, jeszcze szybciej, półprzytomny ze strachu, czując tuż za sobą wyciągające się dłonie i słysząc trzask otwierających się jedne po drugich drzwi.

Chwyć go! Chwyć! Łap! – huczało w studni. I znowu trzask drzwi, i znowu muśnięcie chybiających o milimetry szponów.

Dopadł parteru, na wpół żywy ze zmęczenia, resztką sił przeszedł jeszcze kilka chwiejnych kroków – runął twarzą na kamienne, woskowane płyty, pachnące kurzem i moczem. Okręcił się ostatkiem sił na plecy i dyszał ciężko.

Zapadła cisza.

Uświadomił sobie, że umiera.

Myślał o Wiktorii. Błagał ją o pomoc. Wołał ją.

Ponad jego ciałem wznosiła się ku górze, w nieskończoność, spirala schodów, z których zbiegł. Nad pobłyskującymi barwą mosiądzu balustradami zaczęły się pojawiać twarze. Jedna, dwie. Dziesięć. Pięćdziesiąt. Blade, pozbawione wyrazu twarze, wszystkie identyczne, jak maska Fantomasa. Wpatrywały się w niego. Przygważdżały go do ziemi spojrzeniami ostrymi i zimnymi jak stalowe igły. Sto. Dwieście. Tysiąc. Teraz już wypełniły gęsto przestrzeń ponad balustradami, jedna przy drugiej, zwisały nad nim gęstymi gronami.

Zamknął oczy, wciąż próbując przywołać Wiktorię, coraz słabiej, utrudzony długą, beznadziejną ucieczką. Wtedy poczuł wstrząs i usłyszał głuchy łoskot, jakby tysiąc jabłoni w jednej chwili zrzuciło na ziemię dźwigane brzemię owoców.

Ponad balustradami przechylały się już tylko bezgłowe toboły ciał. Opadłe lawiną głowy tłoczyły się dookoła leżącego Roberta, chichocząc, podskakując i pobłyskując ostrymi jak szpilki zębami. Chwyć go, chwyć! Gryź! Do krwi, do krwi! Jedna, druga, dwudziesta podskakująca głowa chwyciła go zębami, na niebieski materiał garnituru i koszulę trysnęły strumienie krwi. Krzyknął przeraźliwie, usiłując bezradnie odpędzić je rozpaczliwymi uderzeniami rąk.

– Dureń! Dureń! Co narobiłeś, idioto! Co narobiłeś! -wrzasnęła największa z głów głosem Brzozowskiego i wysokim podskokiem wgryzła mu się w twarz. Krew, ból, przerażenie. Krzyk zamarł mu w zadławionym falą krwi gardle, szarpnął się w potwornym spazmie bólu, obrzydzenia i rozpaczy.

PRZESKOK

Fontanna ziemi, ognia i dymu wybuchła o kilka kroków, podmuch zwalił go na bok w błotnistą ziemię, wtłaczając bojowy okrzyk z powrotem do ust. Gwizd w uszach przygłuszył na chwilę całą upiorną symfonię bitwy, nieartykułowany krzyk biegnących, klekot bolszewickich karabinów maszynowych, ryk artylerii… Kulił się do matki ziemi, przerażony, spłakany, gdy deszcz błota i odłamków bębnił po hełmie i grubym szynelu.

– Ciebie on z łowczych… obierży… wyzuje… i w zaraźliwym… liwym powietrzu ratuje… – powtarzał bez tchu drżącymi, pobladłymi wargami. I Pan Bóg wysłuchał tej rozpaczliwej, dziecięcej modlitwy, bo deszcz ustał, gryzący dym zaczął się rozwiewać, a on wciąż żył, przyciśnięty do rozoranej ziemi, tłustej i pachnącej, jakby czekała na złożenie w skibach złotego ziarna, a nie na cuchnącą daninę krwi, ropy i gnijących ciał.

Krzyk nie przebrzmiewał, atak szedł, teraz widział ciemne sylwetki żołnierzy przed sobą, tańczące w pióropuszach dymu i płomieni, w trzasku ognia z bolszewickich taczanek. Uniósł się, wypluwając błoto, poderwał na czworaki, podciągnął długi jak nieszczęście karabin, wraz z bagnetem sięgający mu ponad głowę. Jego drobne, zmaltretowane forsownym marszem ciało szesnastolatka drżało od stóp do głów, sam nie wiedział, ze zmęczenia, wściekłości czy z ochoty do bitwy i nie zastanawiał się nad tym, już miał skoczyć ponownie do przodu, kiedy kolejny ognisty podmuch nadleciał w chichocie odłamków od tyłu i znowu siadł na plecach potwornym ciężarem, cisnął nim jak piórkiem o ziemię.

– Stój, przeklęty idioto! – wrzeszczał mu Brzozowski wprost do ucha, przekrzykując hałas bitwy. – Gdzie, do cholery?!

– Idź won, precz – krzyczał, usiłując zrzucić ciężar z pleców. – Nie zatrzymasz mnie! Pobijemy ich, ścierwa czerwone, pobijemy!

– Na dwadzieścia lat! – darł się Brzozowski. – Jesteś gorszym frajerem, niż kiedykolwiek myślałem! Ty akurat Polskę zbawisz, co?

– Idź won! Zbawię, nie zbawię, za swoje zapłacę… Gdzieś w pobliżu, zdawało się, tuż koło ucha, zagwizdała przejmująco seria z maksima.

– Nie ma już żadnej Polski, durniu! – syczał Brzozowski, wściekły, wtłaczając go w błoto. – Nikt się nią nie przejmie! Na świecie tylko powiedzą, że wreszcie koniec z tym gniazdem antysemitów, jeśli w ogóle coś powiedzą, i tyle z ciebie zostanie: nic! Zmarnowany talent, spieprzone życie, żadnej nagrody! Nie miej złudzeń! Równie dobrze możesz się utopić w sraczu!

– Idź won, ścierwo!!! – rozdarł się, rozpaczliwie usiłując wstać. – Moje życie, cholera! Mój kraj!

– Ot, tu, twoja Polska, matole! – Brzozowski wgniatał go z jakąś nieludzką, niepojętą siłą w błoto. – Patrz! Patrz!

Potężne pchnięcie wcisnęło go w powierzchnię ziemi, zanurzył się w niej jak w oceanie, pożeglował w głąb czarnych fal. Odgłosy bitwy ścichły w jednej chwili, tylko wybuchy raniących ziemię pocisków haubic odzywały się jeszcze ciężkim, dudniącym łoskotem, jak przetaczające się po niebie odległe grzmoty. Potem, w miarę, jak zanurzał się coraz głębiej i głębiej, ucichły także i one.

Byli tam. Leżeli ciasno, jeden na drugim, upchani w wypełnionych śmiercią dołach z urzędniczą sumiennością. Leżeli w pełnych mundurach, niektórzy z głowami owiniętymi szynelami, inni z wepchniętymi w usta czapkami, przegnili, jak wypróchniałe kukły, poprzerastani korzeniami. Ręce powiązane z tyłu drutem. Zgniłe pasy i buty. Pordzewiałe guziki – kruche skorupki rdzy z łuszczącym się śladem orzełka.

Milczący, nieporuszeni i martwi. Robaki wydrążyły w ich zbutwiałych ciałach labirynty korytarzy, czyniąc je ażurowymi i nieważkimi, jak czarne, zwęglone motyle pozostałe po spalonej księdze.

Warstwa za warstwą, głębiej i głębiej, bez końca – płynął między nimi, wpatrywał się w zgniłe twarze, w zetlałe oczodoły, w bezbronne ręce. Nie było końca królestwu umarłych, ledwie minął jednych, oto już pojawiali się następni, wyciągali ku niemu bezsilne, popalone ręce, krzyczeli bezgłośnie. Ci, którzy spłonęli w ruinach miasta, ci zakatowani, zamarznięci pod polarnym kołem, zamienieni w żywe transformatory, ci topieni w szambie, z pozrywanymi paznokciami, z genitaliami zmiażdżonymi podkutym buciorem…

Płynął między nimi, wciąż głębiej i głębiej, oślepły od łez, z gardłem ściśniętym do potwornego bólu. Oto byli. Ojcowie, dziadowie

przyszłych ministrów i prezydentów, przyszłych dyrektorów i menadżerów, profesorów i pisarzy, bankierów i przedsiębiorców, sędziów, adwokatów -którzy nigdy się nie narodzili, po których została tylko ziejąca pustka, wypełniana cuchnącą falą szumowiny, dziećmi oprawców i wykolejeńców z folwarcznych czworaków; śmiertelna rana w ciele narodu. Leżeli pochowani w zapomnieniu, milczący, nieważcy, rozsypujący się w proch pod oddechem mijającego ich Roberta, zaciskającego w bólu palce i mrużącego załzawione oczy, uciekającego wciąż w głąb i w głąb czasu.

PRZESKOK

Kiedy Kazik wyszedł przed oborę, słońce unosiło się właśnie ponad las – wielka, złocista kula, wznosząca się do wędrówki po błękitnym niebie, tak pięknym, jak rzadko tego lata. Z dala, od strony Wisły, uderzył kościelny dzwon. Jego czysty, pełny dźwięk przetoczył się ponad polami, dachami chałup, aż zapadł gdzieś u granicy lasu. Obrócił się w stronę, gdzie za zakrętem drogi zniknął ojciec z wozem, i przez chwilę patrzył na dwie ozłocone porannym słońcem wieże starego kościoła, strzegące od niepamiętnych pokoleń wiślanego brodu.

Westchnął w końcu i przeniósł wzrok na podwórze obejścia. Porykiwania z obory uspokajały się w miarę, jak zręczne palce kobiet uwalniały kolejne krowy od brzemienia ciążącego w obolałych wymionach mleka. Matka wołała przy tym coś do parobka, który biegł już z nabitym na widły naręczem podłożyć bydłu świeżej słomy.

Po napojeniu inwentarza wielkie, drewniane koryto koło studni było już prawie puste. Postawił wiadro na ziemię, zahaczył do żurawia, popluł w ręce, jak to podpatrzył u starszych, i chwyciwszy żuraw, napiął się z całej siły, zanurzył je w studni i wyciągnął, ciężkie od wody. Z wysiłkiem odstawił pełne wiadro obok studni, uważając, aby nie puścić zbyt gwałtownie i nie wylać jego zawartości. Potem odetchnął, otarł pot z czoła i podszedłszy do wiadra, chlusnął nim do koryta. Trzeba było powtórzyć to jeszcze wiele razy, żeby koryto napełniło się zimną, studzienną wodą, pozwalając jej ugrzać się w słońcu dla żywizny.

– Ej, Kazik! Ej! – doleciało go od bramy obejścia. Podniósł wzrok, potrząsając z dawna nie przycinaną czupryną.

Przy bramie dostrzegł chudą, przygarbioną postać Jaśka. Jego ojciec też musiał pojechać z wozem, jak przykazano, a on, widać korzystając z tej okazji, od razu urwał się od roboty.

– Co chcesz? – spytał, podchodząc i masując przy tym obolałe ręce.

– Chodź – Jasiek zachęcał go ruchem głowy. – Pójdziemy popatrzeć.

– Zgłupiałeś. Już tam tylko nas brakuje.

– No, nie bądź głupi. Chodź. Wody możesz potem na-czerpać, a drugi raz nie zobaczysz.

– Ja tam nie ciekaw. – Nieprawda. Był ciekaw.

– Akurat. Jak chcesz. Ja idę. Tylko potem nie wyrzekaj.

– Czekaj! – wahał się. – Ociec, jak się dowie, to mi dupę złoi…

– O, wa! Mało to kiedy cię w dupę bili? Mój też mnie nie pogłaszcze, a się nie boję. Zresztą, skoczymy lasem, na skrót, to się może nie zwiedzą.

Kazik rozejrzał się rozpaczliwie po podwórzu, ale ani matki, ani rodzeństwa, ani nawet parobka nie było w zasięgu wzroku. Odetchnął głęboko i w końcu, nie znajdując sił, by dłużej się opierać pokusie, nurknął pod palikiem w obrastającą płot trawę.

Pobiegli ścieżką między polami, zostawiając stary, dwuwieżowy kościół po lewej ręce; dopiero gdy dojrzewające z wolna do zbioru łany ukryły ich przed czyimkolwiek wzrokiem, zwolnili trochę.

– A ociec to wściekli byli – wysapał Jaśko, kiedy już zanurzyli się w lesie. – Oj, klęli, aż się matula za uszy łapała, cały wieczór baczyłem, żeby mu pod rękę nie wpaść. Pewnie, roboty po uszy, a tu cały dzień na nic. A twój?

– A, trochę. Niedużo.

– Taaa… Bo wam to zawsze łatwiej, Staśko pomaga.

– I żre też – przypomniał Kazik. – A do obrobienia więcej. Tatko powiedzieli, że jak władza każe, to nic nie poradzisz, więc i gadać po próżnicy szkoda: trza brać wóz i jechać, już.

– Prawda, że poradzić nie poradzisz – zgodził się Jaśko.

Słońce wspięło się nieco wyżej i stało gorętsze, gdy dotarli na skraj lasu i ostrożnie, by nie wpaść komu w oczy, podpełzli przez krzaki do polany.

Wybrali dobre miejsce, gdzie cypel lasu wdzierał się głęboko w polanę i górował nad nią, odsłaniając doskonały widok.

Polana była cała stratowana przez ludzi i konie, i cała usiana nie zebranymi jeszcze trupami. Chłopi krążyli po niej tam i sam, pod czujnym okiem urzędnika i kilku Kożaków, zbierając trupy na wozy i odwożąc je księdzu, który już czekał przy rozkopanej mogile na wzgórzu.

Inni tymczasem znosili na kupę pozbierane żelastwo i rzemienie, kosy, pasy, cokolwiek znalezionego przy trupach mogło jeszcze mieć jakąś wartość. Tylko papiery, jeśli tkwiły u którego w kieszeni, trzeba było zaraz oddawać urzędnikowi.

W usypywanym pośrodku polany stosie wypatrzyli nawet prawdziwą flintę; prawda, że z odłamaną kolbą, trzymającą się jedynie na skórzanym pasku. Pewnie dlatego została na polu, bo poza tym, ku skrywanemu zawodowi, nie widzieli nigdzie broni. Widać Kozacy musieli ją od razu pozbierać sami, razem z trupami swoich.

– A wczoraj do pana dziedzica przyszli – przypomniał sobie Jasiek. – Sąsiad oćcu opowiadali.

– No?

– Bo tutaj paniczów znaleźli. Chłop, co furę przyprowadzał, poznał ich i czynownikowi powiedział.

– Głupi! – żachnął się Kazik. – Po co gadał?

– Sameś głupi! Co nie miał powiedzieć? Oba tu leżeli, i starszy, i młodszy. A teraz i starego pana wywieźli, sąsiad mówił, że taki był przygarbiony, jak go zabierali, i trząsł się cały, płakał, jakby mu ze sto lat przybyło. Pewnie już i on długo nie pociągnie.

– To i po nich – podsumował Kazik, z jakimś niezrozumiałym nawet dla niego samego żalem.

– Ano, po nich. Mówili sąsiad, że ksiądz dobrodziej mówili, że majątek teraz władza weźmie, a kobiety mają dwie niedziele, żeby się zabierać.

– Szkoda ich… Do miasta pojadą? – zapytał, nie mogąc oderwać wzroku od widoku zasłanego trupami pola. Gdzieniegdzie piętrzyły się one w stosy i ktoś biegły mógłby z tych stosów, z linii, jakie tworzyły, odczytać przebieg bitwy.

– Jużci, a gdzie? – Jasiek także nie odrywał wzroku od pobojowiska, czyszczonego pracowicie przez chłopów. -Ociec mówili, że się tu cały dzień bili, bo ich Kozacy wzięli ze wszystkich stron i nie mogli się już do lasu z powrotem wysmyknąć.

– Szkoda – powtórzył Kazik cicho, myśląc o młodym paniczu, jak stał z flintą na polowaniu, i o jego ojcu, który siadywał na mszy zawsze od brzegu rodzinnej ławy, na prawo od ołtarza.

– Głupiś – powtórzył Jasiek. – A tobie co tutaj do żałowania?

Nie odpowiedział. Tylko patrzył, wciąż patrzył w milczeniu, zaciskał pięści, nie potrafiąc nazwać ani zrozumieć tego czegoś, co się w nim rodziło, tego nie znanego nigdy wcześniej uczucia, jakie zbudził w nim obraz usłanego trupami pola. I sam nie wiedział dlaczego z kącika oka płynie mu po policzku wielka, gorąca łza.

*

Sygnał połączenia nadszedł, kiedy Wiktoria adiustowała sześciokolumnową analizę wpływu, jaki Gwarancje wywrą na perspektywiczny rozwój polskiej gospodarki. Tekst przeznaczony był dla jutrzejszych, sobotnio-niedzielnych wydań kilku specjalistycznych dzienników, adresowanych do biznesu, giełdy i bankowców; z tego, co słyszała, szedł także do syndykatów w USA. Zgodnie z przyjętą w

grupie procedurą, opracowanie robiły trzy osoby jednocześnie, podczas gdy czwarta, w miarę potrzeb konsultując się z całą trójką, ustalała wersję ostateczną. Początkowe partie tekstu jeszcze nie istniały, podobnie jak część poświęcona konkluzjom. Zespół autorski zamierzał odwołać się w nich do przemówień wygłaszanych na uroczystości podpisania, które udostępniano w sieci dopiero w chwili rozpoczęcia ceremonii.

W wydawnictwie właściwie nie istniał zwyczaj pisania tekstów. Budowano je, fakt po fakcie, cegiełka po cegiełce, zbiorowym wysiłkiem zespołów redakcyjnych i grup specjalistów. Udział w tym budowaniu wymagał skupienia i trochę pozwoliło to Wiktorii zapomnieć o męczącym od rana, irracjonalnym niepokoju. Po lunchu w pomieszczeniach koncernu, także w pomieszczeniu grupy ekonomicznej, robiło się gęściej i bardziej hałaśliwie, aż poczuła się zmuszona użyć do pracy gogli. Cicha, rytmiczna muzyka w słuchawkach doskonale izolowała ją od gwaru biura, kiedy z uwagą przepatrywała tekst w lewym panelu, mając w prawym rozwinięty interfejs wykupionej przez koncern bazy wiedzy.

Oprogramowanie, którym się posługiwała, było nieseryjnym projektem, pisanym specjalnie dla koncernu, z uwzględnieniem jego specyficznych wymagań, jakkolwiek w oparciu o powszechnie dostępne standardy. Poza tym niewiele więcej o tym programie wiedziała. Redaktorzy merytoryczni raczej nie byli zachęcani do zgłębiania jego tajników, przeciwnie – mówiono im, że od tego jest dział komputerowy, który należy wzywać natychmiast przy każdej, nawet drobnej wątpliwości.

Dla potrzeb Wiktorii zupełnie zresztą wystarczała wiedza, że podczas, gdy w lewym panelu ma redagowany dokument, w prawym przywoływać może potrzebne dane i sugerowane przez bazę rozwiązania. Dochodziła właśnie do momentu, gdy autor, rozprawiwszy się ze złudzeniami co do możliwego w Polsce boomu inwestycyjnego, przechodził do naświetlania perspektyw stojących przed Polską jako swego rodzaju wielką strefą wolnocłową dla całego Wschodu – kiedy w uszach zabrzmiała jej pocieszna, elektroniczna melodyjka, jaką zwykł sygnalizować swoją ingerencję menadżer programów.

Otworzyła kursorem okno. Animowana główka nadzorcy plików oznajmiła głosem, równolegle z rozwijającym się w oknie napisem, o odebraniu adresowanej dla niej wiadomości. Zanim zdążyła nakierować kursor na pole “wyświetl”, menadżer uzupełnił tę informację migającym ostrzegawczo polem: INYALID FILE CODE.

Mimo to wyświetliła otrzymany list. Okazał się krótką sekwencją niezrozumiałych znaków. Jakieś kreski, nutki, symbole karcianych kolorów, wszystko zepchnięte w jednej, wyłażącej daleko poza ekran

linijce.

Nabrała głęboko powietrza.

Znalazła w menu menadżera poczty pozycję “sugestie” i pominąwszy kilka pierwszych punktów odpowiedzi, doradzających jej ponowienie połączenia, sprawdzenie zgodności systemów i temu podobne, wybrała połączenie zwrotne z nadawcą listu.

Na kilkakrotnie powtarzane polecenie “wykonaj” komputer odpowiadał jednak stale w ten sam sposób: informacją o błędzie.

Poleciła menadżerowi próbować kolejnych programów korekcji uszkodzonego pliku. Elektroniczny bełkot zmieniał wygląd i objętość, ale po każdej konwersji pozostawał równie niezrozumiały, jak w chwili odebrania.

Wiktoria nie mogła wiedzieć, iż zaburzone w swym trybie działania podprogramy rezydentne sterownika jej męża, choć zablokowane przez kontrolujący go teraz obcy software, nie przestawały pracować; odebrały jej próbę połączenia się z Robertem i zapisały ją w pamięci krążącej, jakkolwiek ich operator nie miał już wtedy do niej dostępu. Odebrały też ślady jego rozpaczliwego wołania z dna studni kręconych schodów, a choć nie były w stanie przełożyć ich nie znanego formatu, zdołały rozpoznać powtarzające się imię, pod które w makrodefinicjach pamięci stałej sterownika podłożony był jej sieciowy adres.

Wiktoria nie mogła wiedzieć, ale w jakiś sposób czuła, że to musi być wiadomość od niego, wiadomość, iż dzieje się coś złego, iż potrzebuje jej pomocy.

Po którejś z kolejnych konwersji w wyświetlanej na ekranie sieczce pojawiła się kilkakrotnie jedna zrozumiała litera. Ta właśnie litera, której miało nie być w polskim alfabecie i na cześć której Robert nadał jej imię. I nigdy nie pisał tego imienia inaczej, niż z ową literą na początku.

Nie chciała tracić czasu nawet na wychodzenie z systemu; zamroziła pracę kursorem i zerwała z głowy gogle.

– Wychodzę – zawołała tylko. – Proszę, skończcie za mnie, będę mogła, to jeszcze wrócę.

– Hej, zaraz, co się dzieje? – usiłował protestować któryś z nich.

Sama by to chciała wiedzieć. Nie mogła tracić czasu. Niech ją wyrzucą – trudno. Osiem minut później była już w garażu pod budynkiem i przekręcała kluczyk w stacyjce wozu.

*

Ojciec siedział przed nim taki, jakim go zapamiętał: zmęczony. Pochylał ciężko głowę nad zbitym z desek stołem, przechylając ją nieco na bok, a jego szare oczy były pełne pośmiertnego smutku.

– Tylko się chować – mówił w zamyśleniu. – Całe życie chować się i cofać. Cofać się i ukrywać, ukrywać się i cofać, i ciągle mówić sobie: trudno, nic sam nie poradzę, trzeba się cofnąć jeszcze głębiej, przyczaić w domu jak ślimak w skorupie i czekać na lepsze czasy…

Siedzieli w drewnianej, góralskiej chacie na Głodówce – za plecami Ojca, w obramowanych sośniną kwadracikach okna, niesiony wiatrem śnieg sypał z ołowianego nieba na świerkową gęstwę, porastającą stok. Robert czuł się syty, rozgrzany herbatą i smażonym pstrągiem, którego smak czuł w ustach. Pamiętał to miejsce – zawsze zachodził tu z gór, przez Gęsią Szyję i Poroniec, ogrzać się i zjeść smażonego pstrąga, który nigdy, w żadnym momencie życia nie smakował tak dobrze, jak kiedy wracało się z górskich szczytów. Nigdy nie był tutaj z Ojcem, ale często myślał tu o nim, oparty o tę właśnie ścianę z uszczelnianych słomą desek. Dawno. Zanim jeszcze świat odsłonił swe prawdziwe oblicze, a góry zmieniono w rozdeptane rojowisko zwożonej zewsząd szarańczy, rozwrzeszczanej, tępej, siejącej dookoła stertami zmiętych papierów, puszek i plastiku.

– Tato… – głos zadrżał mu ze wzruszenia i zamarł w gardle. I choć przecież doskonale wiedział, że to tylko komputerowe złudzenie, marzenie, wzięte jakimś sposobem wprost z jego podświadomości i wzmocnione przez serwery Corbenicu, ta wiedza nie wpływała na to, co czuł.

Odetchnął głęboko i przełknął ślinę.

– Strasznie mi cię było brak, tato – powiedział, przemagając ucisk w piersiach.

Ojciec uniósł na niego wzrok, potem wyciągnął ponad stołem dłoń i uścisnął jego ramię – mocno i zarazem czule, ale jak gdyby machinalnie, cały czas tkwiąc myślami gdzie indziej.

– Powiedz sam, synu – podjął. – Czy ja miałem inne wyjście? Czy my mieliśmy inne wyjście? Nie. Trzeba się było schować, zamaskować, ukryć we własnym domu i tam za wszelką cenę starać się przetrwać. Ty ich nie widziałeś, w czterdziestym piątym: całe dnie, czołgi za czołgami, strach, rozbój, potęga… – pokręcił głową. – Nie miej do mnie żalu, synku. Ja wiedziałem, że już innych czasów nie dożyję. Tylko o was myślałem.

– Wiem, tato. Nie ma nic, co byś sobie mógł wyrzucać. To ja cię zawiodłem.

– Nie. Nie zrobiłeś niczego, czego miałbyś się wstydzić – powiedział Ojciec. Jego głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Wiatr za oknem szarpał bezgłośnie szczytami drzew i ten widok budził jakiś zakradający się do serca chłód.

– Nic nie wiem, tato -jęknął Robert, czując się bezsilny i słaby. – Nic nie zrozumiałem. Czegokolwiek się dotknąłem, okazywało się błędem. W kogokolwiek uwierzyłem, okazywał się łajdakiem albo głupcem. Chciałem coś zrobić, a wszystko rozsypało mi się w rękach. – Pochylił głowę. – Może powinieneś mnie już ze sobą zabrać.

Znowu poczuł na ramieniu jego silną, ciężką dłoń.

– Wcale tego nie chcesz, synu. Pomyśl; nie próbuje się zastraszyć byle kogo. Nie próbuje się kupić kogoś, kto nie jest nic wart. Synu, popatrz na mnie. Ty jesteś kimś. Ty się już nie musisz chować i ukrywać. Wyjdziesz z domu, staniesz z nimi do walki… i wygrasz.

– Ja już kiedyś próbowałem – pokręcił głową. – Byłem młody, wierzyłem, starałem się, i wszystko się nagle zapadło w błocie. Tato, nie dam rady.

Jego siwe, zmęczone oczy przepalały go na wylot.

– Taki twój los. Inni mogą spać, a ty nigdy nie będziesz umiał zasnąć. Inni mogą nie myśleć, a ty będziesz musiał myśleć za nich. Innych nie boli, a ty jesteś skazany, żeby czuć ból za nich. Już wiesz, dlaczego nie żal ci Etrusków?

Tak. Teraz już wiedział, i było to takie proste, że nie potrafił pojąć, jak mógł na to nie wpaść od razu.

– Bo nie jestem Etruskiem – powiedział.

– Rób to, co musisz robić. I nie daj sobie zawrócić w głowie.

– Gdybyś tu był, tato, gdybyś mógł tu być…

– Jestem tu – powiedział Ojciec z naciskiem. – Czy jeszcze tego nie rozumiesz? Jestem tu, z tobą, ciągle, zawsze. Patrzę na Ciebie.

Ostatnie słowa ojca zabrzmiały echem, jakby odbite w studni. Jeszcze raz spojrzał mu w oczy. Uśmiechnął się, czując nabrzmiewające w kącikach oczu łzy, nabrał głęboko powietrza, nagle oczyszczony, zebrał się w sobie i odbił się z całej siły, wyskakując z góralskiej chaty w czerń osaczającej ją przestrzeni.

PRZESKOK

Leciał, twarzą ku ziemi, nad wielką, zieloną mapą Polski, nad którą przemieszczały się złote napisy, zachęcające po niemiecku do odwiedzania kraju przodków, a po angielsku i francusku do wizyty w miejscu, gdzie XXI wiek sąsiaduje ze średniowieczem. Gdziekolwiek na mapie spoczął jego wzrok, z mglistej zieleni wynurzała się trójwymiarowa projekcja miasteczka lub wsi i rosła szybko; pojawiały się animowane postaci, grały przycięte dla prostej transkrypcji ludowe melodyjki. Projekcja miasteczka rozpadała się na poszczególne hotele, pensjonaty i schroniska, pojawiały się trójjęzyczne napisy informujące o ich standardzie i cenach, potem jak barwne motyle rozwijały się okna dialogowe oferujące dodatkowe informacje o pobliskich atrakcjach turystycznych.

Nie różniło się to specjalnie od interfejsów innych biur podróży,

do których zaglądali z Wiktorią za pośrednictwem domowego komputera i standardowego zestawu VR, planując wakacje.

Czuł łomot serca, jakby chciało gdzieś tam, w odległym miejscu, rozsadzić opuszczonemu ciału piersi.

A więc sterownik w jakiś sposób działał. Jego praca była zaburzona, nielogiczna – ale nadal potrafił przerzucać go po sieci. To miejsce, teraz, nie zostało mu wyjęte z podświadomości.

Gdyby mógł jeszcze poznać jego adres…

Wyćwiczone, kataryniarskie makra nie działały. Próbował raz jeszcze skorzystać z rady Ferna i przedrzeć się do głębszej warstwy środowiska. Szło opornie. Nie pamiętał komend, wciąż wywoływał przed sobą okno z komunikatem o błędzie.

– Nie licz na nic, przyjacielu – powiedział Żelazny, pojawiając się nagle na połączeniu on-line. – Nie chcemy, abyś wrócił.

– Nie nadążasz za mną – stwierdził Robert. – Jestem szybszy. Nie potrafisz przenosić się wraz ze mną, po każdym przeskoku potrzebujesz dłuższego czasu, aby mnie odnaleźć.

Żelazny milczał chwilę, jakby zastanawiał się, czy może powiedzieć to, co chce.

– To prawda – przyznał wreszcie. – Masz jakąś niezwykłą zdolność nawigowania w sieci. Ale to ci nie może wiele pomóc w sytuacji, gdy kontroluję twoją Nić, a ty sam jej nie znasz. Jeśli mi umkniesz, cofam się i trafiam po niej. Ale co to zmienia? Nie masz na co liczyć. Myślisz, że w ten sposób doczekasz do momentu, aż twoja żona wróci do domu? Sam wiesz, że jeśli spróbuje cię gwałtownie odłączyć od komputera, twój mózg tego nie wytrzyma. Jesteś zbyt głęboko.

Ważne było tylko to, że w obecności Żelaznego nie zdoła nic zrobić. Nie marnując czasu na dalsze dyskusje, ugiął nogi i z całą siłą odbił się nimi od powietrza, w którym lewitował. Raz, drugi – za trzecim program zadziałał, i znowu, na ślepo.

PRZESKOK

Przemknął przez salon samochodowy, pośród wdzięczących się na opływowych karoseriach modelek. Dziesięć sekund – tyle uznał za granicę bezpieczeństwa, zanim pojawi się Żelazny – wystarczyło mu, by uświadomić sobie, że metoda Ferna nie prowadzi do niczego. Gdziekolwiek się znajdzie, zawsze będzie miał za mało czasu, by drążyć pejzaż i szukać spodniej warstwy programu. To on sam jest tym miejscem, gdzie powinien drążyć.

PRZESKOK

W piwnicznym pomieszczeniu, zapełnionym drewnianymi szafami katalogowymi, sprawdził, czy Corbenic pozostawił mu dostęp do języków programowania. Makro przywołujące je działało. Miał ochotę krzyczeć z radości.

PRZESKOK

Znajdował się pomiędzy przemierzającym gwiaździste niebo kosmicznym krążownikiem a bateriami laserowych działek, zgarniając na siebie ich smugi. Osłonięty jego mgławicowym ciałem krążownik wyrzucił z siebie kilka świecących kuł, które wznieciły na powierzchni planety piekło; wszystko przy akompaniamencie elektronicznych świergotów, wybuchów, wrzasków i jęków konających. W którejś z cyber-kafeterii musiała się w tej chwili zacząć dzika awantura, ale zajęty przywoływaniem i łączeniem modułów FFG nie miał czasu o tym pomyśleć.

PRZESKOK – PRZESKOK – PRZESKOK…

Miotało nim po miejscach nie wiedzieć jak odległych i bliskich, po gęstych od informacji bazach danych, zwariowanych grach, lśniących czystością linii prostych interfejsach wspomagania projektów, po multimedialnych stacjach edukacyjnych i topornych środowiskach graficznych lokalnych sieci małych biur i przedsiębiorstw, po informacjach, przewodnikach i sieciowych klubach zainteresowań. Przestrzeń gadała do niego wszystkimi możliwymi językami, przestrzeń grała melodie, przestrzeń poruszała animacjami, wysyłała przewodników, świeciła mu w oczy pejzażami, światłami, ostrzeżeniami, zachętami.

Ledwie to dostrzegał. Po każdym przeskoku sekundę zajmowało mu rozpakowanie tworzonego programu, potem miał osiem sekund na znalezienie i przyłączenie następnego modułu i sekundę na ponowne zapakowanie wszystkiego przed następnym przeskokiem.

PRZESKOK – PRZESKOK – PRZESKOK…

Na szczęście program nie był niczym skomplikowanym. Gdyby nie musiał wciąż rzucać się po Sieci, jego zmontowanie zajęłoby mu kilkadziesiąt sekund.

Pośrodku wirtualnego Trafalgar Square, po którym przechadzały się charakterystyczne sylwetki Holmesa i Watsona, w którejś ze stacji edukacyjnych, uznał swój program za skończony. Był zupełnym maleństwem i nadzieja, że w strumieniu danych przenoszonych stale w obie strony przez Nić ujdzie uwagi nawet pilnego jej obserwatowa, nie wydawała się nieuzasadniona. Dał mu instrukcję działania i zaczaj: przerzucać się jeszcze szybciej, by w największym możliwym stopniu odwrócić od stworzonego wirusa uwagę Żelaznego.

I znowu – bazy danych, stacje, kluby, sieci lokalne, publiczne interfejsy… Gdyby próbował wysłać swojego wirusa gdziekolwiek na zewnątrz, natychmiast zostałby on przechwycony i skasowany przez CancelBoty sieci publicznej lub systemy strażnicze sieci awaryjnych. Ale on wysłał wirusa po Nici, do własnego sterownika. To nie było zakazane. Podobnie, jak nikt nie zakazuje wbijania sobie noża w udo.

PRZESKOK

Pozostawało tylko czekać i mieć nadzieję, że zadziała.

PRZESKOK

Zatrzymał się.

Uderzyły go w uszy słowa wypowiadane po polsku.

Któraś z procedur zaburzonego w swych funkcjach sterownika zaczęła samoczynnie odkodowywać strumień danych, w którym tkwił; okazały się one transmitowanym dokądś zapisem dźwięku i obrazu, w standardzie używanym przez większość telewizji.

Widział to tak, jakby tkwił w oku kamery. Wielka sala, znana z telewizyjnych relacji, stiuki, złocenia, wielkie gobeliny z wypełnionym herbami wojewódzkich miast konturem Polski. Gęsto zbita publiczność, pierwsze rzędy na fotelach, tylne na stojąco. Obok wieńczących salę drzwi, na podwyższeniu dla gości, mównica. Zajmował ją wyfraczony starzec, o twarzy złośliwego mopsa, z czaszką okoloną wianuszkiem siwizny. Ta twarz wydała się Robertowi skądś znajoma, nie mógł sobie przypomnieć. Czasem kamera przejeżdżała po słuchaczach, rejestrując twarze pełne nieszczerego zachwytu. Starzec kończył jakąś straszliwie namiętną filipikę przeciwko tej Polsce, chamskiej, prymitywnej i ciemnej, którą z pomocą zaprzyjaźnionych mocarstw szczęśliwie składamy dziś do grobu, z nadzieją na nowe, lepsze czasy. Frenetyczne oklaski – kamera w długim przejeździe – mistrz ceremonii zapowiada kolejnego mówcę…

– Dobrze gadał – mruknął z oddali ze swej kolumny spiżowy król. – Ciekawe, co mu odpowie ten ksiądz.

– Ciekawe, czy w ogóle mu odpowie – poprawił króla szewc.

– Lędzenie – podsumował książę.

– Cicho! – szepnął poeta. – Czuję… Czuję w nim Ducha…

Ale Robert nie mógł we wchodzącym na mównicę księdzu dopatrzeć się jakiegokolwiek Ducha. Wyglądał na zwykłego, zmęczonego człowieka.

Ksiądz Skarżyński rozpaczliwie długą chwilę wpatrywał się w twarze słuchaczy, ale nie widział nic, tylko maski – obrzędowe maski, które prześladowały go gdziekolwiek i kiedykolwiek próbował coś swoimi słowami zmienić. Milczenie gęstniało coraz bardziej, aż w końcu kaznodzieja z ciężkim westchnieniem rozłożył przed sobą psalmodię.

– Poezje, psalmy – mruknął przygarbiony, oparty na szabli marszałek. – Rzewne płacze i wzruszenia, ale gdy dojdzie do sprawy, to wszyscy tchórzą.

– Nieprawda! – żachnął się szewc, wywijając buntowniczo swym brzeszczotem. – Trzeba tylko pamiętać o dostarczeniu ludowi stosownej motywacji do walki, a wtedy powstanie!

– Za dużo było tych powstań – wyjaśnił spokojnym głosem przechadzający się wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia starszy pan. –

Zbyt łatwo przychodziło wam prowadzanie całych pokoleń na rzeź, bez szans zwycięstwa. Zamiast myśleć o przetrwaniu narodu i jego rozwoju…

– Ależ, honor – zirytował się z dala książę.

– Honor nie jest wielkością biologiczną – nie pozwolił sobie przerwać starszy pan. – A życiem ludów rządzą te same prawa, co każdą żywą istotą. W każdym pokoleniu wyprowadzaliście bohaterów na rzeź, więc kto pozostał? Tchórze. I to jest naturalna samoobrona narodu. Jeśli straci nazbyt wiele krwi, kładzie się na płask i pozwala już zrobić ze sobą wszystko, byle tylko odtworzyć populację. Dzięki pokoleniom tchórzy przeżywa, jak Czesi po Białej Górze albo Francuzi po Yerdun, i po jakimś czasie znowu zaczyna wydawać bohaterów. Chociaż – westchnął – bardziej by się przydało tutaj paru uczciwych księgowych.

– Wystarczyłaby odrobina instynktu samozachowawczego – nie zgodził się marszałek.

– Ależ, panowie – przerwał łagodnie zasępiony kardynał. – Pozwólcie temu księdzu mówić. W końcu, jeśli my go nie wysłuchamy, to nikt tego już dzisiaj nie zrobi.

– Tak, tak, słuchaj – usłyszał Robert za plecami drwiący głos Żelaznego. Jakość połączeń wydawała się słabnąć, jeszcze niezauważalnie, ale Robert, oczekując tego, mógł przekonać się, że jego program działa.

– *Rzekł głupiec w sercu swoim: nie masz Boga – zaczął ksiądz, czytając powoli i dobitnie, uroczystym głosem. -/ stąd popsowało się, co żywo, w drogach swoich, i prawidła cnót odstąpiło; i nie masz, kto by czynił dobrze, nie masz aż do jednego. Potentaci poszli za złotem, które nie usprawiedliwia, więcej ważąc depozyta w skarbcach, niż chwałę Boga, dającego bogactwa…*

Kamera wychwyciła, jak słuchacze, szczególnie ci ze stojących rzędów, wymieniają między sobą półuśmieszki i miny ale-pierdzielino-już-nie-mogę.

Za to wśród dziennikarzy słowa księdza znalazły oddźwięk. Doprawdy, ten początek zabrzmiał nazbyt nietolerancyjnie. Na galerii wszczął się narastający z wolna szum. Stojący pośród notabli Prymas dostrzegł to pierwszy, podniósł znacząco brew, ale zaczytany ksiądz nie zauważył tego przejawu irytacji zwierzchnika.

– Część w Izraelu upodobana, Lewitowie, przy obrzędach w świątyni drzymiaj a zatem i Filistyn przemaga, i pod prałatami krzesło trzeszczy…

Galeria kwiknęła radośnie, zafalowała i zagraniczni korespondenci, blokując ciasne drzwi, rzucili się każdy do swojego gniazda, aby jak najszybciej nadać relację o kolejnym antysemickim kazaniu polskiego księdza.

– Rada i senat – ksiądz, nic nie zauważając, podniósł odrobinę ton – cymbał głośny i spiża brzęcząca; kształtują wota, żeby ich słyszano; mówią, żeby swoje przewieść; kontrowertują, żeby coś wytargować.

Teraz już szum przeniósł się z opustoszałej galerii na dół, gdzieś z tylnych szeregów ktoś niewidoczny zapytał scenicznym szeptem: “Czy musimy go słuchać?”

– Po miastach lusztyk ustawiczny i stroje zbyteczne, a pospólstwo drą aż do czopa, żeby były zbytkom nakłady!

Twarz Prymasa powoli nabierała barwy jego stroju. Pani prezydent chichotała z wdziękiem, ledwie osłoniwszy usta dłonią.

– Masz Boga w sercu, kto sfałszował monetę? Kto podatki nienależycie zabiera? I tą krwią, z ubogich wyciśnioną, siebie i swój dom bogaci?! – grzmiał ksiądz.

Rozfalowany tłum zaczął niknąć za gęstniejącym szybko kisielem. Robert przestał słuchać; czekał, zaciskając nieznacznie kciuki.

Wirus dotarł do sterownika i zaczął wypełniać zadanie, do jakiego go Robert zmontował z modułów szybkiego języka programatora: mnożyć się. Sterownik nie bronił się przed informacją przysyłaną od swego użytkownika, to przecież byłoby absurdalne. Nikt nie wkłada we własny program bomby logicznej.

Chyba że chce, aby zmuszone do obsługi coraz bardziej zablokowanej pamięci procesory działały wciąż wolniej i wolniej, pod coraz większym przeciążeniem, zmuszane do emulacji pamięci wirtualnej, aż zaalarmowany tym program ratunkowy przeładuje sterownik, uruchamiając na czas ponownego zainicjowania jego pracy procedurę awaryjną UPS-u. UPS zaś, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, przerwie sesję i gdziekolwiek się w danej chwili znajduje użytkownik, zwinie do siebie jego Nić najszybciej, jak to możliwe bez wstrząsu gwałtownej utraty kontaktu ze środowiskiem.

Z bijącym sercem czekał na tę chwilę, ale choć kisiel wciąż gęstniał, nic się nie działo. Ksiądz skończył i zszedł z mównicy, w grobowej ciszy, odprowadzany złośliwymi uwagami i wściekłym spojrzeniem Prymasa. Zakłopotany sekretarz pani prezydent przepraszał wylewnie za ten incydent i zapraszał na dalszą część uroczystości do głównej sali, gdzie zostanie podpisany akt Gwarancji.

Spróbował się poruszyć; szło topornie, ale jednak szło. Z przerażeniem stwierdził, że otaczający go kisiel przestał gęstnieć. Czy może mu się zdawało?

Fala gości, ruszająca do otwartych drzwi, utknęła nagle, od przodu doszło do jakiegoś zamieszania, jakby coś zatarasowało nagle drogę. Ale każda z kamer, przez które go przerzucał program, była zbyt daleko, by dać dobre ujęcie. Zdawało się, że ktoś rzucił się pod nogi generałowi-gubernatorowi. Może zresztą nie; obraz drgał w zamieszaniu, na ścieżce dźwiękowej podniesione głosy zlały się w

niewyraźną plamę. Tak czy owak, nie nadawało się to do pokazania i realizator wykorzystał tę chwilę na reklamy.

Nie miał zresztą do tego głowy. W chwili, kiedy straż pałacowa wyciągała posła Suchorzewskiego z kłębowiska nóg w drzwiach wielkiej sali, złote litery wybiły przed oczami Roberta informację o uruchomieniu procedur awaryjnych i w chwilę później wszystko dookoła pociemniało i z jękiem zapadło się w sobie, by na długie sekundy ustąpić miejsca nicości.

*

Znów miał przed oczami tak dobrze znajome okna głównego interfejsu. W rozpiętym na ich tle prostokącie komunikat o awaryjnym przerwaniu sesji przez UPS migotał w rytm wiercącego uszy buczka alarmu. Poruszył lekko palcami zarządzając zakończenie sesji. Sterownik zasygnalizował zdezaktywowanie wytłumienia impulsów rdzeniowych i po kilku sekundach Robertowi zaczęło wracać czucie własnego ciała. Znowu siedział w fotelu, w swoim fotelu, przed biurkiem, we własnym pokoju.

Odetchnął ciężko, ściągając z głowy hełm i odkładając go na podłogę obok fotela. Potem sięgnął do karku i oderwał od niego gumową przylgę. Skóra pod nią swędziała nieznośnie. Drapał ją, wycierając palcami śliską, galaretowatą pastę, którą był wysmarowany na karku. Przylgę odłożył na podłogę obok hełmu; był zbyt wyczerpany, aby ją w tej chwili czyścić.

Wyciągnął w górę ręce i przeciągnął się gwałtownie w fotelu, aż odrętwiałe po godzinach bezruchu kości zachrobotały w stawach, a kręgosłup odezwał się przynoszącym ulgę chrupotem. Odetchnął i powtórzył to, wyginając grzbiet, jakby chciał go złamać, i wpierając rozprostowane nogi w podłogę z siłą, która powinna pozwolić im przebić klepkę i skryty pod nią beton na wylot. Napinał i rozluźniał mięśnie ud, pośladków, brzucha i grzbietu, w wyuczonej kolejności, aż wreszcie z westchnieniem opadł na fotel.

Fizycznie nie odczuł po tym wielkiej ulgi. Odczuwał ją za to na duchu. Była tak wielka, że nie bardzo potrafił czuć cokolwiek innego. Była dość wielka, by przytłumić świadomość, że jego sytuacja nie jest ani odrobinę lepsza niż przed kilkoma godzinami. Ale tu, pod osłoną wszystkich swoich rzeczy czuł się bezpieczny. Mógł teraz lizać rany i obmyślać następne kroki.

Podniósł się wreszcie z fotela, sięgnął za plecy, aby chwycić palcami i odlepić przepoconą koszulę. Marzył o odrobinie koniaku,

którego butla oczekiwała na specjalne okazje w barku w salonie. Poczłapał tam na sztywnych nogach. Za oknem zapadł już zmierzch. Zapalił światło, ale pomimo to miał wrażenie, że w mieszkaniu jest jakoś nienormalnie ciemno; mrugał oczami i przecierał je, lecz to wrażenie nie mijało.

Otworzył barek, drżącą ręką wydobył z niego szklaneczkę, potem butelkę. Napełnił szkło.

Nie, z mieszkaniem było wszystko w porządku. To było coś takiego, jakby ciemniało mu przed oczami. Czuł się słaby i jakoś ospały, ale to było zrozumiałe, nerwy, odreagowanie przeżyć kilku ostatnich godzin. Tylko skąd ten cień, zmuszający do ciągłego mrużenia oczu?

Miał właśnie zamiar rozsiąść się wygodnie na fotelu i ze szklaneczką w dłoni zebrać wreszcie rozbiegane myśli, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Pomimo całego zmęczenia, jakie odczuwał, niemal do nich podbiegł. Potrzebował teraz Wiktorii. Potrzebował jej dotyku, głosu. Otworzył drzwi, uśmiechnięty, pełen ulgi, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy poczuje ją w swych objęciach.

Stał nieruchomo, a uśmiech spływał mu z twarzy. To nie była Wiktoria. Za drzwiami stał Brzozowski.

– Cóż, zdaje się, że muszę z tobą porozmawiać. To nie potrwa długo – oznajmił i nie czekając na zaproszenie wpakował się do przedpokoju. Robert czuł, że powinien zaprotestować, ale w tej chwili było już na to za późno. Zdobył się jedynie na odruch, by powstrzymać go gestem, gdy próbował wejść głębiej, i wskazać kapcie.

– Mimo wszystko byłoby lepiej, gdybyś nie zlekceważył mojego listu – oznajmił Brzozowski, zmieniwszy posłusznie obuwie.

Robert wskazał mu drogę do swojego pokoju i jedno z krzeseł. Sam usiadł na tym samym fotelu, który zajmował podczas pracy z komputerem.

Uniósł do ust szklaneczkę, nie proponując niczego Brzozowskiemu. Koniak wydał mu się pozbawiony mocy, jakby rozcieńczony.

– Kapowałeś na mnie – stwierdził, patrząc na Brzozowskiego, który przyglądał się z ciekawością jego półkom.

– Co takiego? – zainteresował się Brzozowski.

– Dzisiaj w spółce przesłuchiwał mnie jeden ubek. Zacytował mi parę obszernych fragmentów z naszych wieczornych rozmów w Pałacu. Skąd je znał? Co?

Brzozowski zaśmiał się.

– I to był powód, dla którego się nie odezwałeś?

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie, to naprawdę zabawne. Uważasz mnie za jakiegoś zwykłego kapusia – powiedział. – Powinienem się obrazić. Masz zwyczaj wykrzykiwać swe polityczne rozważania na cały lokal i nawet nie starcza ci inteligencji, żeby wiedzieć, że Styperek, skoro dostał koncesję na obsługiwanie takiego miejsca, po prostu musi pisać regularne epistoły do komendantury. A na koniec podejrzewasz mnie, że nie mam nic lepszego do roboty, niż na ciebie kapować. Wiesz, co bym zrobił, gdybym chciał, aby w twoich archiwach znalazło się to albo tamto? Wpisałbym to do nich. Ja wchodzę do Piramidy, kiedy chcę, i nie robię w niej głupich błędów.

Spod ociężałych powiek Brzozowski wydawał się równie wściekły, jak wtedy, gdy Robert oznajmił mu o swej rezygnacji z pracy w Kancelarii.

– Więc to byłeś ty – skinął głową Robert. – To ty byłeś Żelaznym, tak?

– Tak. Nie powinienem ci tego mówić, ale teraz właściwie już to nie ma znaczenia. To ja jestem człowiekiem, który cię wybrał, prowadził przez rok i obmyślił dla ciebie sprawdzian przed zwerbowaniem. To ja podrzuciłem ci Strefy i sprawdziłem tą metodą, że jesteś już dojrzały do przyjęcia nowej wiary… nie próbowałeś krzyczeć, alarmować, poruszać nieba i ziemi, tylko po prostu pogrążyłeś się w apatii. Rozmawialiśmy tyle razy, śledziłem każdy twój ruch w sieci. Patrzę: wszystko jak trzeba, pogodził się, wie, co nieuchronne, no, słowem, siedzi w profilu. I nagle taka wpadka. Wścieka mnie to, wiesz? – Brzozowski z irytacją zdzielił się dłońmi po kolanach. – Tracę na ciebie mnóstwo czasu, przygotowuję znakomity scenariusz wydarzeń, a ty w kluczowym momencie zachowujesz się jak egzaltowany gówniarz. Dlaczego?

– Nigdy się tego nie dowiesz – teraz to Robert powiedział te słowa, uśmiechając się przy tym nieznacznie.

– Uruchamiam plan – ciągnął Brzozowski – z piękną rolą, jak znalazł dla ciebie. Niby to zostaniesz konfidenentem, a naprawdę będziesz utajnionym pod rejestracją TW ekspertem. Jako kataryniarz InterDaty, włączonej w ruskie interesy, podrzucasz młodszej frakcji Firmy mięso do rozwalenia Dasajewa. Jak znalazł dla ciebie: Ruskie dostają po dupie i są wyganiane z Polski, co prawda przez innych Ruskich, ale powinno ci się to spodobać. Teraz żałuję, że próbowałem cię wtajemniczać, zamiast wmówić, że robisz jakąś wielką, niepodległościową robotę.

– Teraz już i tak bym ci nie uwierzył.

– Jasny szlag! Jak ja to teraz rozwiążę? Co ci nagle odbiło? Nie mogę tego zrozumieć.

– Może wybrałeś zły dzień.

– Dlaczego? Te Gwarancje Społeczne tak cię dobiły? Taaa –

mruknął przeciągle Brzozowski, pochylając nagle głowę i drapiąc się w podbródek. – To możliwe. Nie uwzględniłem tego. Muszę coś z tym zrobić na przyszłość. Widzisz, ja zupełnie nie potrafię zrozumieć tych twoich odchyleń na punkcie narodowym. Skąd one się biorą?

Nagle zaczął z nim rozmawiać, jakby rozstrzygali jakiś teoretyczny problem na studenckim seminarium.

– Daj temu spokój. Nie jestem egzemplarzem do badań.

– Wybacz, dla mnie tak. Pracuję z ludźmi, powinienem ich rozumieć, a ty dwa razy przewróciłeś mi całą robotę do góry nogami. O co ci mogło chodzić? Nie jesteś głupi, wiesz dobrze, co jest warta demokracja – zastanawiał się na głos. – Musisz się z grubsza domyślać, co się zbliża, czemu będą musiały stawić czoło te rządy, formowane według limitów procentowych dla kobiet i homoseksualistów. Powiedz, Robert: nie odrzuciłeś Corbenicu dlatego, że wierzysz w jawność życia publicznego, prawo ludu do wybierania sobie władzy i tak dalej, prawda?

– Prawda.

– A więc dobrze, idiotą nie jesteś. Czyli aż tak się nie myliłem. Zdajesz też sobie sprawę, że ta fasada jest przeżarta do niemożności. Gdziekolwiek sięgniesz, roją się nieformalne układy, spiski, mafie. Wyznawcy New Agę szykują drogę prorokowi ze Wschodu, który ma rozpocząć erę wodnika; sataniści szykują się do zniszczenia chrześcijaństwa rękami islamu, a potem islamu rękami Antychrysta. Nowe pokolenia rozmaitych plemiennych gangów zawiązują ogólnoświatowe porozumienie wielkich bankierów i kontrolerów międzynarodowych organizacji. Jeśli nie sięgniemy po realną władzę my, kto to zrobi? Na pewno ktoś gorszy. Więc co, u licha, każe ci z nami walczyć? Proszę, wytłumacz mi to, no po prostu nie mogę zrozumieć!

Robert uniósł się na fotelu, senność jak gdyby zaczynała go opuszczać.

– Sam tego do dziś nie rozumiałem. Ten ubek mi wyjaśnił. Niechcący. Powiedział, że tacy ludzie jak ja, nazwijmy ich, romantycy, służą swemu pierwszemu wzruszeniu. Śmiał się ze mnie, ale w sumie przyznaję mu rację. Tak, tak mnie wychowano, w takie rzeczy wierzę, i dzięki temu wiem, czemu służę. A on? Kiedyś mu się pewnie wydawało, że pracuje dla komunizmu, ale sami komuniści zmienili front. Nadymał się przede mną, jaka to potęga, Firma, jak mu się dobrze dzięki niej żyje. Teraz dowiaduję się, że tak naprawdę Firma pracuje dla jakiegoś ruskiego książątka, może dla Corbenicu, w każdym razie ty sobie po niej łazisz jak chcesz. A ty sam wiesz, komu właściwie służysz?

– Sobie – Brzozowski uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie. Wcale nie. Te wszystkie wasze wtajemniczenia, ponad

którymi może istnieją jakieś inne wtajemniczenia, wzajemne śledzenie każdego przez każdego, to śmierdzi, po prostu. Ja wolę mieć prostą sytuację.

– I gwarancję przegranej.

– A ty jaką masz gwarancję? Może służysz jakiejś nowej, kretyńskiej utopii, która znowu pochłonie miliony istnień i rozpadnie się, tak jak komunizm? A może wasz układ zdążył się już podzielić, bo prędzej czy później to się stanie, jakiś cwaniaczek korzysta ze swego przywileju i po prostu używa takich jak ty do robienia forsy?

– Robert, staraj się być merytoryczny. Podałem ci sporo argumentów, dla których musimy budować to, co budujemy.

– A może mi je podałeś dlatego, że mnie znasz i wiesz, jak ze mną rozmawiać? A gdybyś werbował kogoś innego, obiecywałbyś mu życie w luksusach i tancerki z Tajlandii? Nie wejdę w taki interes, cokolwiek byś gadał. Ojciec by mi tego nigdy nie darował.

– Czekaj, czekaj – zainteresował się Brzozowski. -Dlaczego plączesz w to swojego ojca? On przecież już nie żyje.

– Błąd! On żyje, jak najbardziej. Tutaj – popukał się kciukiem w pierś. – Pewnie dlatego nie potrafisz mnie zrozumieć. Bo ja jestem przyrośnięty do tej ziemi, od całych pokoleń. Ja jestem drzewo. Wrosłem w nią. Mówiąc wzniosie, moi przodkowie zraszali ją potem, krwią i łzami, i powinienem być wdzięczny temu waszemu Corbenicowi, że pomógł mi to sobie uświadomić. A ty?

– A wiesz? – Brzozowski ucieszył się, dokładnie tak, jak musi się cieszyć entomolog, stwierdzający, że ukąsił go zupełnie jeszcze nie znany nauce insekt. – Tak, to może być to. Nawet nie wiem, gdzie żyli moi przodkowie wcześniej, ale w każdym razie pradziadek znalazł się na Litwie. W dwudziestym czy jakoś tam kazali tam wszystkim przyjąć litewskie nazwiska, więc zrobił się, od nazwy wsi, Birulisem. Potem zgarnęli go hitlerowcy, a kiedy jakimś cudem przeżył, dostał taki wybór, że albo przybierze polskie nazwisko i zamieszka w UB na piętrze, albo zostanie w piwnicy. To jest czysty przypadek, że urodziłem się tutaj, a nie w Ameryce, Francji czy na Antylach. Ale to dobrze dla mnie. Dzięki temu mam szersze spojrzenie. Potrafię myśleć o świecie, pracować dla dobra wszystkich ludzi, a nie tylko sąsiadów. To musi być wspólne doświadczenie. Dzięki temu tak wielu nas wszędzie, gdzie się dzieje coś ważnego.

– Dzięki temu tak łatwo was wydymać, użyć do brudnej roboty, a potem pokazać czyste rączki i powiedzieć: wsio czeriez jewrieji – Robert potrząsnął głową, czując, że senność powraca. – Trzeba mnie było zostawić w spokoju.

– Nie licz na to. Żyć sobie mogą malutkie ludziki. A ty, okazało się, masz jakiś talent. Orientujesz się w sieci dwa razy szybciej niż przeciętny kataryniarz. Jakiś szósty zmysł, tak bywa. Zresztą, to nawet

nie o to chodzi. Jesteś kataryniarzem. Nie można dopuścić, aby jakiś kataryniarz nie był w ten lub inny sposób w układzie. Prędzej czy później coś by znalazł i narobił kłopotów. Nie możesz się schować, taki twój pieprzony los.

– Taki mój pieprzony los. Po prostu. Dlatego będę was zwalczał.

Brzozowski pokręcił głową.

– Sądzisz, że masz jeszcze jakieś szansę? Biedny człowieku. Naprawdę myślałeś, że to może być takie łatwe? Że pozwolę ci zawiesić swój program takim prymitywnym wirusem?

– Idź już – ziewnął Robert. – Jestem potwornie zmęczony. Chce mi się spać.

– Tak, wiem o tym – Brzozowski podniósł się w zapadającej ciemności. – To się nazywa drowser. To migoczące światło, w które wpadłeś. Od kilkunastu minut zwalnia rytm twojego mózgu, aż do katatonii. Nie ma przed tym obrony. Twoja żona znajdzie cię w stanie śpiączki, z której medycyna nie zdoła cię wyprowadzić. Chyba, że spróbuje cię odpiąć od komputera i zerwać połączenie. Wtedy zabije cię wylew krwi do mózgu. Przykro mi, Robert.

Wydął się jak balonik i pękł z trzaskiem. Robert ostatkiem sił chciał jeszcze rzucić się za nim, ale nagle ściany pokoju zakołysały się i zaczęły spływać po nicości wielkimi kroplami w dół, jak po czarnej szybie, rzeczy, na których chciał się oprzeć, zdradziły go, zniknęły, rozmywając się w nicość i z głuchym jękiem runął w otchłań kolejnego przeskoku.

*

Ale tym razem nie było już nic. Nawet pustki. Nawet ciemności. Nie czuł swojego ciała.

Spadał. A więc tak ma wyglądać śmierć? Po prostu uśnie, pogrąży się w letargu i nigdy już nie wyjrzy na powierzchnię rzeczywistości?

Jakaś cząstka jego duszy wciąż jeszcze nie wierzyła, że to już koniec.

Skupił się, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie własne ciało. Wytężył wszystkie siły.

– Bo nie jesteś Etruskiem? – zapytała Wiktoria. – Co to znaczy?

– Och, naprawdę nie rozumiesz? Po prostu jestem stąd. Mówisz mi, że tyle było w dziejach narodów, które powymierały. Ale ten jest mój. Nie istnieję bez niego. Jeśli on zniknie, nic nie pozostanie i ze mnie. Nie mam wyjścia, Wiktorio. Taki mój los!

Całowali się w smutku. Wodził delikatnie wargami po szyi żony,

po krągłości podbródka, gładził jej skórę, sięgając sekretnych miejsc, chłonął jej dotyk.

Splecione ciała stawały się z wolna jednością.

Tamten nie mógł tego wiedzieć, czym jest prawdziwa miłość. Niczym z tego, co pokazują w filmach. Pradziwa miłość odmienia cię całego i przestraja tak, że poza tą jedną, jedyną kobietą już nikt ani nic już dla ciebie nie istnieje. Tylko jej skóra ma smak, który budzi w tobie pożądanie. Tylko jej głos, jej ruchy, jej ciało zachowują powab, pozostają zdolne rozpalić w tobie ogień. Inne kobiety bledną, zlewają się z tłem, niegodne uwagi, i dopiero wtedy, gdy ten stary frazes, że nie widzi się poza swą żoną świata, stanie się prawdą – dopiero wtedy można poznać, czym jest naprawdę miłość i bijąca z niej siła.

Chłonął jej dotyk, w ciemności pełnej szeptów i złotawych pobłysków dalekiego światła na jej skórze. Szeptał jej imię, całując jej ramiona, piersi… Jeszcze jedna rzecz, 0 której jego prorocy kłamali. Ci nieszczęśni, biedni ludzie, którzy obijają się o siebie w klatce życia i natychmiast odskakują, którzy wciąż próbują z kimś nowym, którzy tak mocno wierzą w swoje prawo do szczęścia i stale sobie powtarzają, jak bardzo im się ono należy – ci nieszczęśni ludzie nigdy go nie odnajdą. Będą próchnieć od środka, będą wmawiać sobie, że to, co mogą mieć, krótka rozkosz, przelotny nastrój, że to jest właśnie tym, czym być powinno – i nie będą mogli zrozumieć, co tracą i dlaczego. Może właśnie stąd tyle w ludziach szaleństwa; nikt ich nie nauczył, że szczęście nie bywa przynoszone podmuchem losu, że trzeba budować je codziennie z najdrobniejszych spraw, uśmiechów, zgromadzonych rzeczy i codziennych rytuałów. Że trzeba zakląć każdą szczęśliwą chwilę we wspólnym życiu, jak w krysztale, aby płonęła wiecznie. I że nie wolno słuchać fałszywych proroków miłości, którzy nigdy jej w życiu nie znaleźli i nie wiedzą, czym może i powinna ona być.

Westchnęła i z daleka, z bardzo daleka wypowiedziała jego imię – i pogrążył się w niej z delikatnością i siłą, wołając ją, przywołując, zakołysał się na jej biodrach – jak na pokładzie Charonowej łodzi.

*

Nie mógł umrzeć. Nie mógł umrzeć. Wiedział to teraz tak jasno, jak nic innego.

Potrafię z nim wygrać, powiedział do siebie, na progu unicestwienia. Mam dosyć siły.

– Mam dosyć siły – powtórzyła otaczająca go przestrzeń.

Rozpadał się, rozpływał w pustce.

Spadał w nicość, ale jego spowolniona myśl wyostrzyła się jak nigdy. Cokolwiek zrobili z jego mózgiem, dobiegało końca. Pojęcia przychodziły z trudem, powoli, wyciągane z mozołem z najdalszych zakamarków rozpadającej się pamięci.

Ale gdy już przychodziły, były krystalicznie czyste i mocne. Kontrolowali jego sterownik. Nie mogli kontrolować jego mózgu.

Nie rozpłynę się, powiedział do siebie, znajdując słowa z trudem, powoli – ale może właśnie dzięki owej powolności te słowa były silne, jak musiało być silne słowo "niech się stanie" u korzeni wszystkiego.

Nie uratuje cię program, nie uratuje cię twój sprzęt. Zabrali ci to. Ale nie mogą ci zabrać ciebie samego.

Wciąż się nie poddawał. Skupił wszystkie myśli, bo już nie zostało z niego nic, oprócz myśli, w jednym punkcie i z całą mocą zaczął wydzierać nicości swoje ciało.

*

Wiktoria niemal wybiegła z samochodu przed zagradzającą wjazd na teren osiedla bramą. Nie miała czasu odpowiedzieć strażnikowi. Przejechała, ledwie schowały się przegradzające bramę kolce i zaparkowała pod samym domem. Już w biegu do drzwi klatki schodowej skierowała za siebie i ścisnęła brelok kluczyków; samochód odpowiedział na to elektronicznym miauknięciem. Nikt nie odpowiadał na dzwonek. Dysząc ciężko, znalazła w torebce klucz i przeciągnęła nim po krawędzi drzwi. Zawołała od progu.

W mieszkaniu zalegała cisza, w której dopiero po chwili skupienia dało się usłyszeć jednostajny, cichy szmer pracującej elektroniki.

Robert był w swoim gabinecie, podłączony do komputera, nieruchomy w fotelu. Zawołała go raz jeszcze, potem podeszła i dotknęła ramienia męża.

Krzyknęła.

Jego ciało było zimne jak u trupa.

Spod zakrywającego połowę twarzy hełmu wyglądała skurczona boleśnie, poszarzała maska. Z kącika wykrzywionych spazmatycznie ust płynął strumyczek śliny, mieszającej się z krwią z przegryzionych warg. Strumyk krwi płynął z nosa, krzepnąc na podbródku i piersiach.

Spomiędzy odsłoniętych skurczem dziąseł dobiegał ledwie dosłyszalny, ciężki charkot.

Przez długą chwilę stała z dłońmi uniesionymi do ust, porażona strachem i obrzydzeniem, bezradna, nie mogąc się zdecydować, co

robić – wreszcie wyciągnęła ręce ku jego głowie, zdecydowana jednym rozpaczliwym szarpnięciem zerwać z niej ten dziwny, zasłaniający połowę twarzy hełm.

*

Skupił się na swym mózgu i określił jego kształt. Odnalazł wychodzący z podwzgórza pień nerwowy i szedł jego tropem w dół, określając ściśle każde najdrobniejsze odgałęzienie. Wydobywał z nicości i układał w świetlistą mapę siebie samego pajęczynę nerwów, oplatających ręce, tułów, nogi. Zaczął odnajdywać wokół nich mięśnie i ścięgna, idąc po nich dotarł do kości. Określił powracającym dotykiem każdy punkt narządów wewnętrznych. Bijącego rozpaczliwie powoli, ale mocno, serca, poruszających się płuc, wzgórz wątroby, trzustki, nerek. Przebiegał rozdymanymi nienormalnym ciśnieniem kanałami arterii i żył.

Znowu istniał, jak fantomatyczna projekcja w ciemności – zawieszone w pustce ciało, złożone w niewidzialnym fotelu, z głową odchyloną do tyłu, rękami na kolanach, lekko rozchylonymi ustami i cienkim strumykiem krwi, ściekającym po twarzy. Próbował nim poruszyć i wtedy napotkał obcą siłę, wdzierającą się od karku, wykradającą płynące rdzeniem kręgowym rozkazy, penetrującą jego mózg.

Zebrał wszystkie siły, czując, że cokolwiek Corbenic zrobił z jego mózgiem, jego myśli nigdy nie były tak potężne jak w tej chwili. Ogarnął świadomością całego siebie, cały swój mózg, razem z jego nie używanymi na co-dzień rupieciarniami, a w którejś z nich błysnęło zapomniane wspomnienie wykładów weekendowego motywatora z telewizji, opowiadającego o potędze, jaką wyzwolić można ze swego umysłu wytłumiwszy i zwolniwszy długotrwałą medytacją jego rytm; zebrał się w sobie, czując nagle uzyskaną wszechmoc, skoncentrował się aż do bólu, przywołał wszystkie siły – i runął na ten punkt na karku, gdzie wnikała w niego obca wola.

Przełamał.

Runął przed siebie, poprzez Nici wirtualnych połączeń, niepowstrzymany, tłumiąc wychodzące mu naprzeciw w rozpaczliwej próbie obrony impulsy. Przelał się przez konwertery i ośrodki przetwarzania sterownika, przejął władzę nad wspierającymi je serwerami i jak niepowstrzymana fala wtargnął do połączonego z nimi mózgu.

Znowu był w świetlistym pejzażu Corbenicu, oglądając go przez

nie swoje oczy. Brzozowski szarpnął się, usiłował bronić, ale Robert odebrał mu kontrolę nad sterownikiem, odepchnął go gdzieś w głąb wirtualnego, ulanego z czarnego żelaza dala.

“Co robisz? Co robisz?” – krzyczał przerażony Brzozowski, kiedy Robert opanowywał jego oprogramowanie i poznawał komendy rządzące sprzężeniem z jego własnym, krwawiącym w odległym fotelu ciałem.

Niemal fizycznie odczuwał strach Brzozowskiego, ale nie potrafił zdobyć się na współczucie – cieszył się tylko, wiedząc, że ten strach obezwładnia jego przeciwnika do reszty.

Usadowił się mocno w kontrolerach sterownika, przełamując rozpaczliwe próby Brzozowskiego, usiłującego odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Odnalazł parametry pracy programów nadzorujących, w jednej chwili przyswoił sobie ich instrukcję. W następnej sekundzie uświadomił sobie, że Brzozowski popełnił błąd. Według poleceń Corbenicu, powinien zerwać sprzężenie pomiędzy nimi najpóźniej przed dwudziestoma minutami, zanim zabójcza intensywność pracy drowsera sięgnęła szczytu.

“Nie masz poczucia czasu. To cię zgubiło”, oznajmił z satysfakcją.

Nie miał mu nic więcej do powiedzenia.

*

W ostatniej chwili, gdy już zacisnęła palce na wzmocnionym kabłąku, przebiegającym ponad głową męża, ułamek sekundy, zanim pociągnęła go ku sobie, jego twarz nagle drgnęła boleśnie, z ust wydobyły się jakieś nieartykułowane dźwięki. Cofnęła ręce. Boże, nie mogła tego zrobić! Nigdy nie widziała w domu takiego sprzętu, w każdym razie nie był to na pewno zwykły zestaw do VR, nie wiedziała, jak można to obsługiwać. Patrzyła bezradnie na spiętrzone wokół plastikowe wieże i pudła, nie wiedząc, od czego zacząć ich wyłączanie.

Powinna zadzwonić po pomoc, pomyślała. Ale do kogo? Który ze znanych jej przyjaciół Roberta znał się na tym wszystkim?

Pomyślała o Brzozowskim. Gdzie mógł być jego telefon?

Obróciła się, przeszukując wzrokiem gabinet, kiedy za jej plecami Robert nagle westchnął głęboko.

*

“Robert, co robisz? Co robisz?!” – wołał rozpaczliwie Brzozowski, podczas kiedy on przekonfigurowywał kolejne panele. – “Robert, nie rób tego. Proszę, nie możesz tego zrobić! Posłuchaj mnie, zbyt wiele zależy…”

To już nie miało znaczenia. Teraz, dla Corbenicu, to on był Brzozowskim. W niewzruszonym milczeniu odłączał i kasował kolejne moduły corbenicowych programów, wycofywał ze wszystkich pamięci wydarzenia ostatnich godzin, cofał zapisy zegarów przy notatkach backupu.

“Posłuchaj, jeszcze wszystko może być w porządku. Dogadamy się. Jeszcze nie przesłałem do Corbenicu żadnych danych co do twojej próby. Zostaniesz przyjęty.”

Nie słuchał. Odnalazł wreszcie połączenie drowsera i skomplikowanym ruchem obu rąk Brzozowskiego odłączył go od swojego sterownika.

“Dobrze, wygrałeś. Skasuję z ewidencji wszystkie zapisy o śledzeniu cię. Znikniesz z zapisów agentury perspektywnicznej Piramidy, z zapisów Corbenicu. Nie będzie cię. Pozostaniesz nikim, nikt już nie będzie się ciebie czepiał. Zgoda? Zgoda, Robert?”

“Nie możesz już tego zrobić. Nie wierzę ci.”

“Mogę. Oddaj mi kontrolę nad sterownikiem, zrobię to przy tobie.”

“Nie. Powiedz mi, jakie są hasła i połączenia.”

“Odejdziesz, jeśli to zrobię?”

“Powiedz”.

Brzozowski powiedział. Wtedy Robert sięgnął przez przylgę na karku oraz rdzeń kręgowy głęboko do jego ciała i nakazał jego sercu, aby się zatrzymało.

“Nie zabijaj mnie, Robert, nie, błagam! Nie zabijaj mnie, ty durniu, ty potworny durniu, co robisz…”

Wytrzymał jego krzyk, zdawało się, że trwający całą wieczność, ale w końcu słabnący powoli, cichnący, rozpływający się w nicości.

Potem przeciął jedną po drugiej ostatnie Nici, łączące go z martwym już ciałem, kasując zapisy o połączeniu.

I wrócił.

*

Ciało wracało powoli, zaznaczając swe istnienie tępym bólem. Jęknął, usiłując sięgnąć dłonią hełm. Zdołał jedynie poruszyć palcami;

posłuchały go ciężko, jak z kamienia. Mięśnie pełne były przelewające się po nich bezładnie trucizny.

Czuł, jak z nosa płynie mu krew.

Skupił się i wszedłszy z powrotem w swe ciało, uspokoił rytm serca.

Rozsadzające żyły ciśnienie powoli wracało do normy.

Sięgnął myślą popękanych naczyń krwionośnych i kazał im się zasklepić.

Strumyk krwi zaczął zwalniać, słabnąć, aż wreszcie zatrzymał się powoli. Robert nabrał głęboko powietrza i przemagając słabość mięśni, ściągnął z głowy hełm. Przylga na karku odskoczyła z pneumatycznym syknięciem.

Ponad sobą dostrzegł pochyloną z troską, słodką twarz Wiktorii. Uśmiechnął się, na ile pozwalał mu na to wciąż naprężający mięśnie twarzy grymas, pochylił się z ulgą na jej piersi. Poczuł delikatne dłonie żony na głowie.

Był w domu.

Warszawa 1995